

ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLIX.

ROK XIII.

TOM I. — ZESZYT III.

Marzec.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1888.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 5 Marca 1888 r.



STAN CZWARTY

I JEGO PRETENSYE.

Dobiega lat sto od czasu, gdy Sieyès wydał głośną książkę (1789) zatytułowaną: *Czém jest stan trzeci?* i odpowiadał w niéj sam sobie, że stan trzeci jest wszystkiém, samym narodem, a mimo tego nie ma żadnego udziału w rządzie, że państwo Francuskie podobne było do piramidy opartéj na swoim wierzchołku, potrzeba mu zatém nadać pozycyą naturalną i oprzéć je na narodzie. Ten stan trzeci, przemysłowcy, kupcy, kapitaliści dobił się we Francyi, a następnie w całéj Europie i po części w Ameryce przeważnego wpływu na bieg spraw publicznych, opanował najwydatniejsze stanowiska w rządzie, dyplomacyi, prasie, przemyśle: szlachta i duchowieństwo zeszły na plan drugi, monarchia została ograniczoną przez rozmaite ustawy konstytucyjne. Przebieg téj walki stanu trzeciego, czyli, jak dziś nazywają, burżuazyi, wypełnia dzieje Europy pod koniec zeszłego wieku i ciągnie się aż do naszych czasów.

Nie zamierzam przypominać czytelnikowi rzeczy dobrze znanych, a o szczególe tym nadmieniam jedynie dlatego, że zdaje mi się, iż ci, którzy na oznaczenie klasy robotniczéj użyli nazwy „stan czwarty", mieli prawdopodobnie na myśli „stan trzeci" Sieyès'a, i obiecywali sobie, że stan czwarty weźmie spadek po trzecim. Ktoby pierwszy użył wyrażenia „stan czwarty", nie jest mi wiadomém; ale już przed dwudziestu laty spotykałem się z niém u pisarzy niemieckich. Zobaczymy następnie, jak wyrażenie to jest nieokreślone, jak trudno zdefiniować ów stan czwarty.

Daleko chętniéj, i już z powziętą naprzód dążnością, używają niektórzy autorowie nazwy „proletaryusze" do oznaczenia warstw pracujących. I ta nazwa powstała widocznie pod wpływem remi-

niscencyi z dziejów rzymskich. Wiadomo, że król rzymski Serwiusz Tulliusz podzielił mieszkańców Rzymu i okolicy podmiejskiéj na 5 klas odpowiednio do wysokości posiadanego majątku w ziemi. Klasę 6-tą, dodatkową i bez znaczenia w sprawach publicznych, stanowiła ludność ruchoma, liczona tylko na głowy *(capite censi)*, pozbawiona mienia, ale zasobna w dzieci *(proles)* i ztąd zwana *proletarii*. Klasa ta, nie korzystając z praw przysługujących osiadłym i mniéj-więcéj majętnym obywatelom, była téż wolną od ciężarów, mianowicie od służby wojskowéj i podatku. Okoliczność godna uwagi ze strony tych, którzyby pragnęli ulżenia doli dzisiejszéj klasie pracującéj.

Wszystko to dzieje się na 6 wieków przed naszą erą i nie wymaga na ten raz więcéj szczegółów, jako rzecz znana; przypomnienie zaś podano dlatego tylko, ażeby wyjaśnić początek dwóch wyrazów i dwóch pojęć: *proletaryusze* i *klasa*, które za naszych czasów wzięto za hasła, jakkolwiek stosunki ekonomiczne dzisiejsze wielce są różne od tych, w jakich się one zrodziły.

Obecnie zatém, gdy mówią lub piszą o warstwach roboczych, nazywają je albo stanem czwartym, albo proletaryuszami. Być może, iż należałoby jednym terminem oznaczać inną grupę pracowników, a drugim znów inną, ażeby uniknąć nieporozumień; możnaby np. proletaryuszami nazywać ludzi nieznających żadnéj fachowéj pracy, żyjących z dnia na dzień, o ile ich ktoś najmie do roboty najprostszéj, zwyczajnych najmitów; a znów stanem czwartym określać pracowników uzdolnionych do wykonywania jakiéjś roboty mniéj więcéj fachowéj, zatrudnionych po fabrykach, warsztatach i w domowéj usłudze, o ile ta wymaga fachowego niejako uzdolnienia. Odróżnienie podobne i w teoretycznėm rozważaniu i w praktycznėm rozwiązywaniu problematu, który nas zajmuje, przyczyniłoby się do jaśniejszego pojmowania rzeczy, a może i uproszczenia dzieła reformy.

Pomimo takiego odróżnienia proletaryatu od stanu czwartego, czyli klasy robotniczéj, jeszcze dużo pozostaje wątpliwości co do pytania, kogo, jakie grupy pracowników do niego zaliczać. Rzecz ta nawet dla przywódców stanu czwartego nie była jasną. I tak, na pierwszym kongresie przedstawicieli stowarzyszenia Międzynarodowego, obradującym w Genewie (1866), poruszono między innemi i to pytanie, mianowicie, czy proletaryat umysłowy ma być zaliczany do klasy robotniczéj. Zdania się ważyły: francuscy delegaci nie chcieli ani słyszeć o tych robotnikach pracujących głową, przekonali się bowiem w domu, u siebie, co są warci „gębacze"; kładli prócz tego nacisk na różnice zachodzące między obu rodzajami

pracy, na niebezpieczeństwa grożące sprawie z dopuszczenia do towarzystwa pyszałków takich, jak adwokaci i dziennikarze. Przeciwni byli temu poglądowi delegaci angielscy i niemieccy, których opinia ostatecznie wzięła górę. Rozumowano, jak się zdaje, słusznie, że kapitał jednakowo gniecie pracę materyalną jak i umysłową (R. Meyer, *Der Emancipationskampf des vierten Standes.* I Band, 128 wyd. z 1882).

Wobec różnicy zdań pod tym względem dotychczas panującéj, poszukajmy kryteryum, któreby pozwalało na mniéj więcéj ścisłe określenie, kogo, jakie grupy pracowników zaliczać do stanu czwartego. Że za takie kryteryum nie może służyć ten lub ów rodzaj pracy, jest rzeczą jasną. Praca umysłowa podobnie jak i fizyczna zużywa substancyą nerwową i mięśniową; jedna produkuje chléb, odzienie i t. p., druga myśli, pomysły, wynalazki; jedna bez drugiéj obyć się nie może i dzisiaj robotnik zwyczajny rozumie dobrze, iż jak jemu należy się zapłata za zrobienie odzienia, tak znów lekarzowi, nauczycielowi, adwokatowi i t. p. należy się zapłata zwana pensyą lub honoraryum za ich usługi świadczone temuż robotnikowi. Być może, iż niejeden adwokat, lekarz, nauczyciel, urzędnik mają się za coś lepszego od krawców, stolarzy lub ślusarzy dlatego tylko, że praca ich jest, jak mówią, szlachetniejsza i drożéj wynagradzana; ale jest to złudzenie; etycznie, mogą się oni bardzo od siebie różnić i ztąd jako jednostki mogą stać wyżéj jedni od drugich; umysłowo, mogą być jedni od drugich wyżéj rozwinięci, więcéj łożyć na dojście do uzdolnienia w swoim zawodzie i ztąd różna ich zapłata: w gruncie przecież, *dobry* krawiec czy stolarz równie są cenieni, jak *dobry* adwokat lub pedagog. Jeżeli jeszcze nie wszyscy tak sądzą, widzimy jednak, iż świat dąży w tym kierunku: nie rodzaj pracy stanowi o wartości pracownika, lecz gorsze lub lepsze jéj wykonanie.

Tak więc poszukując charakterystycznéj cechy pracowników, liczących się do stanu czwartego, nie znajdujemy jéj w rodzaju ich pracy. Ale jest inna okoliczność stanowiąca, naszém zdaniem, tę cechę, mianowicie to, że pracują oni nie *dla siebie*, lecz dla tego, co ich najął i za pracę przyobiecał płacę, inaczéj dał im *zarobek.* Cecha ta jest powszechną, wspólną wszystkim pracownikom, bez względu na rodzaj pracy i uzdolnienie robotnika. Zachodzi wprawdzie wielka różnica pod względem ilości i jakości pracy, np. dyrektora fabryki a robotnika, niemniéj wielka różnica w zarobku obu; to jednak obadwa mają wspólnego, że nie pracują dla siebie, lecz dla przedsiębiorcy lub kapitalisty. Ztąd już wynika cała chwiejność tego stosunku. Albowiem zarówno dyrektor jak i robotnik są

całkowicie zależni od pracodawcy; mogą się mu nie podobać z téj lub owéj racyi, więc ich oddali—jednego za rok lub pół roku, drugiego jutro; mogą okoliczności zmusić go do zmniejszenia produkcyi, lub zupełnego jéj zaprzestania—zawsze pracownikom jego ten sam los grozi — brak zajęcia i czczość żołądka.

Różna jest nieco dola innych pracowników, np. urzędnika w prywatnéj lub publicznéj instytucyi, pobierającego stałą pensyą; adwokata, zależnego od klienteli; nauczyciela, dającego lekcye: ale i ci w tém są podobni do robotników zwyczajnych, że pracują dla innych, są płatni i w każdéj chwili mogą stracić pracę i zarobek. Z tego względu mogą téż być zaliczani do stanu czwartego. Słowem, ramy stanu czwartego obejmują tych wszystkich pracowników, którzy pracują dla innych za zapłatę.

Tym sposobem z szeregów stanu czwartego należy wyłączyć rozmaitych darmozjadów, zarówno elegantów jak i obszarpańców, włóczęgów, więźniów, żebraków utrzymywanych kosztem dobroczynności prywatnéj i publicznéj. Czy ci obywatele utworzą z czasem stan piąty i jakie założą pretensye do stanów innych, trudno wiedzićć; ale przykłady są zaraźliwe.

Lecz chociażbyśmy chcieli utrzymać ramy stanu czwartego wedle powyższego kryteryum, nie będą one nigdy stałe i nieruchome; przesączanie się pracowników stanu czwartego do najniższéj grupy ludzkiéj, do proletaryatu w ścisłém znaczeniu, odbywa się ciągle. Warunki dzisiejszéj produkcyi ekonomicznéj, epidemie, wojny, nareszcie lekkomyślność powiększają coraz bardziéj szeregi proletaryatu. Wprawdzie pastor Malthus twierdził, że te destrukcyjne czynniki wyręczają Opatrzność w utrzymywaniu harmonii między nakryciami a biesiadnikami: jednakże dalszy rozwój ekonomiczny pokazał, iż śmierć dobrodziejka nie trzyma się tak ścisłego rachunku i zostawia coraz więcéj biesiadników bez nakrycia przy stole.

Ztąd téż trudno myśléć o ile tyle godnéj wiary statystyce pracowników stanu czwartego; rzecz pewna, iż ich przybywa coraz więcéj. Jakim to zaś sposobem się stało i odkąd się poczęło, historya niezmiernie pouczająca i, nie figurycznie, łzami pisana. Jeszcze w tych dziejach pracy ludzkiéj dużo brakuje szczegółów; główne przecież jéj kontury są znane. Nie myślę tu powtarzać owych dziejów pracy niewolniczéj, pańszczyźnianéj i wolno-najemnéj; dość zapamiętać, że głównie ta ostatnia zrodziła najmitów, a z nimi i kurcze, w jakich się spółczesne pokolenie wije.

Przypuszczając, że się czytelnik godzi z nami na określenie stanu czwartego, jako klasy pracowników, zarówno miejskich jak

wiejskich, którzy dla innych i za zapłatę pracują; potrzeba się zastanowić, jakie są pretensye tego stanu, mianowicie, rozważyć jak on sobie wyobraża zmiany mogące los jego poprawić.

Odpowiedź na to pytanie przedstawia w sobie następujące trudności. Pracownicy zatrudnieni po fabrykach, warsztatach, kopalniach itp. są tak robotą przygnębieni i tak mało rozwinięci, że na obmyślenie i przemyślenie planu reform ani czasu, ani kwalifikacyi nie mają. Wprawdzie robotnik angielski, francuski i niemiecki wyżéj umysłowo stoi od hiszpańskiego, włoskiego lub tém bardziéj naszego; wprawdzie niektórzy z nich lepiéj rozumieją sprawy ekonomiczne od wielu nowelistów i literatów: jednakże nie są o tyle ukształceni teoretycznie, ażeby nam mogli wypowiedzieć swoje dezyderaty. Jedno wszyscy z nich rozumieją i pragną: krótszéj pracy, a większéj i nie tak chwiejnéj, jak dotychczas, płacy. Jak ten cel osiągnąć? Tu już odpowiedzi się różnią. Od téj więc grupy pracowników trudno się dowiedzieć, jakie są ich życzenia, a zwłaszcza, jaką drogą zadość im uczynić.

Druga grupa pracowników stanu czwartego, uprawiających sztuki wyzwolone *(artes liberales)* w przeciwstawieniu do pierwszych, zajętych sztukami, jak nazywano, niewolniczemi *(artes serviles)*, mniéj pożąda zmian w dotychczasowéj organizacyi ekonomicznéj, ponieważ wogóle (chociaż nie bez licznych wyjątków) lepiéj im się wiedzie. Bądź-co-bądź jednakże, tylko z téj grupy mogli wyjść ludzie utożsamiający swoje pragnienia z życzeniami klasy pracowników pierwszéj kategoryi. Od nich zatém powinniśmy się dowiedzieć o tém, czego pragnie stan czwarty.

Zwracając się tedy do wybitniejszych tłómaczów woli zbiorowéj; powinnibyśmy otrzymać bardziéj szczegółową odpowiedź. Tymczasem i tutaj spotykamy trudność nie małą, mianowicie, co do tego, czyje tłómaczenie jest prawowierne i autentyczne. Adwokatów stan czwarty liczy dzisiaj niemały zastęp, a chociaż po większéj części nie otrzymali pełnomocnictwa do stawania w obronie małoletnich, nie chcemy im z tego czynić zarzutu. Ileż-to spraw ludzkich i bez pełnomocnictwa było wygranych, gdy do rozwiązania dojrzały, i gdy je umiłowali bezinteresowni obrońcy! Słaba strona obrońców stanu czwartego leży w tém, iż nie są w zgodzie sami z sobą; dowiedzieć się zatém od nich, jakie są pretensye klienta, nie łatwo. Spotykamy się tu ze zjawiskiem pospolitém w dziejach sekt religijnych, szkół filozoficznych i partyi politycznych. W początkach wszyscy są zgodni i niby się rozumieją; ale już nazajutrz pokazują się różnice i obok szkół tworzą się przyszkółki, a obok zborów zborzyszcza. Czas, tylko mnoży te odrośle i wilki dziksze jedne

od drugich. Ubolewać nad tém zjawiskiem nie ma potrzeby—albowiem spory i wzajemna krytyka rozmaitych odcieni klaruje pojęcia i obcina wilki—a resztę pędów na owoc zachowuje.

Chociaż zatém obrońcy stanu czwartego rozmaitego są kalibru i rozmaicie tłómaczą życzenia mocodawców, jednakże mają pewną cechę wspólną, a jest nią metoda. Nie jest-to absolutna i nieomylna metoda nieboszczyka Hegla, posuwająca się w rozumowaniu przez tezę, antytezę i syntezę; jednak bardzo do niéj zbliżona. Metoda podobna prowadzi do wystawiania kontrastowo przeciwieństw, zachodzących już nie pomiędzy głuchemi pojęciami, lecz pomiędzy żywemi klasami społeczeństwa. Wprawdzie te klasy ujęte są także w pojęcia, bez których rozumowanie jest niemożebne—ale nie są-to byty i niebyty, lecz kapitał i praca, przywłaszczyciele i wydziedziczeni—wprawdzie nie Piotr i Jan, jednak nie Heglowskie cienie, jedno żywe i żywo czujące warstwy społeczne. Nie utrzymujemy, że obrońcy stanu czwartego nauczyli się téj dyalektyki w szkole Hegla, gdyż St.-Simon daleko wcześniéj przeciwstawił mieszczucha *(bourgeois)* robotnikowi; wszakże trudno zaprzeczyć i wpływu berlińskiego *Staatsphilosopha* na ich metodę, zwłaszcza, że sami się do tego przyznają. Pamiętając o tém, można rozumiéć, co w ich języku znaczy *klasa* i walka klas społecznych, stanowiąca treść dziejów rodu ludzkiego.

Drugą cechą metody, o któréj mowa, jest niezmiernie cięty, ostry jak brzytwa i wysoce plastyczny język. Oczywiście mamy na myśli koryfeuszów. Że taki język nadzwyczaj zapalnie działa i do szpiku się wrzyna, wiadoma to rzecz z dziejów wszystkich agitacyi. Bywa on niekiedy trywialny, ale najczęściéj sarkastyczny i wielce obrazowy. Co to za pyszne porównanie, gdy Marx powiada, że „właściwe narody handlowne siedzą tylko w międzyświatach *Intermundien)* starego świata jak bogowie Epikura, lub jak żydzi w porach społeczeństwa polskiego“ *(Das Kapital*, I; 57 wyd. z r. 1873). Albo: „kapitalista wie, że wszystkie towary, chociażby najbrudniejsze, najbardziéj śmierdzące, są i w wierze i w istocie obrzezanymi w sercu żydami, a do tego mają cudowną własność wytwarzania z pieniędzy jeszcze więcéj pieniędzy“ (Ibid. 138). Od innych porównań więdną uszy; należy to przecież do metody, która w nauce nie popłaca, ale do działania na masy jest dopasowana.

Krótkie to zboczenie o metodzie miało na celu pokazanie taktyki obrończéj, która polega na jaknajjaskrawszém stawianiu obok siebie przeciwieństw, uosobionych w klasach społecznych i na złorzeczeniu dotychczasowemu porządkowi czy téż nieporządkowi w stosunkach ludzkich. Takiéj metody nie mogli używać kowale lub cieśle, jedno doktorowie co najmniéj filozofii.

Zauważono już nieraz w szeregach przeciwnego obozu, że obrońcy stanu czwartego mocni są w krytyce istniejących urządzeń społecznych; jednak gdy chodzi o pozytywne i dające się urzeczywistnić reformy zwykle kończą negacyą i złorzeczeniem temu, co istnieje. Jest to poniekąd prawdą: do takich wniosków prowadzi studyowanie teoretycznych prac, ogłoszonych dotychczas zarówno przez głowaczów, jak i przez podrzędniejszych pisarzy tego kierunku. Jeżeli zatém chodzi o sformułowanie pragnień stanu czwartego, znajdujemy je wyrażane na rozmaitych kongresach, uzupełniane stopniowo, chociaż przy panującéj różnicy w opiniach niekoniecznie stanowiące *credo* wszystkich odcieni. Gdy bowiem jedni domagają się doraźnego obalenia istniejących urządzeń; drudzy umiejętniéj wyjmują cegiełkę po cegiełce z budowy społecznéj, licząc na trwalszy skutek takiéj roboty.

Otóż cofając się myślą do zjazdu genewskiego (1866), widzimy o co wówczas chodziło delegatom stanu czwartego. Najprzód tedy o zredukowanie godzin pracy do 8 dziennie. Co się tyczy dzieci, nie wyłączano ich od pracy zasadniczo, lecz życzono sobie, ażeby dzieci mające 9—12 lat pracowały w fabrykach i warsztatach tylko po 2 godziny dziennie; mające 13—15 lat po 4 godziny, a będące w wieku 16—17 lat po 6 godzin. Te ostatnie jednakże powinny mieć 1 godzinę odpoczynku. Na tym, kto używa dzieci do roboty, chociażby był krewnym, ciąży obowiązek myślenia o ich edukacyi, która powinna obejmować przedewszystkiém techniczne ukształcenie oraz wprawę do posługiwania się narzędziami; część kosztów za techniczne ukształcenie spada na rodziców. Daléj, życzono sobie zaprowadzenia podatków bezpośrednich, zniesienia stałych wojsk i t. p. Gdy francuscy delegaci poruszyli sprawy religijne, uznano je za obce i nie podległe dyskusyi. Roztrząsano téż pytanie, jakie kategorye pracowników, zaliczać do stanu czwartego, o czém jużeśmy wyżéj wspominali.

Były to życzenia jeszcze bardzo niewinne, dające się pogodzić z istniejącemi urządzeniami. Ale już następnego roku zjazd odbyty w Lozannie roztrząsał bardzo komunistyczne projekta: żądano zniesienia prawa spadkobrania, zaprowadzenia własności zbiorowéj zamiast indywidualnéj, tak dobrze ziemi jak i innych narzędzi pracy. Życzenia te nie wszystkim się podobały; odłożono ich rozbiór na późniéj, a tymczasem przyjęto rezolucyą, iż „narody powinny dążyć do tego, ażeby państwo stało się właścicielem wszelkich środków przewozowych.“ Co się tyczy wychowania dzieci, każdy ojciec powinien dbać o swoje i tylko w razie zupełnego ubóstwa, państwo ma dopomódz. Z planu szkolnego religia winna być usunięta.

Prócz tego budziła troskę delegatów perspektywa „piątego stanu“, który musi powstać, gdy się członkowie czwartego zwiążą w stowarzyszenia; pocieszano się wszakże tą myślą, iż drobne warsztaty upadną, a gdy weźmie górę wielki przemysł, ogarnie wszystkich pracowników i ujednostajni warunki ich bytu. Teraz, ponieważ płacy jeszcze nie można usunąć, należy godzić się z systemem zarobkowym i tylko dążyć do podwyższenia zarobków.

Dzieje późniejszych kongresów świadczą, iż pretensye stanu czwartego stawały się coraz dobitniejsze w formułowaniu, ale téż i radykalniejsze: ostatecznym ich wyrazem był komunizm i co innego być nie mogło. Zadziwia jedynie, że niektórzy adwokaci stanu czwartego chcą, ażeby im państwo pomagało do przeprowadzenia projektowanych zmian w dotychczasowym systemie produkcyi i zaprowadziło uniwersalne koszary; konsekwentniejsi z nich niczego się z téj strony nie spodziewają: państwo nazywa się u nich *Schmarozerauswurf*.

K.





PRZY KOŚCIELE.

NOWELA.

I.

Dawno już nie żyją ludzie, o których tu będę mówił. Wraz ze wspomnieniem przechowałem dla nich szczególny jakiś szacunek; postaci te występowały w mojéj wyobraźni tak często, że mię niewoliły, abym je urzeczywistnił w obrazku.

Po jednéj stronie Wiślicy stoją na wzgórzu Czarkowy, które sprawiają wrażenie fortecznego dominium średnich wieków; po drugiéj — może na wyższém jeszcze wzniesieniu widać Jurków. W tym Jurkowie był ubogi kościołek, który z góry spoglądał ku Wiślicy, patrzał na Nidę, na mnóstwo porozrzucanych dokoła wiosek, na łąki i błonia zdające się nie mieć granic. Pamiętam Jurków, widzę go wyraźnie niby kolumnę, która z ziemi wystrzeliła i wyniosłemi drzewami, kościołkiem swoim pnie się ku obłokom.

Dopóki byłem małym chłopcem, zawsze mi się zdawało, że Jurków codziennie podrasta.

Owego czasu kościołek był bardzo stary i niezmiernie skromny; dach jego stanowiła słomiana strzecha, zupełnie taka sama jak na chłopskiéj chacie; również i wewnątrz były tutaj sprzęty wielce ubożuchne.

Babka moja mawiała, że lubi się modlić w tym kościołku, ponieważ on przypomina Chrystusową stajenkę w Betleem.

Dzwonnica bynajmniéj nie była lepszą od kościoła; budynek ten chwiał się i trzeszczał w posadach swoich, ilekroć uderzono w dzwony. Na dachu jéj, także słomianym, corocznie gnieździł się bocian, który do poważnego jęku dzwonów dodawał nieraz swoje radosne klekotanie. Stary kościołek obsługiwali bardzo starzy lu-

dzie. Pleban tutejszy był biały od sędziwości, niski, pochylony, a jednak krzepki jeszcze człowiek. Mówiono, że miał blisko sto lat życia.

Podobno w młodych latach był on kapelanem przy wojsku i zapewne z powodu swoich wojskowych nałogów w sypialni nad łóżkiem, a pod krucyfiksem zawiesił na ścianie parę pistoletów. Nasłużywszy się w twardém rzemiośle Marsa, ksiądz Wincenty został proboszczem w Jurkowie, dokąd przyprowadził z sobą dwóch ludzi: Mikołaja, organistę głuchego i z jedną drewnianą nogą, oraz dzwonnika dziada, ślepego i bez ręki. Podobno organista miał lat przeszło siedmdziesiąt, a dziad przeszło ośmdziesiąt. Zresztą obaj ci ludzie nie posiadali ani umysłowéj. ani fizycznéj rzeźwości swego plebana; utracili pamięć i jak przez sen majaczyli o różnych wypadkach krajowych, które się dawno, dawno już odbyły, a oni je odnosili nieraz prawie że do „wczoraj, przedwczoraj.“

Proboszcz nazywał organistę „młokosem“, a dzwonnika „wiarusem.“

W Jurkowie oddawano cześć Panu Bogu bardzo skrupulatnie; ksiądz, organista i dzwonnik tylko nabożeństwem byli zajęci.

Ksiądz Wincenty modlił się dużo i msze święte odprawiał codziennie. Od ludzi nie chciał nigdy przyjąć pieniędzy za nabożeństwo, a kiedy spostrzegł, że ktoś szepła po kieszeniach, szukając dwuzłotówki, chwytał go zaraz za rękę i mówił:

— O nie, nie!.. Schowajcie sobie te groszaki na co innego! Pan Bóg odwróciłby się odemnie, gdybym ja za pieniądze zanosił modły do Niego.

Rano, skoro świt, przychodził codziennie organista na plebanią i zwykle zastawał już na nogach sędziwego proboszcza — niekiedy w wesołém, a niekiedy w smutném usposobieniu. Jeżeli ksiądz Wincenty był wesół, to się zaraz wdawał w rozmowę z organistą i wykrzykiwał mu nad uchem, w jakim kolorze ma się msza odprawić, a potém dodawał:

— Każ téż Tomkowi dzisiaj porządnie zadzwonić, niech wali, ile dzwony tylko wytrzymają!

A organista otwierał wtedy usta i ręką pocierał czoło, jakby sobie chciał przypomnieć, z jakiego to powodu ma się dzisiaj dzwonić głośniéj niż zwykle.

— Hę? — pytał. — Hę?

— A cóż ty, młokosie, nie pamiętasz, jaka to dzisiaj rocznica?... Słyszysz, toż to dzisiaj....

Wtedy organista zdejmował klucze z gwoździa nad kropielniczką, a idąc z plebanii ku kościołowi, mruczał sam do siebie:

— Bodajże mię osła kartacze rozbiły! Jegomość ciągle gada, żem młody, a mnie widzę łeb grzybieje, tak z niego wszystko wywietrzało....

Ten Mikołaj ubierał zawsze jedyną nogę w but z długą cholewą, a za cały strój służył mu płaszcz z peleryną, zapięty pod szyją na jeden guzik, pochodzący widocznie od żołnierskiego munduru, ale już zupełnie wytarty.

Pod dzwonicą spotykał organista dziada i przemawiał do niego krótko:

— Tomek, wal we dzwony, choćby ognia miały skrzesać!...

Wtedy ślepy dziadowina, macając przed sobą i potykając się, właził wewnątrz dzwonicy i mruczał:

— Dobrze jemu młodziakowi rozkazywać: „wal we dzwony!..“ A mnie oto starego drze w łopatce, bo się ta jedna ręka ciągle upomina o tamtę, com ją uronił...

Z tém wszystkiém dziad pocił się, a dzwonił, dzwonił, aż bociany podskakiwały na gnieździe.

Nareszcie wychodził z plebanii proboszcz, pogodny, uśmiechnięty i wtedy zastawał już dziada przy wejściu do kościoła.

— Dzielnieś się spisał, Tomaszu! — mówił ksiądz Wincenty, klepiąc starowinę po ramieniu bez ręki. — Dzwony huczały jak sto tysięcy armat! Ale jak ty, taki fajtłapa, możesz jeszcze tak dzwonić jedną ręką?

— Proszę jegomości, toć ja się sznurem od dzwonu przepasuję wpół ciała, a potém się kłaniam i kłaniam, no, a tym całym kikutem ciągam znowu sznur od drugiego dzwonu.

— Toś ty jeszcze zuch, Tomusiu! Chwat stary wiarus! Przyjdźże po mszy świętéj na plebanią, to sobie łupniesz jałowcówki albo piołunówki; skrzepisz się jeszcze lepiéj! Widzicie państwo, jak on pysznie umié dzwonić...

Wówczas Tomek całował proboszcza gdziebądź — w rękę, w plecy, w ramię, gdzie mógł ustami popaść bez pomocy oczu i odpowiadał:

— Jegomościunio zawdy dla mnie dobry! A ten organista, choćby też raz był kontent z mojego dzwonienia; nie, on ciągle powiada, że nic nie było słychać, jakem dzwonił.

— Śmiéj się z tego, Tomusiu! Mikołaj to głuchoń, jemu możesz oba uszy na wylot przestrzelić, a nie będzie wiedział, co się stało.

Chociaż ślepy Tomek krzepił się na plebanii to jałówcówką, to piołunówką, niewiele mu pomagało takie wzmacnianie; z dnia na dzień słabł coraz więcéj. Siły starego wyczerpały się i nareszcie nie mógł już głośno dzwonić. Pocił się nieraz nieborak, podwajał

usiłowania, a dzwony, nawet w dni takie, kiedy proboszcz bywał niezwykle ożywiony, jęczały bardzo smutnie, jakoś rozpaczliwie, jakby chrapały...

Właśnie coś w początkach Maja polecił był ksiądz Wincenty organiście głośne bicie w dzwony, a tu na plebanią dolatywał tylko ów jęk smętny, żałosny, przeciągły. Zdawało się, że to nie jest dzwonienie, ale jakieś wielkie westchnienia z pod ziemi, czy skargi i wyrzekania. Na głos ten proboszcz wybiegł czémprędzéj z domu i pośpieszył do dzwonnicy. Tutaj zastał Tomka nadzwyczajnie zmęczonego; biedaczysko w bezsilności pasował się z dzwonami, ręka widocznie odmawiała mu posłuszeństwa, drżała i tylko od czasu do czasu żywiéj za sznur szarpnęła. Dziad ocierał połą siermięgi pot z czoła, a z oczyma swemi pokrytemi bielmem i załzawionemi podobny był raczéj do słabego niemowlęcia, niż do ekswojaka.

Ksiądz Wincenty stał nieruchomy i w milczeniu spoglądał na wysiłki Tomka; wzruszenie sędziwego proboszcza wzrastało; naraz twarz jego wykrzywiła się boleścią i łzy jak perły po niéj spłynęły z oczu. Przyskoczył do dziada, pochwycił go za rękę, mówił:

— Dosyć już tego, Tomaszu! Zestarzałeś się, mój ty wiarusie, kto inny musi cię przy dzwonach wyręczyć.. Widzę, że już i na mój pogrzeb nie ty mi zadzwonisz.

Ksiądz pochwycił sam za sznury, ale i on do dzwonów już nie miał siły. Na błonia nadnidziańskie poleciały jakieś dzikie dźwięki, aż się od nich bocian porwał z łąk i co tchu leciał do gniazda zobaczyć, czy się aby co złego z jego dziatwą nie stało.

— O, brzydko coś dzwoni! — mówili ludzie we wsi.

II.

Posada dzwonnika dziada przy kościele jest też stanowiskiem społecznêm, do którego niejeden biédak wzdycha. Kiedy się więc rozniosło po świecie, że w Jurkowie potrzeba człowieka do dzwonów, zlazili się rozmaici żebracy, pragnący życie koczownicze zamienić na osiadłe. Jedni przychodzili tutaj od Gór i Węchadłowa, drudzy od Kazimierzy, od Czarków,— przybywali kandydaci nawet z pod Opatowca.

Atoli ksiądz Wincenty przebierał w dziadach jak w ulęgałkach; widać było ze wszystkiego, że jemu nie o samę siłę chodzi.

— Przecież lada kogo nie przypuszczę do dzwonów, taki dziad musi być człowiekiem, muszę miéć w nim przyjaciela...

Jednego dnia po południu proboszcz wyszedł na przechadzkę i, idąc przez wieś pomiędzy chatami, przystawał co chwilę, zawiązywał rozmowę już to z jakim gospodarzem, już z gospodynią lub dziećmi. Tak przebył całą wieś i znalazł się w polu za kołowrotem. Spojrzy i widzi przy drodze pod męką Pańską — klęczy kobiecina staruszka, istne chucherko, cień człowieka; szeptała pacierz, przesuwając w palcach różaniec.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł ksiądz swoim łagodnym cichym głosem.

Odpowiadając „na wieki wieków, amen“, kobiéta porwała się z pod krzyża, przybiegła do księdza Wincentego i złożyła mu ukłon do saméj ziemi, a potém poczęła mówić w te słowa:

— Zmiłujże się téż jegomość nademną; umyślnie oto aż od Dębian idę, bo mi ludzie powiedzieli, że przy kościele w Jurkowie potrzeba kogo do dzwonów. A ja się tu urodziłam, tu w Jurkowie, i jakem tylko podbiegła pod tę mękę Jezusową, tom zaraz z radości padła na ziemię, żeby się w swojéj wsi najprzód pomodlić.

— Jakże się ty kobiéto nazywasz? — zapytał proboszcz.

— Śmiguska, a ze chrztu Rozalia.

— Toć tu są Śmigusy w parafii,—krewniacy wasi pewnie?

— Ja bez krewnych jestem, dobrodzieju; siérotą mię Śmigusy przygarnęli i od nich mię wieś Śmiguską przezwała. Ale tamci Śmigusy dawno pomarli, Panie świeć ich duszy... Poszłam-ci ja ze wsi swojéj na służbę, gdzie to tam, het za rzekę, na Chroberz, aż pod Busk, pod Chmielnik....

— Po służbieś między obcymi chodziła — a długo?

— A dziéwką młodą stąd wyszłam i stérałam tak życie w tęsknicy za wsią swoją. Dopiéro, jak mi powiedzieli, że tu ręki do dzwonów potrzeba, jużem wytrzymać dłużéj nie mogła i w dérdy prawie trzeci dzień lecę, a po drodze rozpytuję ludzi—może wiedzą, czy mię téż jegomość do kościoła przygarnie.

— Cóż ci ludzie powiedzieli?

— Oj, narobili mi markotności! Powiadali, co jegomość do wyboru trudny i żaden mu się dziad nadać nie może, gdzież dopiéro baba! Alem sobie pomyślała: Czy to baba nie człowiek? Gdzieby téż jegomość w Jurkowie nie okazał zlitowania nad kobiétą, co chce kości między swoimi położyć?.. I przyszłam, mój ojcze!

— Ileż ty kobiéto miasz lat teraz?

— O mój jedyny jegomość, jakem była młoda, to tyle roboty zawdy leżało na rękach, że czasu nie starczyło nigdy, żeby sobie lata porachować... No, a teraz nikt do służby wziąć nie chce; każdy mówi: starzyzna taka — ni na zagon ze sierpem, ni do roboty przy

chałupie, pléć mogłaby, kłóski zbierać; ale za to znowu żywić nie warto; więc sobie myślę, że już kopa latek dobrze z górą przejść musiała po mnie.

Ksiądz Wincenty słuchał bardzo uważnie tego opowiadania, widocznie podobała mu się ta do wsi swojéj stęskniona babina, miał atoli różne skrupuły:

— Czy ona to dzwonić podoła, taka słabizna?—powiedział w rozmyśle na głos sam do siebie.

— Cóżby nie? Sztuka to jaka wielka?..—odparła kobiéta.

Powracał tedy proboszcz ku plebanii, a staruszka podążała za nim; serce biło jéj z obawy, czy téż aby na starość znajdzie przytułek w rodzinnéj wiosce przy kościele.

Była to kobiéta nadzwyczajnie zbiédzona, zczerniała na twarzy, rękach, pomarszczona, odziana w liche i brudne łachmany. Co ciężko zapracowała w młodym wieku, to w kilka lat na starość przeżyła i nędza ją przysiadła.

Dobre serce miał ksiądz Wincenty i ta dobroć przemogła jego nadzwyczajny wstręt do kobiecéj obsługi przy kościele. Najprzód pożywił zgłodzone biédactwo, potém wyciągnął własną koszulę, dał kobiécie jakąś starą sutannę i zalecił, żeby sobie to przerobila, bo przy kościele może być „ubogo“, lecz musi być „chędogo“—powiedział.

Uszczęśliwiona Śmiguska została tedy dzwonniczką w Jurkowie, a ksiądz proboszcz, organista i ślepy Tomek—wszyscy oni nazywali ją „panną“, ponieważ była najmłodszą.

Pytanie, czy umiała dzwonić? Podobno nikt przedtém, ani nikt potém nie sprostał jéj w owéj sztuce. Ksiądz Wincenty mawiał, że „panna“ formalnie gra na dzwonach, chociaż organista Mikołaj zawsze utrzymywał, że dzwonienie jest za ciche.

III.

Na owéj górze w Jurkowie życie upływało, niby fala Nidy, która spokojnie ciekła u dołu, kryształowo czysta a w czarnem korycie, strojnem po brzegach w zieleń i kwiaty. Bywało latem, gdy przed zachodem słońca puścisz się tu w pola, to zboża prawie całego z głową cię zakryją i wtedy niebo tylko widzisz nad sobą, a wokoło pełno różnych głosów się rozlega. Kłosy o kłosy biją, jedne na drugie się kładą, stąd szum, dzwonienie jakieś tęskne, długa pieśń niwy, jéj zbóż kłosistych, niby melodya miliona świerszczów. Znasz-li ten kraj, gdzie żyta i jęczmiona tak uroczo dzwonią?..

Ponad niwami szybują czteroskrzydłe szklarki, czasem która przysiada na kłosach, to zrywa się i znowu krąży; możnaby myśléć, że one sobie dla igraszki żyją na świecie. Pszczoły i trzmiele brzęczą na różne głosy; niebieskie motylki tułają się między kłosami, modrzą się jak bławatki, a na kłosach kołysze się spokojna biedronka. Czasem górą szybko przeleci ptak jaki, czasem zabrzmi w powietrzu chrząszcz wielki, który z sąsiedniego lasu wybrał się na wędrówkę po świecie. Dokąd on tak leci?..

Górką koło pola z kosturem w ręku, z fajką w ustach idzie oto polowy, rozgląda się po niwach, patrzy z góry, co się na dole dzieje; Coś spostrzegł, bo przystanął, fajkę z ust wyjął i krzyczy:

— „Hej, Naaastka!.. Nastka, bestyjo jedna!.. A odgoń tam bydlę od pszenicy“!..

Ten głos donośny posłyszała nietylko, Nastka, ale i wszyscy pasterze, którzy gdziekolwiekbądź paśli bydło w okolicy; każdy więc obejrzał swoje stado, czy też aby wszystkie jego sztuki są w porządku z przepisami rolniczéj policyi.

Ale niedługo potém znowu przez rozległe pola huknął głos innego strażnika pańskiego mienia, głos ekonoma:

— „Baaartek, łajdaku jeeeden!.. A będziesz mi ty tam postawał przy pługu“!..

I tak w tém wielkiem zbożu, krwawym dorobku naszéj pracy na kawałek chleba, dolatują cię przerozmaite głosy ze świata ludzi i zwierząt.

Niekiedy z oddalenia, od błonia dolatuje cię głos:

— Muuu!.. Muuu!.. Muuu!..“

To krowa, nie wiadomo czemu, rozryczała się tak żałośnie i w przestrzeń ona także ryk swój posyła. A innym razem konie przy pługu rżeniem odpowiadają koniom na pastwisku. Brat brata wita, lub brata prześladuje... O przyrodo, jak cię ma zrozumiéć człowiek, skoro tylu językami do niego przemawiasz!

Od wsi pies chłopski bieży przez zagony, przystawa, patrzy, nasłuchuje, skowronki i motyle płoszy; w łąkach spostrzegł zdala bociana i pędzi ku niemu ze szczekaniem; bocian zerwał się na skrzydła i z żabą w dziobie uchodzi na dzwonnicę do gniazda, a czubate czajki z hałasem strasznym na psa wpadają, kozły wywracają w powietrzu i wrzeszczą: „Kuik-kuik!..“

Chłopskie dzieci na to wszystko patrzą, w przyrodę się wsłuchują, od niéj się uczą mądrości.

— Głupie to takie dzieciska, lada czemu się dziwią,—mówili starzy gospodarze i stare gospodynie, dla których już żadnéj nowości nie było na świecie.

A organista Mikołaj zawsze po staremu przychodził na plebanią rano po klucze od kościoła i nieraz miał wielką chętkę do rozmowy; ale nigdy nie udało mu się złowić proboszcza na pogawędkę przed nabożeństwem. Więc dopiéro po mszy świętéj, gdy już kościół zamknął, znowu przychodził na plebanią, ażeby klucze zawiesić na zwykłém miejscu i do gawędy z proboszczem się skradał.

Ksiądz Wincenty sam sobie warzył kawę, a właściwie mówiąc, specyał przyrządzony z marchwi palonéj, kukurydzy i kilku zaledwie ziarnek kawy. Organista, jak mógł, dopomagał mu w tém zajęciu.

Stary pies Zagraj, jak tylko poczuł zapach dekoktu, wyłazil niespodziewanie z pod staréj kanapy, obitéj czarnym pokrowcem z włosienia, przeciągał się jako doskonale wyspane zwierzę i niebawem rozpoczynał umizgi o śniadnie. Mikołaj zaczynał od pogłaskania psa po karku, potém go klepał po bokach aż w Zagraju zadudniło, nareszcie przebąkiwał o potrzebie dészczu lub o niepewnéj pogodzie. Od tego przechodził organista do dowodzenia konieczności reparacyi dachu na kościele i pozłocenia dwóch apostołów, stojących przy wielkim ołtarzu.

— Straszne rzeczy — mówił jednego razu—żeby w domu bożym za każdym dészczem trzeba było podstawiać cebrzyki... Toć tam w tylu miejscach już kapie, że na całéj plebanii naczyń nie wystarcza do podstawiania... Jak kiedyś była ta ulewa, tom w karczmie balii musiał jeszcze dopożyczyć... A święci pańscy litościwie patrzą, żeby ich przyodziać, takie to wszystko poobdzierane.

Mówiąc to, Mikołaj od czasu do czasu chrząkał i o podłogę stuknął drewnianą nogą, a potém znowu daléj wyrzekał na opuszczenie kościoła.

— Siadajże, młokosie,—rzekł proboszcz;—przejdę, dziś oto po wsi, to tam który z gospodarzy dach jeszcze połata tymczasem... Cóż ja zrobię? Ludziska biédni, Pan Bóg wié o tém; niech się trochę zabiorą, a i dach z gontów zaraz stanie na kościele...

Organista odchrząknął, postawił sobie stołek w pobliżu drzwi i zasiadł; rozpogadzała mu się fizyognomia; widoczném było, że zaproszenie do siedzenia mocno go zobowiązało. Przechodził teraz do nowego tematu rozmowy.

— Proszę jegomości, czy téż kiedy będzie jeszcze co na świecie? Co téż gazeta mówi?..

— Jak to nie ma być?.. Już się przecie zaczęło!.. — huknął ksiądz Wincenty nad uchem głuchego organisty.

— Już?.. No widzicie państwo!.. Ja też sobie myślałem, że to wszystko długo nie wytrzyma... A kto téż kogo bije?..

— O, tam teraz gorąco we Włoszech, Francuz przysiadł Austryaka...

— A niechże mu téż Pan Jezus da zdrowie!.. Te francuziki— zawsze chwaty, to cięte bestyjniki... Oni do ruchawki jedyni: jak tylko przyjdzie co do czego, już ich masz! A proszę łaski jegomości, czy oni się téż kiedy wezmą do tego Prusa, bo to, psianoga, gorszy jeszcze od Austryaka?..

— Nie wzięliby się? Niech się tylko raz zakurzy, to poleci!.

— Juści będzie leciało, rozumiem; żeby tyla człowiek dożył.

— To już w rękach Boga...

— Pewnikiem przeciw szwabom sam cesarz francuski dowodzi? Napolion, co?..

— A jakże, krewny tamtego.

— Widziałem go na kopersztychu, jeszcze mu z oczu lepiéj od tamtego patrzy. Co za mina, panie święty — wąs... Już krew u nich widać taka gorąca... A my tu tak siedzimy i o niczém się nie wié...

W tém ktoś zapukał do drzwi, ksiądz otworzył i weszła Śmiguska; miała oczy jakieś wystraszone i spoglądała niespokojnie.

— A to co, moja panno?—spytał proboszcz, patrząc na przerażoną kobiétę. Stało się co?.. Mówże!

Tu Śmiguska zaczęła opowiadać, że dziad Tomek zaniemógł, że, siedząc w kruchcie podczas mszy, uczuł w sobie brak sił i prosił jéj, żeby go wyprowadziła z kościoła, a przez drogę ciągle mówił, jako już ostatnia godzina dla niego nadeszła.

— Zrobił się taki cichuśki kieby baranek, prosił jeno, żebym jegomości rozpowiedziała, co już jego koniec...

Proboszcz natychmiast się zebrał i poszedł.

W jednym rogu staréj plebanii, która powierzchownie prawie niczém się nie różniła od chłopskiéj chaty, była dobudowana przystawka, ogacona w koło żérdziami i suchém liściem; znajdowały się tam dwie komórki: siedziby organisty i dziada.

Kiedy ksiądz Wincenty wszedł tutaj, zastał Tomka siedzącego na tapczanie i trzymającego w rękach różaniec. Starzec miał wyraz twarzy spokojny; ani cień bólu, ani nadziei, ani żadnego uczucia nie odbijał się w jego rysach. Była to powaga mogiły. Człowiek czasem tak powoli schnie, więdnieje, próchném się staje i najspokojniéj kona.

Proboszcz usiadł obok Tomka, a ten wyciągnął rękę, dotknął sukni księdza i rzekł głosem cichym.

— Nażyłem się już, mój ojcze... Wypraw duszę moją z Bogiem...,

— No, no, wiarusie! Gadanie...

A Tomek zwrócił oczy swoje bielmem zaszłe w stronę księdza, chwycił go za rękę i urywanym głosem powiedział:

— Po-bło-go-sław!

To spojrzenie i te dźwięki sprawiły, że organista ze Smiguską uklękli w izbie pod drzwiami, a szept ich modlitwy za konających dziwnie brzmiał w ciszy.

Ksiądz pochylił głowę i dwaj biali starcy poczęli ze sobą coś rozmawiać cicho, poważnie; zdało się, że to nie jest żaden religijny obrzęd, ale szczéra potrzeba ludzka, tém szczersza, skoro ostatnia. Życie potrzebuje ulgi, aby się wyzwoliło lekko ze wszystkiemi swemi boleściami... Żyjcie na świecie piękne dusze, bo bez was ani żyć, ani umrzéć łatwo nie można.

To była spowiedź, skończyła się, a sędziwy kapłan miał łzy w oczach i do siebie tulił ślepego dziada. Tomek chciał się wyprostować, lecz głowa mu się trzęsła i spadała na piersi jakby zbyteczny ciężar; jednę drżącą rękę podniósł nieco i, jak żołnierz dający komendę, rzekł:

— Maaaarsz!...

Był to głos, podobny może do ostatnich dźwięków rozbitego dzwonu, gdy lecą w dalekie pola i coraz, coraz słabiéj drgają dla ucha, stają się głosem podobnym do szmeru liści, szumem skrzydeł przelatującego ptaszka.

I słychać było jeszcze w izbie, jak się żyjący bili w piersi:— „Boże, bądź miłościw“. Dziad konał bez walki, zupełnie przygotowany do przyjęcia śmierci, jako rzeczy przepisanéj przez nieodwołalne prawo. On już i oczu nie potrzebował zamykać.

— Nie wiécie wy, dla kogo to dzwony tak żałośnie huczą, jakby płakały, aż się w sercu coś dziwnego robi?—pytała we wsi jedna gospodyni drugiéj.

— A mój powiadał, że dziad Tomek pomarł, dawniejszy dzwonnik przy kościele.

— O, mocny Boże, niedarmo mróz po człowieku szyje!.. Starowina osobliwe różności pono w życiu przechodził.

— Wojakiem bywał na dalekim świecie—het, het... Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj świeci duszy jego.

IV.

Śmierć jednego człowieka, choć może zadać cios sercu drugiego, goi się atoli boleść jak rana i żyjący spokojnie idą w dalszym ciągu za głosem swoich potrzeb oraz nałogów życiowych. Tak było

i w Jurkowie po śmierci Tomka. Zajęcia przy kościele szły swoim trybem; tylko ksiądz proboszcz wkrótce jakoś potém zauważył, że do organisty Mikołaja potrzebuje mówić coraz głośniéj, a przychodzi mu to coraz trudniéj.

— Coś słabnę — mawiał sobie ksiądz Wincenty — kto wie, czy teraz nie ja z brzegu.

Mikołaj bo osowiał, ociężał, a stuk od jego kuli, zastępującéj mu nogę, był coraz cięższy. Kiedy przychodził rano po klucze od kościoła na plebanią, zdaleka już teraz słychać było jakby tętent kopyt końskich. Śmiguska nadała się najzupełniéj i nietylko bardzo starannie spełniała swoje własne obowiązki, lecz także w wielu razach wyręczała Mikołaja. Dawała się nawet słyszéć, żeby potrafiła za niego usiąść i grać na organach; bo „skoro taki głuch zagrać może, to cóż dopiéro człowiek słyszący.“

Jeżeli się odprawiała msza cicha, wtedy służył do niéj organista; w przeciwnym razie musiano sprowadzać syna kołodzieja, jedynego w Jurkowie chłopca, który umiał ministranturę. Otóż, Śmiguska utrzymywała, że onaby i do mszy potrafiła posłużyć, gdyby jéj tylko pozwolono.

W święta obchodziła z tacką po kościele, zapalała i gasiła świéce, zamiatała kościół, ściérała ze sprzętów kurze,—słowem, dużo rzeczy było na jéj głowie, a ona to wszystko wykonywała bardzo dokładnie.

Było to w samych początkach sierpnia, jednego z tych dni, które już od świtu zapowiadają pogodę; lazurowa barwa nieba jaśniała w całéj okazałości, a na niéj lśniło, jakby wykrojone, złote słońce. Śmiguska oczekiwała tylko na Mikołaja, dopóki od proboszcza nie wyjdzie z kluczami, a kiedy go ujrzała, że nareszcie już wychodzi, szła z nim pospołu, trzymając się pary. Organista walił w ziemię drewnianą nogą, brząkał pękiem kluczów i tak, oboje milcząc, przybyli pod kościół, otoczony wspaniałemi lipami. Naraz z dzwonnicy dał się słyszéć krzyk jakiś, na który babina zwróciła uwagę organisty, mówiąc:

— Święty Panie; a to widzę kociska gżą się po świętém miejscu!.. Słyszcie wy, panie Mikołaju?..

Organista się zatrzymał i niby to słuchał, lecz ponieważ nic nie usłyszał, przeto machnął tylko lekceważąco ręką i powlókł się, aby otworzyć drzwi świątyni. Śmiguska tymczasem wpadła do dzwonnicy i, o dziwo, zobaczyła tutaj maleńkie, nowonarodzone dziécię, które, zawinięte w białe szmaty, leżało w kobiałce, jakiéj się na wsi używa na kartofle podczas ich kopania. Dziecina wy-

grzebała sobie drobniutkie rączyny, tarła niemi twarz, nosek i mrużąc oczętami, pokrzykiwała.

— Czy zaś cud jaki, czy co? — pytała Śmiguska sama siebie. Królowo niebieska, a skądże się też tu wziął taki aniołek? Jacy bociany go przynieść musiały ze świata..

I czémprędzéj wzięła dziecinę na ręce, wyniosła ją na słońce, poczęła tulić, uspokajać. Malec usnął a babina bardzo się z tego cieszyła, chodziła wkoło kościołka, kołysała dziécię na rękach, nucąc mu nieustannie pod nosem: „Chyś, chyś! Luli, luli!“

W takiéj téż postawie spotkał ją ksiądz Wincenty; na ten widok zdaleka się już zatrzymał, wołając:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! A skądżeś ty to znowu wzięła?

— Jušci, proszę jegomości, pewnikiem z nieba taka opatrzność przy kościele!.. Musi święte jakie tak sprawiło, żebym onę dzieckowinę na wychowek wzięła...

— Jak to, znalazłaś dziecię pod kościołem?—pytał proboszcz ze zdziwieniem.

— Nie tak pod kościołem, jak w hań-téj dzwonnicy; leżało sobie niebożątko w opałczynie i powrzaskiwało nikiéj kocię...

— Tajemne są drogi Pana a niezgłębione Jego miłosierdzie!.. Niechże tam już i tak będzie... Będziemy musieli tę sierotkę ochrzcić, no i wychować.

— A jakie, on sobie téż imię przyniósł, mój jegomościńku? Spytała Śmiguska.

— Według dnia dzisiejszego, mamy czwartego sierpnia świętego Dominika, jeżeli to chłopak...

— Jušci chłopak, chłopak!.. Umiałaby się to dziewucha drzéć tak na całą gębę?..—A potém dodała:—Mojeś ty milusieńkie, mój Dumin...

Jakoż tego samego dnia jeszcze ochrzczono znalezionego malca, a jego rodzicami chrzestnymi byli: Mikołaj i Śmiguska.

Chodziło teraz o to, jak wyżywić dziecinę, któréj życie widocznie na dni się dopiero liczyło. Śmiguska z malcem na rękach puściła się po wsi, żebrząc pokarmu z piersi kobiét, które miały maleńkie dzieci; skamlała, zaklinała, przedstawiała, że sam Pan Jezus sobie życzy, aby miéć litość nad dzieckiem, znalezioném przy kościele. Trudno to matce ogładzać własne dziecko, żywiąc cudze, więc sprawa była bardzo trudna do przeprowadzenia. Nareszcie po długich korowodach stanęło na tém, że trzy matki podjęły się zmieniać kolejno co tydzień, przypuszczając Domina do porcyi swoich niemowląt. W taki sposób chował się malec i wychował tłusty,

pulchny jak klusek. Po kilku miesiącach tego łaskawego chleba na koszt najmłodszéj generacyi Jurkowskiéj gromady, Śmiguska zabrała dzieciaka do siebie, sprawiła mu dwa garnuszki i z macierzyńską gorliwością zakładała dalsze fundamenta wychowania.

V.

Z górą trzy lata minęło od znalezienia Domina w dzwonnicy, kiedy w Jurkowie miał miejsce fakt, który zupełnie przeobraził dotychczasowy tryb życia przy kościele. Zjechał tu był i osiadł jako wikary młody duchowny, ksiądz Jan Górka. Podobno konsystorz Kielecki, mając na względzie podeszły wiek i słabe siły księdza Wincentego, dodał mu do pomocy tego wikaryusza. Z nadzwyczajną ciekawością wszyscy się przyglądali księdzu, zupełnie niepodobnemu do starego proboszcza; Mikołaj pocierał to czoło, to uszy wobec nowych rozporządzeń, a Śmiguska ogromnie się bała nowego kapłana. Był ksiądz Jan wysoki, szczupły, z orlim nosem, z zapadłemi czarnemi oczyma, nadzwyczajnie poważny, a tak obeznany z zasadami św. Teologii, że stary Jurkowski proboszcz wyglądał przy nim jak nic nie umiejący prostak. Przedewszystkiém zgorszenie wikaryusza było nadzwyczajne na widok zupełnie opuszczonéj świątyni; za najpierwsze téż zadanie uważał on sobie ulepszyć, o ileby się dało, stan domu bożego: dać nowy dach, wprawić okna, wypędzić wróble, myszy i sowy. Niższa obsługa kościelna, złożona z Mikołaja i Śmiguski, nie podobała się księdzu wikaremu, ponieważ jego kapłańska energia nie znajdowała żadnego poparcia w téj parze staruszków. Należało—zdaniem jego—usunąć niedołęgów, ludzi do niczego. Ale stanowczo oparł się temu ksiądz Wincenty, mówiąc wyraźnie, że „dopóki tylko będzie żył, dopóty stary organista i stara dzwonniczka pozostaną przy kościele.“ Wynikły z tego małe kwasy, które jednak trwały bardzo krótko, bo gdzież taki gołąbek dobroci jak proboszcz mógłby się gniewać. Za to nie miał on nic przeciw odnowieniu kościoła i zbieraniu na ten cel funduszów.

W pół roku po przybyciu do Jurkowa księdza Jana kościół zmienił się do niepoznania. Jesteśmy oto właśnie w chwili wprowadzania nowych zmian przed odpustem, przypadającym w końcu kwietnia; rwetes ogromny panował przy kościele.

Ten Jurkowski kościół był pełen dziennych i nocnych stworzeń, a owe żyjące w świątyni istoty jakoś szczególnie się odróżniały w oczach ludzkich od istot własnego gatunku, żyjących na świecie.

Tak nieraz latem podczas mszy świętéj wpadała tutaj przez wybite okno jaskółka; sama sobie widać się dziwiła, czy się może wylękła, bo zataczała po kościele kilka kręgów, krzyknęła trwożliwie: „Witek, witek“ i wylatywała przez przeciwległe także wybite okno. To się powtarzało; jaskółka czasami siadała na gzémsie, na wiérzchu ołtarza, często i na organach, a nie okazując żadnéj bojaźni, rozglądała się po kościele. Zdaniem Śmiguski, mogła to nie być zwyczajna, rzeczywista jaskółka—ptak i nic więcéj. Kto wie, czy taka jaskółka, zuchwale wpadająca do kościoła, nie była czarownicą, jedną z tych, które na błoniu nad Nidą przelatują tuż pod wymieniem krowy, skutkiem czego przy dojeniu gospodynie otrzymują czerwone mleko? W każdym razie, jaskółka była podejrzanym ptakiem.

Ale, oprócz jaskółki wpadającéj do kościoła, jak nam się zdaje—przypadkiem, było tu więcéj jeszcze mieszkańców z państwa zwierzęcego, a niektórzy stale przebywali. Do nich należały wróble, ptaki świegotliwe, z niczego sobie nic nie robiące, śmiałe do ludzi, małe a szkodne.

— Taki wróbel, to na nic uważa—mówiono w Jurkowie.—Cały dzień tylko świérka: „Cirk, cirk, cirk“. Spędzisz go z konopi, już go masz za dwa pacierze. Postawisz stracha i myślisz, że się boi... Gdzie tam! Taki się niczego nie boi.

Otóż, wróble to dobrały się do kościoła i mnożyć się tu poczęły pod opieką boską; pozakładały gniazda, wabiły się, piszczały, świegotały, wtórując niejako ludzkim nabożnym pieśniom, albo i muzyce organów. Z powodu tych ptaków kościół wyglądał jak wielka klatka. Ani uroczysty spokój w dni zwyczajne, ani natłok ludzi w święta, ani bicie we dzwony—nic a nic nie wpływało na owe wróble. Oddane one były zupełnie rozkoszom uczuć rodzicielskich i małżeńskich. Po głowach świętych i aniołów skakały tak samo jak po drzewach.

Śmiguska co do wróbli miała także swoją teoryą, „bo gdyby to były wróble zwyczajne, toby się gnieździły w stodole lub wierzbowych dziuplach—nie w kościele“. Nie nazywała ona ich czarownikami, jak jaskółkę, ale twierdziła, że to są „dyabliki“.

Daleko jeszcze śmielszemi od jaskółek i od wróbli były kościelne myszy, czworonogi swawolne i zuchwałe jednocześnie, bezczelne do tego stopnia, że nieraz w oczach Śmiguski i Mikołaja goniły się około wielkiego ołtarza z zadartymi ogonkami.

— Myszy!.. — mawiał wtedy Mikołaj, pokazując babie palcem podskakujące zwierzęta.

— Jakie one tam myszy! — odpowiadała Śmiguska. — Giłyby się tak w bożym domu...

Mikolaj na jednéj nodze nie mógł ścigać myszy, a baba nie chciała, więc się zwierzęta ogromnie spoufaliły. Psotnikom nikt nie przeszkadzał. Myszy owe wszędzie się wścibiły; były one w zakrystyi, gdzie się dobierały do brewiarzy i ogryzały u nich grzbiety, biegały po konfesyonałach i między ławkami, a jedna nieustannie skrobała się w ambonie. Bywało nieraz w kościele, gdzieś tam za wielkim ołtarzem dawało się słyszéć ogromne chrobotanie, aż Śmigusce ciarki po ciele przechodziły; wtedy ona znowu palcem ukazywała Mikołajowi na ołtarz, ale organista wytrzészczał tylko oczy, bo nic nie słyszał, machał ręką koło ucha i robił swoje.

— Koniecznie coś takiego pokutuje w tym kościele... — mruczała baba.

Innym znowu razem także za wielkim ołtarzem słychać bywało: „szur, szur, szur, szur“, szmer zupełnie podobny do tego, jaki ma miejsce, kiedy się zasłonę u okna pociąga w górę na bloczki; widocznie „coś takiego“ wspinało się od dołu do góry i kto nie był głuchy, ten słyszał, że szybko lazło. Po niejakim czasie ni ztąd ni zowąd ukazywała się w górze na lichtarzu ołtarza myszka: siedziała zwykle w łuk zgięta, ogryzając coś w dwóch łapkach, a czarnemi oczkami zdała się ciekawie po kościele spoglądać.

— Byłaż to mysz? — Wielkie pytanie, które niepokoiło umysł Śmiguski.

Ona nie ośmieliłaby się stanowczo rozstrzygnąć tego pytania.

Czasem znalazł się w kościele i motyl, muchy także przychodziły tutaj w lecie z ludźmi; jednakże stworzenia te nie budziły jakoś żadnéj podejrzliwości.

Co się tyczy Mikołaja, to umysł jego, obniżony w swéj inteligencyi przez wiek i brak słuchu, był dosyć obojętnym na powyższe zjawiska i nie pozwalał sobie duchowéj przyjemności wyprowadzania stąd wniosków.

Jaskółki, wróble, myszy stanowiły zupełnie bezpośredni interes dla dzieci, które z rodzicami przybywały do kościoła i tutaj, równie jak na świecie, czerpały piérwsze pojęcia z zoologii. Kobiéty rwały się do upatrywania przyczynowego związku między pobytem zwierząt w kościele a życiem pazagrobowém ludzkiém. Mężczyźni po największéj części byli obojętni, co najwyżéj, gorszyło ich to, że marne takie zwierzęta napełniają świątynię, w któréj Jurkowscy parafianie zaspakajają najwyższe potrzeby ducha.

Kiedy znowu noc nastawała, wtedy zapewne myszy dokazywały w kościele jeszcze daleko więcéj, aniżeli we dnie; ale uwagę

Śmiguski od samego zmierzchu pochłaniała głównie sowa, która zasiadała na samym szczycie kościoła i ciągle kogoś ze wsi „na tamten świat wzywała.“

— Pó-ódź, pó-ódź! — słychać było nieraz daleko we wsi.

— Słyszycie, już się znowu drze!—mówiły baby. — A bodajżeś psianogo pypcia na języku dostała!...

— Nie bez tego, żeby kogo ze wsi nie wyciągnęła—powiadała ta i owa.

Dużo było w Jurkowie takich ludzi obojéj płci, co to żadne z nich nie poszłoby w nocy pod kościół, bo tam — mawiano — „coś jakby człowieka zdzierało.“ Nietylko że sowa wrzeszczała, ale dokoła latało jeszcze mnóstwo nietoperzy, przytém „buczały“ jakieś osobliwe chrząszcze, chrobotało się coś po dzwonnicy, kościół też jakoś tajemniczo wyglądał w nocy; człowiek lękał się tu odgłosu własnych kroków. Jedna z bab upewniała nawet, że czasami wkoło kościoła „obchodzi coś ze światłem.“

— Musi dusza jaka pokutuje...— rozstrzygała Śmiguska z wielką stanowczością.

Szczególna rzecz, iż ksiądz Wincenty, jako kapłan zachowywał się bardzo biernie względem nadużyć tych wszystkich stworzeń w świątyni; jego więcéj obchodziła choroba na dzieci, zaraza na bydło, niedostatek po chatach, aniżeli ubóstwo i nieład w parafialnym kościele. Taki staruszek, to tam może i nie wiedział o różnych wynalazkach, dokonanych przez postępowych teologów, więc— nie dziw—zaniedbywał rzeczy główne.

Raz właśnie w obecności nowego wikarego pojawiła się na plebanii stara komornica Nastka, któréj zdechła krowa, jedyne bogactwo; baba zanosiła się od żałości, wołając, jakby z pretensyą do księdza:

— O mój ojcze, że mię téż Pan Jezus nawiédził tak ciężko i ostatnie bydlę zabrał...

— Co ty mówisz, Nastka?—zawołał proboszcz.—Pan Bóg nikomu nic nie zabiera!.. Masz tymczasem pięć złotych i nie wyrzekaj...

Ksiądz wikary wzruszył ramionami, ponieważ w jego przekonaniu Pan Bóg zupełnie był mocen zabrać komornicy ostatnią krowę, jedyną żywicielkę téj kobiéty i jéj trojga dzieci. Zdaniem księdza Jana, proboszcz gasił u ludu wiarę.

Ale powróćmy do kościoła.

Jaskółki, wróble, myszy i sowy obudziły w księdzu wikarym ideę prześladowania. Była to właśnie chwila przed odpustem, kiedy myszy zniszczyły grzbiety u dwóch brewiarzy, nadgryzły okładek, a gotowe były zabrać się do zjedzenia zawartości tych ksiąg świę-

tych. Zgorszony ksiądz Jan wydał najprzód rozporządzenie wytępienia myszy i wróbli; było to coś w rodzaju rzezi Albingensów. Śmiguska łaziła po wysokich drabinach, wyrzucała gniazda ptasie z jajami i bez jaj, wróble wyprawiały piski, a Mikołaj chodził po kościele z cieślą, pokazywał mu mysie dziury i obaj zabijali je klinami. Ksiądz wikary osobiście prowadził nadzór, zagrzewając do gorliwości. Wróble w ogromnym popłochu zmykały na wszystkie strony, niektóre zasiadły pod samym sufitem i z przerażeniem spoglądały na zniszczenie. Jednocześnie szklarz, izraelita z Działoszyc, wprawiał w okna brakujące szyby, a na dachu siedziało kilku chłopów i odrywając starą strzechę, pobijało świątynię nowymi gontami.

Bacznemu oku księdza Jana nic nie uszło; pod płaszczem drewnianego świętego spostrzegł on dziurę i póty badał, przyglądał się uważnie, aż wewnątrz odkrył mysz. Pewny teraz swego, począł świętego opukiwać i mysz wyskoczyła; zapalczywie rzucono się za nią w pogoń: uszła do zakrystyi, z zakrystyi wypadła znowu do kościoła, pobiegła między ławki; ale wszędzie już dziury w podłodze pozabijano i przeto mysz musiała zginąć. Wikary był przekonany, że to jest ostatnia z myszy w świątyni. Dnia tego kilku zabójstw dokonano w kościele.

Oprócz tego wszystkiego, Śmiguska i Mikołaj wymyli od stóp do głowy aniołów i apostołów; dwie baby zajmowały się praniem alb, komży i t. d., a mały Domin pilnował ornatów oraz kap, które porozwieszano na parkanie dla przewietrzenia.

VI.

Nareszcie nadszedł dzień odpustu w Jurkowie.

Z pobliskich parafii licznie, jak nigdy przedtém, zjechali księża, poprzywozili ze sobą organistów; naszło się téż mnóstwo dziadów z okolicy. Każdy podziwiał Jurkowski kościół, odświéżony w tak krótkim czasie, jakby za dotknięciem róźdźki czarodziejskiéj. Naturalnie, księdzu wikaremu w oczy i za oczy nie szczędzono pochwał. On był skromny, spuszczał oczy, twierdząc, że niewiele zrobił i że do zrobienia jest jeszcze bardzo dużo.

Program nabożeństwa odpustowego był téż niezwykły, a mogący zadowolnić człowieka najbardziéj nawet wybrédnego w nabożeństwie. Ksiądz Jan przygotował przed odpustem prywatnie chóry śpiewaczek; pojawiły się głośno odmawiane przez wiernych modlitwy, o istnieniu których niekażdy ksiądz nawet wiedział. Jednem słowem, w Jurkowie było ogromnie dużo ostentacyi ku chwale boskiéj.

Na odpuście panował ścisk wielki i, jak zwykle w takich razach, choć dużo okazałości, mało pobożności. W czci boskiéj każdy chciał miéć jakiś udział wobec narodu; krzątali się około obsługi ołtarzy nietylko organiści i różni reputowani dziadowie, ale także chłopi, gospodarze z Jurkowa. Tego dnia Śmiguska pracowała ogromnie; miała na sobie płaszcz galowy szary, z pelerynką i z czerwonym krzyżem na piersiach, przez co się wyraźnie manifestowała jako kościelna dostojniczka. Jako taka, od samego rana zwracała na siebie uwagę ludzką: dowodziła parobkami, którzy się pożądliwie rwali do dzwonów, to znowu chodziła z długą tyką i zapalała świéce na ołtarzach, wstępowała do zakrystyi, przebiegała wzdłuż cały kościół aż do kruchty, gdzie postawała, wdając się w różne rozmowy z ludźmi; niejedna jéj czynność zdawała się być bez celu— tak sobie. Niemniéj zwracało to uwagę ludzi na osobistość wpływową i nader zajętą. Ten i ów kręcił głową, myśląc:

— Że téż to Pan Jezus jednéj marnéj kobiécinie dał taki rozum na wszystko.

Tymczasem mały Domin siedział sobie w kruchcie pomiędzy dziadami; czasem wybiegał przed kościół, przypatrywał się szkaplerzom, gwizdkom, kozikom i kukiałkom, sprzedawanym po kramach i znowu powracał do kruchty. On był dziadowskiém dzieckiem przecież i nie wyobrażał sobie nawet, ażeby w jakiéjś innéj sferze mogło człowiekowi być lepiéj na świecie. Nieraz Śmiguska, przybywszy do kruchty, spostrzegła, że chłopak ma zanadto odgiętą koszulinę, to go usadziła w kącie jak należy, mówiąc:

— Będziesz ty gołém ciałem świtał przed świętymi Pańskimi?.. zbereźniku jakiś.

Domin siedział wtedy na ziemi po turecku, starając się obie nogi ukryć jak najbardziéj pod sobą.

Jeżeli zaś Śmiguska nie zastała Domina w kruchcie, wybiegała przed kościół, chwytała go za rękę i wprowadzała znowu z taką nauką:

— O każdéj rzeczy człowiek pamiętać musi, a ty raku będziesz mi się tu jeszcze zapodziéwał... A do paciérza!..

Do nauki czasem jeszcze dodawała szturchańca, zapewne dla lepszego utrwalenia mu jéj w pamięci.

Istotnie, ksiądz wikary tak wymusztrował Śmiguskę, że kobiéta musiała o wielu rzeczach pamiętać; musiała ona wiedziéć, kiedy przypadało kazanie, bo podczas kazania chodziła z torebką i dzwonkiem, kwestując na kościół; musiała również pamiętać o procesyi, o kropieniu ludzi przez księdza święconą wodą, o okadzaniu

ołtarza trybularzem; musiała wiedzieć, kiedy należy dzwonić w sygnaturkę i kiedy chłopi z gromnicami mają iść przed wielki ołtarz.

— U nas teraz w Jurkowie nowa moda — mówiła do dziadów, przechodząc przez kruchtę — na wszystko trzeba mieć głowę.

A dziady kiwały głową, odpowiadając:

— To też nie żal przyjść do Jurkowa, narodu nasypało jak mrowia i dziad się tu dobrze pożywi...

Na odpuście podczas sumy ksiądz Wincenty spowiadał ludzi w konfesyonale należycie odmytym; tłumy wiernych garnęły się do niego, bo powszechnie utrzymywano, że Jurkowski proboszcz „jedyna dusza do spowiedzi", że „tak jakoś roztrząśnie człowiekowi caluśkie sumienie, co się potém niejednemu chce zapłakać nad sobą samym."

Staruszek nie gdérał, nie łajał, nie groził, prawił o dobroci Boga, o szpetności złych czynów, a kiedy się człowiek skruszył, to on go już rozgrzészał. Teraz oto usiadł, a chłopi spoglądają na niego z szacunkiem i szepcą między sobą:

— Niejednemu się zachce iść na spedaczkę, kiej nasz jegumość *słucha*...

Ksiądz Wincenty słuchał wyznania ludzkich grzechów, taki starzec musiał znać duszę człowieka wybornie i zapewne dlatego był pobłażliwy.

Ale cóż się to stało?.. Proboszcz zemdlał w konfesyonale, zwiesił głowę, opadły mu ręce i siedzi oto jak skamieniały. Zmęczony staruszek może i zasnął w tym ścisku, w gorącu?

W kościele zrobił się zamęt; chłopi niespokojnie spoglądają to ku księdzu, to jeden na drugiego, nikt się jakoś nie śmié przybliżyć do tego tronu, gdzie przed chwilą był sąd na ludzkie grzechy. Ksiądz Wincenty z zamkniętemi oczyma, blady, wyglądał jak posąg... Nareszcie Śmiguska przeciska się między ludźmi, wchodzi wśród gospodarzy poważnych, pokazuje im, co się dzieje, wzywa, ażeby nieśli ratunek dobrodziejowi. Rzuciło się kilku chłopów, dopadli, otwarli konfesyonał, a jegomość nieruchomy, spokojny zabrać im się pozwala...

Właśnie od ołtarza celebrujący ksiądz się odwrócił i zaśpiewał przeciągle:

— *Ite, missa est*...

Wynieśli proboszcza ludzie do zakrystyi, zléwają go święconą wodą, rzeźwią, ale jemu nic już nie pomaga.

Na wszystkie strony słychać:

— Jezus, Marya, Józefie święty — co się stało?

Stało się!.. Ksiądz Wincenty umarł w konfesyonale. Wysłuchał spowiedzi chłopa, powiedział mu naukę i właśnie miał dać rozgrzészenie, kiedy życia już na tę czynność zabrakło.

Ludzie ludzi zapytywali o przyczynę: „Z jakiego powodu umarł?“ Niektórzy podawali taką przyczynę nagłéj śmierci owéj:

— Spowiadał oto wielkiego zatwardziałego grzesznika, o którym wszyscy mówią, że zabił rodzonego brata... Ten chłop od dziesięciu lat chodził po świecie i wszędzie w różnych kościołach wyznawał swą straszną winę, a żaden ksiądz go nie rozgrzeszył... Przyszedł dziś do Jurkowa i już, już miał dostać rozgrzeszenie, lecz Pan Bóg na to nie pozwolił, bo więcéj niż sto lat pokuty wypada na takiego, kto braci zabija...

Tak mówili chłopi Jurkowscy.

Suma się skończyła i chór ludu zagrzmiał pieśnią: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie! Od nagłéj a niespodziéwanéj śmierci zachowaj nas Panie!...“

I każdemu po żyłach przebiegł dreszcz straszny, bo oto Pan Bóg nie zachował księdza Wincentego od takiéj nagłéj a niespodziéwanéj śmierci.

VII.

Już wiosna w całéj pełni rozbudziła życie na ziemi, kiedy przy Jurkowskim kościele zmienił się najzupełniéj tryb życia. Taki głuchy, kulawy, stary, niedołężny Mikołaj ostać się tu nie mógł jako organista; wprawdzie nikt go nie wypędzał, ale ksiądz Jan przyjął innego młodego do służby przy organach. Zaczęto pomiatać starym wojakiem, on tego przenieść nie mógł, mówił, że go już nic w Jurkowie nie wiąże, że darmo jeść chleba nie chce, więc się zabrał i w świat gdzieś poszedł ku Busku, ku Stopnicy.

Różę Śmiguskę tak bardzo znowu ograniczono w służbie, tak jéj poodejmowano wszystkie z kolei atrybucye, że się jéj teraz do niczego nie było wolno wtrącać; zabrała się przeto z Dominem, opuściła swoje stanowisko przy kościele, poszła na wieś, gdzie za „kąt“ i za „jadło“ zgodziła się pasać gromadzkie bydło.

Pamiętam ją jeszcze jako taką pasterkę. Widzę ją pod wierzbą, a Domin siedzi przy jéj stopach i coś sobie pośpiéwuje; ale śpiéwanie widać mu się sprzykrzyło, bo z kaprysem dziecka pieszczonego tak się napierał:

— Matusiu, opowiédzcie jaką bajkę.

— Dyć nie mam już co opowiadać, rozpowiedziałam wszystko com wiedziała — odrzekła baba.

— Jeszcze z jednę jaką musicie umiéć, tylko sobie dobrze wspomnijcie.

— Et, tobie tylko bajki w głowie, a tu ludziom biéda na świecie...

— Biéda? A to mi, matusiu, opowiédzcie o téj ludzkiéj biédzie.

— A czym ja ci to o biédzie nie opowiadała?

— Nie opowiadaliście ani jeden raziczek.

— Nie pamiętasz jacy, wiatr we łbie mający, musiałam opowiadać.

— Jako żywo, nie opowiadaliście nigdy, przenigdy! Opowiadaliście a to o dwunastu zbójach,—o dwóch bratach mądrych i trzecim głupim,—o czarowniku, co ludzi na zwierzęta zmieniał,—o Panu Jezusie, jak chodził po ziemi, — o pająku, co się Matce boskiéj sprzeciwiał.

— No, moi ludzie, to ten rak wszystko, widzę, pamięta...

Pod wierzbę poczęły się schodzić dzieci z całego błonia, zewsząd wołano:

— Śmiguska bajki opowiadają!

A baba tak zaczęła prawić:

— Było raz na świecie dwóch bratów—młodszy biédny, a starszy bogaty. I przyjechał ten biédny odwiédzić bogatego, a tam była uczta taka...

— Co oni tam, matusiu, jedli?

— Różności jedli, mój synu: mięso warzone i pieczone, rybę, a popijali to sobie nikiéj u ślachty. Ale temu biédnemu bratu, co to przyjechał, dali tyla kość do ogryzania.

— No, moiściewy, to ten bogaty brat nie był dobry człowiek.

— Bogać miał być dobry, kiej nie miał żadnéj litości dla swego! Choć ich obu urodziła jedna matka, to bogaty miał na sobie piękną kierezyą i obuty był jak się patrzy; siedział w białym dworze, miał siła służby i bydła, a robił mało. Biédny brat chodził w zgrzebnym przyodziewku i bez butów, a sam jeden musiał wszystko robić.

— Cóż się, matusiu, stało, jak biédny przyjechał do bogatego i kość mu dali do ogryzania? Pewnikiem ją cisnął w oczy bogaczowi?...

— Jak miał cisnąć, kiedy był głodny; wziął kość i wyszedł z domu, bo go przez pogardę nie posadzili przy stole. Na onéj kości nie było co ogryzać, można ją było tylko wyssać; tak się téż do niéj szczerze przyłożył, tak wysysał, jakby nigdy jedzenia nie widział... Ssie on i patrzy, a tu stoi przy nim biéda; ona się téż na kość zapatrzyła, o mało jéj oczy na wierzch nie wyszły, taka była głodna. I mówi mu ta biéda: Dałbyś mi, chłopie, odrobinę téj ko-

ści, bom okrutnie wygłodniała, przez całe życie nicem nie miała w gębie. — To i ja taki sam głodny — chłop powiada; ale widzisz przecie, że tu nie ma co ogryzać z wiérzchu, chybaby wléźć we środek... No, to jabym wlazła, bom chuda i brzuch u mnie taki jakbym była nitka. — Ha, kiéj chcesz, to właź! — powiada ten chłop biédny. I ona wlazła.

Kiedy się już biéda cała w kości schowała, wtedy sobie chłop pomyślał: Sprzykrzyło mi się strasznie z tą biédą na świecie; żeby ją téż tak w téj kości zamknąć na wieki. Jak sobie to pomyślał, tak wziął kołek, wsadził w kość i kamieniem twardo przybił, aż biéda zapiszczała, bo ją okrutnie przyparł. Potém podszedł do bruzdy i tam kość z óną biédą zagrzebał, a sam się zabrał i wrócił do domu.

Teraz mu dobrze było na świecie bez biédy, pełno miał szczęścia w domu naokoło. Zaraz sobie sprawił bieluśką sukmanę, nową magierkę i całe obleczenie; przyodział porządnie żonę a dzieci; u kołodzieja zamówił dwa śwarne wozy i kazał je sobie kowalowi okuć jak należy; na piérwszym jarmarku w Wiślicy nakupił bydła i był bogaty teraz.

Jak się o tém dowiedział brat starszy, tak zaraz w te pędy do młodszego pojechał i ogromnie się dziwił, że tyle majątku ma ten, co dawniéj był biédny. Zaczął on się wypytywać, jakim sposobem młodszy brat tyle bogactwa zdobył; czy może skarby jakie znalazł. Bo był ten starszy okrutnie zazdrosny i sobie tylko dobrze życzył. Więc mu młodszy szczérze wszystko rozpowiadał — po prawdzie i po sprawiedliwości. A ten sobie dopiéro pomyślał: Nie będziesz ty długo taki bogaty, bo ja chcę być sam tylko bogatym!—I poszedł wnetki do téj bruzdy, odkopał ówtę kość, a pytał:—Jest tu kaj Maćkowa biéda?.. A biéda jeno zaskrzeczała cieniuśkim głosem:—Juści jestem, wypuśćże mię miły człecze! — Zaraz cię wypuszczę — chłop mówi. I jak powiedział, tak zrobił. Ale co tylko kołek z kości wyjął, a tu biéda jak mu nie skoczy na szyję, poczęła go ściskać przez wdzięczność, a wykrzykiwała: — O mój ty miły, jedyny, już ja cię teraz całe życie nie opuszczę!... To ten bogaty brat zbiédniał potém do krzty, zmarniał całkiem, a biédnemu ciągle się wiodło, wielkim panem się stawał.

— Czy to tylko prawda, coście wy opowiadali? — zapytał Domin.

— Szczérzuchna, żywa prawda, mój synu: biédny brat w ziemi zakopał swoję biédę, a bogaty ją znowu na ziemię wygarnął.

Domin myślał nad tą bajką i inne dzieci zamyśliły się także, milcząc; ale milczenie przerwała im baba, mówiąc:

— Skocz no, synu i zażeń mi cielęta! Młode to i głupie gdziebądź w topiel zalezie.

Chłopak pobiegł, cielęta od topieli odpędził, lecz bajka o biédzie ciągle mu się snuła po głowie; to téż kiedy znowu wrócił pod wiérzbę, pytał Śmiguski jeszcze:

— A czyście wy, matusiu, znali tych dwóch bratów: bogatego i biédnego?

— Dziś ja to żyję na świecie? — odrzekła babina.—Toć znałam takich. Choćby na ten przykład w Czarkowach: był ci tam dawnymi czasy bogacz setny, siedział w malowanym dworze, jadł a pił tylko, chyba jeno ptasiego mléka mu brakowało... Ale musiał on biédę na ziemię wygarnąć, bo na nic a to skapiał.

— I on téż miał biédnego takiego brata?—pytały dzieci.

— Juści miał!.. Mieszkał tam we wsi u niego chałupnik, co jeno zagony odrabiał pod kapustą, a biéda go okrutnie dusiła; to on teraz paraduje w bieluśkiéj sukmanie i ma nowe kute wozy, a hań ten bogacz musi kaj na skraju świata z torbami po żebrach chodzi, kromki chleba u ludzi proszący.

— Widzicie wy, widzicie wy, jakie to dziwa!—mówiły dzieci.

— No, nie gadajcie teraz, nie wadźcie mi dłużéj, bo muszę odmówić koronkę do Przemienienia pańskiego...

— Na co wy się, matusiu, tak ciągle modlicie? — zapytał Domin.

— Bo tylko Pan Jezus może odjąć biédę od wszystkich ludzi.

Domin wstał zpod wiérzby, odszedł na bok, wyjął z zanadrza fujarkę i począł na niéj wygrywać.

VIII.

O, złoć się, święć się, luba wiosno w pięknym rodzinnym kraju!

Podobno cuda są nad Tybrem, Sekwaną, Renem; podobno szczęście do ludzi śmieje się tam z nieba, z ziemi... Ale są tacy, którym ojczyzna szeroki świat zamknęła, którzy nawet poprzez łzy swoje w niéj tylko szczęście dla siebie znajdują. Ci tęsknią za rodzinną wiérzbą, za sosną, za dziką gruszą na miedzy, za krzyżem znad drogi. Tacy bogate winnice świata oddaliby za jednę piędź ziemi zarosłéj na Powiślu wikliną; dla takich kurne, lepione chaty, z ich jaskółkami i wróblami są droższe niż rycerskie kędyś zamki, a pieśń ludowa dzwoni im a dzwoni w uszach i jeszcze na łożu śmierci jest dla nich sakramentem.

Wiosna! Pachnie od boru, w którym strumyki szemrzą, pierwiosnki, sasanki i konwalie kwitną, a ptastwo, jak lud siermiężny

pracowite, gniazda tam dla piskląt swych ściele. Po co chcieć księżniczek uśpionych w zaczarowanych pałacach pod wodą? Olbrzymy śpią w przyrodzie i w ludziach.

Wiosna! Błogosławionaś ty, złota pani!.. Przyleciała nad Powiśle, nad Ponidzie na skrzydłach jaskółek, miała szaty z wieńców białych lilii, ze stokrotek i żółtych kaczyńców. Przyleciało dobre bóstwo z gloryą rozśpiewanych skowronków u głowy, a miało swój orszak z bocianów i żórawi...

Wiosna! Brylanty światła na ziemię się sypią, cudne wonie w powietrzu płyną. Po błoniach w pląsy puścił się zefir i motylami pomiata; w tanach także pełnych wdzięku przelatuje pliszka. Ziemia rozesłała pyszne kobierce na przyjęcie bogini. Ludzie kraju, uczcijcież i wy ją, oddajcie jéj cześć taką, jaką odbierała od waszych pradziadów! Niech raźni parobcy ze świeżéj wiérzbiny fujarki utoczą i niechaj pieśnią swą zadziwią ptaki leśne. Kraśne dziewuchy niech wstążki wplotą w warkocze, niech się obloką w białe rańtuchy i do rąk wezmą palmy z młodéj wiérzby. Ku czci bogini wiosny święćmy niedziele palmowe, odwieczną rocznicę jéj poczęcia!

Wiosna! Stare matki gęsi wywiodły na błonie swój drobiazg pisklęcy, dziatwę miluchną, podobną do tych kotków złotéj wiérzby. Babka zpod kościoła pasie te gąski wraz z bydłem, przy nich się grzeje do słonka; skurczyła się, uwiędła, krzaczek z kobiéty się zrobił; jéj drżąca ręka sił nie ma już tyle, ażeby na mszę zadzwonić, więc pasa bydło, gęsi gromadzkie.

Wiosna! Białe i czarne owce w rozproszonéj gromadce strzygą szczypiór młodéj trawy; dwie sroki między niemi się uwijają i czasem owcom na grzbiety wyskoczą, a młode jagnięta wesoło przy matkach swawolą. Wszystko to hasa zawsze z chłopskiemi dziećmi, które się w matusine zapaski przyodziały, a każde gra, każde śpiéwa krakowiaka. Takie młode, skąd się to pieśni nauczyło? Z połową piosnki, to już na świat przyszły, a resztę z mlékiem od matek wyssały i teraz oto śpiéwają jak ptacy.

Zbiédzone bydełko wypędzone z chat na trawę; jakież to to nędzne, prawie się od wiatru przewraca. Ha, cóż—gospodarz przymarł w zimie głodu, więc i krowina jego musiała przychudnąć;—skrzepi się jeszcze na wiosennéj trawie.

— He, he! Sadula, a nie poléguj, paro jakaś! — woła jeden malec, pięciolatek może a mądry jak stary. — Takiéj dobréj trawy jeść nie chcesz? Może i mléka nie dasz na odwieczerz?.. Przezimowałaś, marcho, w izbie między ludźmi, to żyjże teraz jak się godzi! Mléka dawaj, bo biéda aż kwiczy u matusi w komorze: żyto już

wyszło na chléb, na kluski, a ziemniaki do kszty przemarzły w dole na mrozach!

Sadula, jak gdyby zrozumiała te słowa, powstała i wzięła się do zbierania trawy, ażeby w sobie wyrobić mleko do żywienia biédnych dzieci.

A tam daléj na błoniu słychać znowu głos innego malca:

— Kaj staa! Kaj staa! Smolicha, zatracona jedna! Do boru ci się zachciało? Cie-wy, bór jéj zapachniał! Moi ludzie, jaka to gadzina!.. A czy to ty nie wiész, że borowy zajmuje i potém płacić każą za zaimkę? Czémże tatuś za ciebie zapłaci we dworze, kiéj w chałupie okrutna biéda?

I tak się tu oto ludzie rozmawiają ze zwierzętami, jak gdyby z bliźnimi swymi ludźmi; biédacy utyskują na nędzę przed swoją gadziną i myślą, że gadzina te skargi rozumie,—może i rozumié.

Pobekują a podskakują cielęta, aż się chłopskim dzieciom dusza raduje od téj cielęcéj wesołości. W szybkiéj pogoni na wszystkie strony, niby przelatujące czarne strzały, krzyżują się jaskółki, ptaki święte, z różnych względów szanowane u ludu, prawie że domowe. Nawet leśne stworzenia nabierają ufności do tego towarzystwa na błoniu. Właśnie oto dudek przyleciał z boru, najeżył czuba, pomiędzy bydlem chodzi, a kłania się, a podryga. Istny komedyant!

Zdała od tego ruchu ludzi i zwierząt, pomieszanych z sobą widać niewielkie jeziorko, nakryte prześcieradłem zielonéj rzęsy, do połowy zarosłe sitowiem, chrząstką, rogoziną, tatarakiem i trzcinami. Tylko szkapa jakaś oddaliła się od całéj gromady i samotnie błądzi w pobliżu topieli, niekiedy ugrzęźnie w bagnie, a wtedy w gwałtownych ruchach wyskakuje, poczém brnie daléj, jakby ją niosły myśli samobójcze. Snadź tego konia nie boją się ptaki jeziora, bo dubelt spokojnie na brzegu żeruje, para cyranek w małżeńskiéj harmonii dokoła opływa, łyska koło trzciny się skrada.

Wiosno, urocza pocieszycielko, co ziemię szczodrze odradzasz i w milionach gatunków nowe pokolenia tworzysz, obdarz lud biédny darami swemi! Za największą modlitwę niechaj ci stanie ludzka niedola, jéj gorzkie łzy i czarne smutki.

Wiosna! A oto jasne niebo się ściemnia, słońce przez zasłonę mgły wzrok swój posyła na nasze błonia i w dali poważnie huczą pierwsze grzmoty. Jest to błogosławieństwo, którego ziemi udziela piękna bogini. To namaszczenie ziemi naszéj na płodność, na macierzyństwo.

Wszystko czuje uroczystą chwilę niebiańskiego zesłania, czują ją drobne trawki, wiérzby na błoniu i wszelka ludzka gadzina; wszystko oczekuje namaszczenia, poświęcenia wiosny.

T. I. Z. III. 1888 r.

Jeszcze raz poważny grzmot w chmurach się rozległ, a w kościele ziemi stawała się coraz uroczystsza cisza, coraz większe oczekiwanie na błogosławieństwo.

Stało się! Wielkie dyamenty już szumią w powietrzu, miliony łask bogini spadają na łono ziemi.

Z pod wiérzby wyskoczyły dwie małe dzieweczki, drużki, istne rusałki błonia, w spódniczkach, w koszulkach, na bosaka tańczą: nadstawiły główki pod strumienie ciepłego deszczu, wpół się ze sobą ujęły i przyśpiewują:

Kiej tą wodą głowę zmoczę,
Będęż miała ja warkocze —
Dana ino, dana!

IX.

Jednego dnia po południu pojawił się ksiądz Jan na Jurkowskiém błoniu wśród dzieci i bydła; szedł on poważnie z laską w ręku, ubrany w czarną, wąską a długą sutannę z pelerynką i w czarnym niskim kapeluszu z ogromném rondem. Pojawienie się księdza było niesłychaném zjawiskiem na pastwisku. Wnet téż cielęta i ich matki popodnosiły swe okrągłe, wielkouche głowy i spoglądały ze zdumieniem oraz z pewną podejrzliwością na tę czarną, uroczystą postać. Z całéj gromady wysunęła się naprzód jakaś krasa krowa o jednym rogu i z ciekawością poczęła się przybliżać do księdza.

Śmiałość zwierzęcia nie spodobała się widać nowemu proboszczowi, bo przystanął, podniósł do góry laskę i donośnym głosem krzyknął:

— Kto tutaj pasie to bydło?.. Hej, hej!

Ale Śmiguska siedziała zdaleka pod wiérzbą i ani widziała, ani nie słyszała, co się działo na drugim końcu błonia. Na głos księdza Jana chłopcy przestali grać na fujarkach, przestraszyły się małe dziewuszki i wraz z owcami poczęły uciekać, tylko krasa krowa z jednym rogiem szła ciągle naprzód, wpatrując się dziwnie w proboszcza swemi wielkiemi oczyma. Niekażdy może dotrzymać placu takiemu jednorogiemu potworowi, przeto ksiądz począł rejterować z pastwiska; wogóle bydło chłopskie nie dowierza czarno ubranym ludziom, więc i inne krowy zabierały się do naśladowania krasuli. Bóg raczy wiedzieć, coby się stało, gdyby się był nie nawinął w samę porę Domin. Na widok człowieka, choć małego, proboszcz odzyskał odwagę, poczuł swoje znaczenie, władzę i krzyknął rozkazująco:

— Rozpędź mi zaraz to bydło!

Domin poskoczył z witką w ręku, począł krowom sypać plagi, a kiedy bydło pierzchnęło, obejrzał się i z fizyognomią tryumfującą spojrzał w kierunku proboszcza; ten ostatni kiwnięciem palca przyzwał chłopca do siebie i zapytał:

— Kto tutaj na błoniu jest głównym pastuchem bydła?

— Matusia moja.. — odrzekł chłopiec, spuszczając oczy, jak gdyby mu skromność nie pozwalała się chełpić z wysokiego stanowiska matki.

— Idź no do matusi i powiédz jéj, żeby tu do mnie przyszła!— mówił proboszcz.

Malec między krowami pobiegł pod wiérzbę, gdzie Śmiguska przed chwilą właśnie opowiadała była jakąś historyą, a teraz klepała pacierze do Przemienienia Pańskiego. Wezwana przez Domina do księdza Jana, opuściła wiérzbę i spieszyła, o ile stać było na to jéj stare siły; przybiegła, objęła dobrodzieja najprzód nisko za nogi, a potém z namaszczeniem ucałowała jego rękę.

— Aaa!.. Śmiguska!.. To ty teraz pasiesz bydlo? — spytał proboszcz.

— Juści ja, jegomościuniu, juści muszę, kiedy się tam przy kościele już zmieścić nie mogę. — I znowu babina po raz wtóry ucałowała rękę księdza.

— Moja kochana, najprzód pamiętaj sobie nie nazywać mię nigdy jegomością, tylko ojcem duchownym... Następnie, powiédz mi, co tu na pastwisku robi tyle dzieci?..

— Poprzyłaziło to ze wsi, głupie takie i ferta się, zwyczajnie, gdzież pójdzie...

— Słuchajno, Śmiguska, żeby mi tu noga żadnego dziecka ze wsi nie postała na błoniu!.. Ty mi będziesz za to odpowiadała, rozumiész?...

— Proszę jegomo...—tu Śmiguska ugryzła się w język, pomna, iż nowego proboszcza nie należy jegomością nazywać. — A cóż te dzieciska będą robiły? Na wsi się to porozpuszcza, a tu choć co nieco odemnie nieraz posłyszą.

— Dzieci będą miały inne zajęcie, będą chodziły na naukę do organisty. Tak być nie może, jak było dotąd... Ja nie chcę być pasterzem trzody, która się z bydłem chowa.

— Dziwności! — zawołała baba. — Mnie ta ów drobiazg nie wadzi, jacy pomaga; bo mam z tego wyrękę, jak przyjdzie bydło zaganiać... A tu w téj wsi, to utrapiona gadzina, takie nieusłuchane stworzenia, że jedno z drugiém nie chce kupy trzymać, jeno się rozłazi na okolicę, a moje nożyska, serdeczny ojcze, już stare...

— No, no, dzieci muszą się uczyć; inaczéj być nie może!—powiedział ksiądz z wielką stanowczością.

— Choćby ich się ta ze troje do nawracania bydła ostało, to niechby się reszta i uczyła — mówiła Śmiguska, nie myśląc, że mimowoli zakłada protest przeciw postanowieniom proboszcza.

Jednéj i drugiéj stronie chodziło o dobry gatunek pasterstwa.

— Ani jedno dziecko z Jurkowa nie będzie przebywało na pastwisku!—rzekł proboszcz tonem takim, jak gdyby przytaczał jedno z dziesięciorga przykazań bożych.

— Jeno mój Domin, to już przy mnie musi zostać, będzie mu się tu cniło bez drugich dzieci...

— On także musi iść do organisty na naukę!

— O mój złociuśki jegom..., niechże téż choć on jeden ocaleje! Dyć mi jego podarujcie, skoro mi go na pociechę Przenajświętsza Panienka sama zesłała!..

— Nie można!—odparł krótko ksiądz Jan, a po chwili dodał: — Powinnaś się cieszyć z tego, że organista nauczy twego syna służyć do mszy, że chłopiec będzie mógł z czasem modlić się na książce...

— Eee, kaj jemu niebożątku sieroteczce do takich rzeczy! Nałamie jeno po próżnicy głowy, namitręży i koniec! A ja się na nic bez niego zalabiduje...

— Dlaczegoż go nazywasz sierotą? Toż on twój syn przecie?...

— Syn nie syn, bo nie rodzony... Domin je najduch, tylo ja go we dzwonnicy nalazłam i na wychowek wzięłam.

— On jest podrzutek? — zapytał proboszcz, a potém się zmarszczył i mruknął jakby sam do siebie. — Jakaż to zaniedbana parafia... Ludzie dziczeją jak zwierzęta w chuciach rozpusty i bez znajomości Boga.

Powolnym krokiem oddalał się z błonia ksiądz Jan, a dzieci ciągle ścigały go swemi oczyma i krasa krowa z jednym rogiem także spoglądała za znikającą czarną postacią. Śmiguska tymczasem szeptała: — Kiej Panie nie dajesz zmiłowania i przemienienia, to ci ochfiaruję cierpotę swoję na większą Twą chwałę... — Przytém otarła łzę w zapaskę.

X.

Z górą dwa lata ubiegły od śmierci księdza Wincentego, a w Jurkowie przy kościele wszystko się zmieniło do niepoznania. Świątynię pańską przyozdabiano nieustannie wewnątrz i zewnątrz; oddawna zniknęły tutaj wróble, myszy i sowy; potém bocian tak-

że opuścił dzwonnicę i założył sobie gniazdo we wsi na chłopskiéj stodole. Plebania wyglądała teraz pięknie jak pałacyk, a organista miał także oddzielny domek przy kościele.

Dzieci uczyły się ministrantury i łacińskich śpiewów, za postępy odbierały nagrody, za niedbalstwo je karano. Słowem, wszystko się zmieniło.

Domin był to nadzwyczajnie niedbały i niepojętny uczeń; chłopak ten, ile razy mógł, uciekał do matusi na błonie: od nauki u organisty stronił jak od ognia. Raz i drugi otrzymał on surową karę, co mu ochoty wcale nie dodało.

Złożono teraz winę na matkę, a to tém bardziéj, że Śmiguska dawała na błoniu przytułek nietylko synowi, lecz i innym szkolnym zbiegom. Istotnie, ta kobiéta była zanadto pobłażliwą dla dzieci, niechcących się uczyć.

Ażeby zło w samym rdzeniu zniszczyć, odebrano staréj babie nadzór nad gromadzkiém bydłem. Ponieważ nie miała pracy, więc żyć nie było z czego. I gromada zmieniała się w Jurkowie—prawie wszyscy trzymali stronę księdza Jana, przeto Śmiguskę uważano za niedobrą kobiétę i z niechęcią znoszono ją we wsi jako ciężar.

Pewnego dnia po południu ksiądz Jan wyszedł na drogę za kołowrot, tutaj pod krzyżem z męką Pańską spotkał klęczącą staruszkę, a przy niéj chłopca w jednéj koszuli; była to Śmiguska i Domin. Baba żegnała wieś swoją, gdzie już nie było dla niéj schronienia; skończyła modlitwę, otarła łzy, ucałowała świętą rodzinną ziemię, podniosła jéj garść i wkładając ją w żebraczą torbę, rzekła do chłopca:

— Kiej umrę u obcych, to mi wrzucisz do grobu.

Wstali i w świat poszli.

Adolf Dygasiński.





ZAGADKA WNĘTRZA ZIEMI.

Mozolna praca człowieka nad odsłonięciem tajników przyrody stawia nam przed oczy i urzeczywistnia legendową walkę tytanów z synami Saturna. Walkę tę zuchwały ród Japeta zwycięsko prowadzi: wydarł już Jowiszowi niebo jego błękitne, a Neptunowi niezmierzone i niezgłębione morze. Niebo rozbił i w nicość je rozwiał, a złote gwiazdy rozrzucił w przestrzeń, zmierzył ich odległość, odcyfrował skład ich i budowę; morze przepłynął i z najgłębszych toni wydobył twory tajemne, dziwaczniejsze nad fantastyczny orszak Neptuna. I tylko Pluton, ponury bóg podziemi, urąga wszelkim zamachom, zawistnie broni dostępu do swego dziedzictwa i strzeże go od oczu ciekawych. Aż do nieskończoności rozejrzał człowiek przestrzeń ponad sobą, a tuż pod nim, w najbliższém jego sąsiedztwie, istnieje świat tajemny, na całą wieczność dlań niedostępny. Otwartym bojem nie zdoła on pokonać zagadki wnętrza ziemi, ale wezwał do pomocy matematykę i geodezyą, astronomią i fizykę, chemią i geologią, by na téj podstawie oprzéć gmach hypotetycznych domysłów. Gmach to wprawdzie wątły, ale tak położony fundament jego dosyć jest bezpieczny, by zachęcił do rozejrzenia szczegółów wzniesionéj dotąd budowy.

I.

Skoro do wnętrza ziemi sięgnąć mamy, uprzytomnić sobie przedewszystkiém należy odległość, jaka nas od środkowego jéj punktu dzieli. Gdy bezpośrednie wysondowanie téj odległości jest rzeczą niemożliwą, daje się ona obliczyć ze znanéj długości południka ziemskiego, jako koła wielkiego opasującego naszę planetę. Sprawa pomiarów ziemi, rozpoczęta przez Eratostenesa w Aleksan-

dryi na 200 lat przed nar. Chr., a dotąd bynajmniéj nie ukończona, łączy się w pewnym punkcie, jak to zobaczymy, i z kwestyą, która nas teraz zajmuje; odbieglibyśmy jednak od naszéj rzeczy zadaleko, gdybyśmy o tę kwestyą potrącać chcieli (1), przytoczymy więc tylko, że od bieguna środek ziemi oddalony jest prawie na 856½ mil geogr. Nie ze wszystkich jednak punktów powierzchni ziemi do jéj środka równie jest daleko,—ktoby tam zapragnął dotrzéć nie od bieguna, lecz od któregokolwiek punktu równika, musiałby przejść 859½ mil geogr. zatém o 3 mile więcéj. Te trzy mile stanowią to, co podbiegunowém spłaszczeniem ziemi nazywamy. Łatwo wszakże widziéć, że sama ta długość trzech mil nie może stanowić miary spłaszczenia ziemi, ani nawet o wielkości jego pojęcia nam nie daje. Jestto bowiem wielkość względna: gdyby ziemia była mniejsza, różnica trzech mil między promieniem równikowym a biegunowym miałaby znaczenie donioślejsze; gdyby wzrosła do wymiarów znacznie większych, trzy te mile stałyby się drobnostką podrzędną. Stosunek tylko powyższéj różnicy do istotnéj wielkości ziemi, a raczéj do jéj promienia, wyrazić nam może wielkość spłaszczenia ziemi. Według tego wynosi ono zatém 3/859, tj. nieco więcéj nad 1/300; znaczy to, mówiąc językiem jak najzwyklejszym, że od bieguna do środka ziemi jest o 1/300 bliżéj aniżeli od równika.

Ułamek ten wszakże, jak to już z liczb wyżéj podanych wypływa, daje tylko przybliżoną wielkość spłaszczenia ziemi. Łatwo dziś wprawdzie powtarzać, że ziemia ma postać kuli pod biegunami spłaszczonéj, trzeba jednak było geniuszu aż takiego Newtona, by wnieść z pewnych objawów, że odstępuje ona od prawidłowéj formy kuli; a i dotąd jeszcze, pomimo niezmordowanych i długoletnich wysileń spłaszczenia tego z zupełną dokładnością oznaczyć nie zdołano, jakkolwiek nie poprzestano na bezpośrednich geometrycznych pomiarach ziemi, ale poradzono się i wahadła, które pod biegunem, już dla bliższego sąsiedztwa ze środkiem ziemi, kołysze się nieco prędzéj aniżeli na równiku, a nawet odczytywano wpływ spłaszczenia ziemi i w pewnych nieprawidłowościach w obiegu księżyca, który w ruchu swoim pod bezpośredniém wpływem planety naszéj zostaje. Trudności, z jakiemi zadanie to walczyć musi, pozwalają dziś z dostateczną pewnością tyle tylko powiedziéć, że spłaszczenie to nie jest większe nad 1/289 ani téż mniejsze nad 1/294. Pytanie zaś o naturze wnętrza ziemi łączy się ściśle z wielkością jéj spłaszczenia.

---

(1) Metodę, historyą i stan obecny pomiarów ziemi opowiedział autor niniejszego artykułu w broszurze „O postaci i ciężarze ziemi" (Warsz. 1885).

Podane wyżéj wymiary promienia ziemskiego już same wystarczają, by wykazać niemożebność bezpośredniego dotarcia daleko w głąb ziemi: dosyć powiedzieć, że największa głębokość, do jakiej człowiek dotąd przeniknął, czy to w kopalniach, czy za pośrednictwem otworów świdrowych, czy wreszcie przy wywiercaniu studni artezyjskich nie przechodzi 1300 metrów, a zatém pięciotysięczną ledwie część promienia ziemskiego. Kto zeskrobał ostrożnie cieniutką powłokę dyni lub pomarańczy, alboż wié cokolwiek o budowie tych owoców o układzie ich nasion? Taki nieznaczny naskórek ziemi odsłoniono dotąd ledwie tu i owdzie. A jednak, kto zwiedził choćby Wieliczkę tylko, już zrozumié łatwo ogrom pracy, jaki długie pokolenia łożyć musiały na przekopanie tych jam podziemnych, olbrzymich względnie do sił naszych, a mikroskopowo drobnych odnośnie do objętości całéj bryły ziemskiéj.

A nawet, pomimo całego rozwoju dzisiejszéj techniki, nie jest prawdopodobném, aby granice te człowiek mógł kiedykolwiek znacznie przekroczyć; coraz wzrastające ciśnienie, trudności dostarczania powietrza i tym podobne względy stawiają nieprzebytą tamę dalszemu posuwaniu się górnictwa do głębszych pokładów.

Niedawno obiegał pisma pomysł pewnego amerykanina, by wszystkie mocarstwa połączyły swe siły i nakłady na przekopanie szybu w głąb' ziemi, który by wreszcie do jéj środka sięgnął. Wartość takiego projektu łatwo ocenić, choć pomysłowy amerykanin miał na zawołanie i siłę dostateczną, pragnął bowiem by na ten cel wszystkie państwa zofiarowały swe wojska. Chciał on może tylko wszystkie armie w głąb' ziemi zakopać.

Bo chociażby mógł kto roić, że przeszkody, o jakich wspomnieliśmy, zdoła przezwyciężyć przyszły rozwój naszych środków technicznych, to zawsze nieprzebytą zaporę stawiać będzie wysoka temperatura, już w niezbyt stosunkowo znacznéj głębokości panująca.

II.

Wiadomo powszechnie, że wpływ promieni słońca, którym powierzchnia ziemi i otaczająca ją atmosfera wyłącznie ciepło swe zawdzięczają, w głąb' ziemi daleko nie sięga. Termometry zapuszczane w ziemię okazują w głębokościach coraz znaczniejszych coraz słabszy ruch roczny. Z licznych w téj kwestyi badań szczególniéj wymowne są rezultaty otrzymane przez Forbesa w Anglii, który w trzech miejscowościach, różniących się naturą gruntu, osadził termometry w głębokości trzech, sześciu, dwunastu i dwudziestu czte-

rech stóp ang.; przebieg roczny temperatury pomimo rozmaitości gruntu, okazał się wszędzie dosyć zgodnym,—w głębokości trzech stóp różnica między najwyższym a najniższym stanem termometru w ciągu roku wynosiła 8°C, w głębokości sześciu stóp 5,5,° w głębokości dwunastu stóp niespełna 3°, a wreszcie w głębokości 24 stóp termometr przez rok cały okazał przeskok ledwie o 0,8°.

W ogólności, już na kilka stóp pod powierzchnią ziemi ustaje różnica między temperaturą dnia i nocy, a w odległości nieco znaczniejszéj. kilkudziesięciu mniéj więcéj stóp, termometr nie okazuje już żadnéj zmiany nawet w ciągu roku całego. Czy to powierzchnia ziemi rozgrzewa się działaniem promieni letnich, czy to ścina ją mróz zimowy, w głębokich piwnicach temperatura panuje stale jednaka, bez względu na uderzające przeobrażenia, jakie następstwo różnych pór roku na powierzchni ziemi powoduje: promienie słoneczne, pochwycone i pochłonięte przez wierzchnie pokłady ziemi nie dochodzą już do téj „warstwy obojętnéj", któréj stateczna zawsze temperatura odpowiada mniéj więcéj średniéj temperaturze położonéj nad nią miejscowości.

Istnienie téj warstwy obojętnéj zdradził termometr umieszczony w piwnicy obserwatoryum paryskiego, w głębokości 28 metrów, który od stu lat z górą okazuje niezmienną temperaturę 11,82°; trudniéj jednak powiedziéć, w jakiém mianowicie oddaleniu od powierzchni warstwa obojętna przypada. Niewątpliwie, w różnych stronach ziemi mieści się ona w rozmaitéj głębokości; tam, gdzie w ciągu roku temperatura ulega słabszym kołysaniom, gdzie obszerność roczna jéj zmian jest mniejszą, czyli, innemi słowy, gdzie odskok między temperaturą lata i zimy jest niewielki, wpływ promieniowania słonecznego ustaje także w niewielkiéj głębokości; tam zaś, gdzie kołysanie roczne temperatury okazuje obszerność znaczną, chwiejność jéj ujawnia się w głębszych znacznie warstwach skorupy ziemskiéj. Wypływa już stąd, że w stronach równikowych warstwa obojętna znajduje się daleko bliżéj powierzchni, aniżeli w strefach biegunowych. Według Boussingaulta, w okolicach zwrotnikowych Ameryki południowéj już w głębokości połowy metra ustają wszelkie zmiany temperatury, według późniejszych wszakże dostrzeżeń i w tamtych nawet krajach zstępować trzeba o5 metrów, aby osiągnąć warstwę obojętną. Znaczna różnica obu powyższych danych wskazuje już, jak niepewne są jeszcze wiadomości nasze o przebiegu pod powierzchnią ziemi téj warstwy obojętnéj. W każdym razie obniża się ona coraz więcéj, w miarę, jak zbliżamy się ku biegunom, a tam, gdzie temperatura średnia opada niżéj zera, wierzchnie pokłady są do znacznéj głębokości zlodowaciałe.

Świadczy o tém wymownie słynny szyb Szergina, wybity w Jakucku w Syberyi. Robotę rozpoczęto w r. 1828, a w r. 1837 doprowadzono ją do głębokości 116½ metrów, nie dosięgnięto jednak jeszcze granicy zlodowaciałego gruntu, a temperatura wynosiła tam—0,6°. W r. 1844 temperaturę téj studni badał dokładnie Middendorff z polecenia akademii petersburskiéj i przekonał się, że średnia temperatura roczna Jakucka—10,15°C, występuje już w głębokości 6 metrów, odtąd zaś temperatura wzrasta statecznie, ale jeszcze na dnie studni wynosi—3°. Z rachunków, opartych na podstawie swych dostrzeżeń, wywnioskował Middendorff, że kres przemarzłego gruntu przypadać może dopiero w głębi 186 do 196 metrów; prawdopodobnie jednak jest to liczba zbyt wielka, inna bowiem studnia w tamtych stronach wykopana dotarła do wody w głębokości 126 metrów.

Zmiany temperatury, na powierzchni ziemi zachodzące, w głąb' jéj nietylko słabiéj, ale i poźniéj przenikają. W przytoczonych wyżéj obserwacyach Forbesa w gruncie ze skały porfirowéj utworzonym najniższa temperatura w głębokości 3 stóp zachodziła nie w styczniu, ale w połowie lutego; w głębości 6 stóp termometr zeszedł najniżéj w połowie marca, w głębokości 12 stóp około 20 kwietnia, a wreszcie termometr najdaléj zapuszczony, do 24 stóp, przeszedł przez stan swój najniższy dopiero w połowie lipca. Potrzeba było zatém aż półrocza, aby w gruncie tym chłód zimowy przeniknął warstwę 24 stóp ang. Tak samo bracia Aubel nad morzem Białém w początkach sierpnia 1873 r. w czasie dnia gorącego, w głębokości jednego metra pod gruntem pokrytym roślinnością napotkali warstwę lodową. Opieszałość ta ruchu ciepła tłómaczy się słabém przewodnictwem materyałów tworzących skorupę ziemską.

To jednak, co tuż pod powierzchnią ziemi zachodzi, jest raczéj jeszcze rzeczą meteorologii i nie waży zgoła w kwestyi, która nas teraz zajmuje; idzie nam raczéj o to, co się dzieje poza ową warstwą obojętną.

Już słynny jezuita Atanazy Kircher, autor osobliwych dzieł naukowych z wieku siedemnastego, dowiedział się od górników freiberskich, że przy schodzeniu w głąb' kopalni napotykamy gorąco coraz wyższe. Donoszą o tém i inni owocześni pisarze, a wkrótce potwierdzono należycie, że poczynając od warstwy obojętnéj, temperatura ku dołowi wzrasta. Dziś rzecz ta należy do najwięcéj rozpowszechnionych wiadomości naukowych, ale naprawdę po nad to ogólnikowe uzasadnienie samego faktu, wiele więcéj o nim nie wiemy, niepodobna zwłaszcza określić dokładnie, w jakim stosunku, albo raczéj według jakiego prawa wzrost ten zachodzi.

Przenoszenie termometrów do kopalń, zapuszczanie ich w otwory świdrami ziemnemi wiercone, albo rozmieszczanie ich w tunelach, nie powinnoby przedstawiać znacznych kłopotów, ale zachodzą tu różne okoliczności wikłające. Przedewszystkiém nasuwa się tu pod uwagę samo ukształtowanie czyli pochylenie powierzchni ziemi. Gdy bowiem przebijamy w ziemi otwór pionowy, to w ogólności nie posuwamy się w kierunku do powierzchni ziemi prostopadłym, w jakim przecież oddalanie się od niéj mierzyć należy; wzgląd ten okazał się zwłaszcza widocznym przy oznaczaniu temperatur w długich tunelach, które dla potrzeb dróg żelaznych pod wysokiemi górami przekopano. Przy porównywaniu daléj termometrów w różnych głębokościach potrzeba zważać, by termometry te przypadały na jednéj linii pionowéj, a z tego względu korzystnie się zalecają szczególnie obserwacye w otworach świdrowych.

Przy badaniach dawniejszych poprzestawano w ogólności na umieszczaniu termometru w powietrzu; temperatura jednak powietrza wypełniającego kopalnię dosyć znacznie odstępować może od temperatury jéj ścian, o którą przecież głównie tu idzie. Z tego względu nie można téż posługiwać się i wodami, które się w kopalniach napotykają, jakkolwiek na pozór dane tą drogą otrzymywane wydawać się mogą wiarogodne,— nie wiadomo bowiem, z jakiéj zbiegają one wysokości i przez jakie kanały podziemne przepływają, zanim na jaw występują. Tak np. w tunelu góry Cenis w odległości 500 metrów od bramy południowéj temperatura powietrza wynosi 10,5°, gdy skała posiada temperaturę 14,2°; starać się tedy należy o wprowadzanie termometrów w otwory wybijane w samych skałach. Ponieważ nie pomijano żadnéj okoliczności przyjaznéj, któraby nam dostęp do dalszych warstw ziemi otwierała, starano się téż korzystać i z wyświdrowanych studzien artezyjskich, sprowadzających nam wodę z dość znacznych głębokości; rezultaty jednak tych dostrzeżeń nie mogą dawać wskazówek zupełnie pewnych; woda bowiem gorąca, gdy się wzbija w górę, oziębia się, a tém samém staje się cięższą, po części zatém opada znów ku dołowi i miesza się niżéj z wodą wytryskującą; wskutek tego rozwija się pewien proces obiegu czyli cyrkulacyi wody, który nie pozostaje bez wpływu na temperaturę wody wypływającéj.

Aby rezultaty obserwacyi takich ująć w sposób wyraźny i jasny, najlepiéj jest oznaczać odległość, o jaką w głąb' ziemi wstąpić trzeba, aby temperatura wzrosła o jeden stopień Celsiusa. Odległość tę nazwano stopniem albo lepiéj gradientem geotermicznym. Na nieszczęście jednak dane otrzymane w rozmaitych miejscach okazują tak znaczne między sobą odstępstwa, że niepodobna wydo-

być z nich pewnéj liczby oznaczonéj, którаby mogła dać choćby przybliżone pojęcie o ogólném wzmaganiu się temperatury głębszych warstw ziemi, zadowolić się musimy tedy tylko przytoczeniem niektórych z osiągniętych rezultatów.

Z dawniejszych nieco prac zalecają się dokładnością badania Reicha w kopalniach saskich; z wielu szczegółowych oznaczeń, które się silnie między sobą różnią, wypływa, że średnia wartość stopnia geotermicznego wynosi tam około 40 metrów, aby zatém dostrzedz podwyżkę 1° C. trzeba tam schodzić o 40 metrów.

W kopalniach znów pruskich stopień geotermiczny wynosi średnio 54,25 m., ale waha się on w rozległych bardzo granicach, bo między 15,5 a 115,5 m. W kopalniach angielskich i amerykańskich stopień taki wynosi 53 m., przy chwiejności od 19 do 86 m. Według nowszych badań w Wielkiéj Brytanii, dokonywanych staraniem przyrodniczego „Stowarzyszenia brytańskiego“, w kilku kopalniach stopień ten wynosi 26,6 m., 34,1 m. i 42,1 metry. Na Uralu wykazano 24,8, w studniach artezyjskich w Wiedniu, Rochelle i Epinay 25,4 m., 24,6 m. i 22,9 m. Ze starannych obserwacyi w tunelach gór Cenis i Św. Gotarda na stopień geotermiczny wypada 35 m.

Tę téż ostatnią liczbę podaje się zwykle jako średnią wartość tego stopnia geotermicznego, chociaż, jak widzimy, wielkiego znaczenia do niéj przywiązywać nie można i przyznać należy, że nie znamy zgoła prawa, według którego wzrost ciepła w ziemi zachodzi. Tak znaczną zresztą rozmaitość, jaka się okazuje z różnych obserwacyi, rzucać trzeba na karb rozmaitych wpływów lokalnych. Ujawnia się tu zapewne różna zdolność przewodnictwa ciepła skał rozmaitych, co dostrzedz już można nawet w położeniu warstwy obojętnéj. Tak np. w kilku kopalniach w Kornwalii znaleziono śród lepiéj przewodzących ciepło pokładów miedzi temperaturę wyższą, aniżeli w kopalniach cyny. Pewien wpływ przypada daléj i ciśnieniu, jakiém ugniatane są badane pokłady; gdzieindziéj na podwyższanie lub obniżanię temperatury kopalni oddziaływać może przepływająca w jéj pobliżu cieplejsza lub zimniejsza woda. Lokalne wzmożenie się ciepła w innych znów kopalniach może być następstwem pewnych działań chemicznych, dokonywających się w sąsiedztwie w łonie ziemi. Wogólności téż obserwacye prowadzone w kopalniach węgla wykazały tam stopnie geotermiczne mniejsze, aniżeli w kopalniach metali. Tłómaczy się to tém, że w formacyach węglowych zachodzi często zmiana różnych skał—łupków, piaskowców i gniazd węglowych; wszystkie te pokłady posiadają przewodnictwo słabe, a przy przejściu z jednego środka

do innego ciepło nowy jeszcze opór znajduje; ciepło zatém przenikające z wnętrza ziemi będzie tu okazywać gęstsze stopniowanie, aniżeli w pokładach jednostajnych, lepiéj je przeprowadzających.

Dla uzmysłowienia rozkładu ciepła wewnątrz ziemi możnaby użyć metody podobnéj do téj, jaką się posługuje klimatologia dla wskazania rozkładu ciepła na powierzchni ziemi, przez kreślenie na kartach dobrze znanych linii izotermicznych, t. j. linii łączących miejsca, które posiadają jednakową temperaturę średnią. Tak samo możnaby wyobrazić sobie, że poprowadzono powierzchnie przez wszystkie punkty, które w głębi ziemi jednakową wykazują temperaturę; powierzchnie takie jednakowego ciepła wewnątrz ziemi nazwano izogeotermami albo chtonizotermami, — ale na nieszczęście, jak to łatwo wnieść można z niedostatecznéj znajomości naszéj tych stosunków, posiadamy raczéj nazwę tylko, aniżeli rzecz samą. Jakkolwiek jednak nie znamy choćby z niejaką dokładnością przebiegu owych powierzchni chtonizotermicznych, tyle przynajmniéj powiedzieć o nich można, że biegną za załamaniami gruntu, czyli, innemi słowy, rozciągają się one mniéj więcéj równolegle do powierzchni ziemi, wraz z jéj wygięciami podnoszą się i obniżają, lubo i pod tym względem uderzające zachodzą odstępstwa. Krzywe te powierzchnie jednakowéj temperatury ziemi okazują wogóle słabsze wygięcia, aniżeli profil ziemi, pod znacznemi mianowicie wyniosłościami podnoszą się stosunkowo słabo tylko. Dokładne badania Stapffa w tunelu Ś. Gotarda wydały nawet rezultat niespodziany, że mianowicie właśnie pod najwyżéj wzbijającemi się szczytami chtonizotermy nie wznoszą się tu w górę, ale owszem obniżają się nieco, czyli innemi słowy pod szczytami górskiemi stopień geotermiczny posiada większą wartość; należy zagłębić się w ziemię daléj, aby dostrzedz wzrost temperatury o 1°; tak np. u północnego wejścia do tego tunelu stopień ten wynosi tylko 20,5 metrów, a pod szczytem Cima Loitamisura przenosi 62 metry.

Bardziéj jeszcze uderzające rezultaty okazały się w tunelu Mont Cenis, gdzie pod najwyżéj sięgającemi zakrzywieniami powierzchni ziemi stopień geotermiczny dochodzi aż 300 metrów. W odległości mianowicie 5000 m. od bramy południowéj tunelu temperatura skał wynosi 27,5°, w odległości zaś 6450 m. 29,5°; piérwszy z tych punktów przypada w odległości 910 m., drugi w głębokości 1069 m. pod powierzchnią ziemi,— jakkolwiek zatém zakrzywienie profilu ziemi na téj odległości czyni blisko 700 m., temperatura różni się tylko o 2°. Objaw ten przypisać zapewne należy oziębiającemu wpływowi gór sięgających po za granicę śnieżną, a tém samém pokrytych wiecznemi lodami; aby tedy dostrzedz pod-

niesienie się temperatury podziemnéj, trzeba tu zstępować znacznie niżéj, aniżeli pod innemi miejscami powierzchni ziemi, które w normalnych warunkach pozostają.

Z tego zapewne powodu temperatura tunelów nie jest tak wysoka, jakby to odpowiadało znacznéj głębokości, w jakiéj one przypadają, w każdym jednak razie pod górami bardzo wysokiemi panowałoby już ciepło stosunkowo dosyć wysokie; według oceny przybliżonéj wnieść można, że w środkowéj części tunelu projektowanego pod górą Montblanc temperatura byłaby nieco wyższą nad 50°. Jakkolwiek zaś białko mętnieje czyli zaczyna się ścinać dopiéro przy 60°, a ludzie w spokoju znosić mogą bardzo wysokie gorąco, gdy przytém powietrze jest suche, to wszakże praca robotników w takim tunelu, gdzie nadto powietrze przejęte jest parą, byłaby już przy 40° zmudną i niebezpieczną. Wzgląd ten nie pozwala dobrze tuszyć o projektach tunelów w Szwajcaryi zachodniéj.

To tylko zaprzeczeniu ulegać nie może, że tuż pod samą powierzchnią ziemi chtonizotermy okazują wykrzywienia słabsze, aniżeli jéj profil, a ztąd wnosić wolno, że w głębokościach znaczniejszych wpływ powierzchni ziemi wraz staje się słabszy, a daléj jeszcze ku środkowi ziemi rozkład wewnętrznego jéj ciepła jest już prawidłowy i nie ulega zakłóceniu wpływów zewnętrznych. Tak daleko wszakże bezpośrednie dochodzenia nasze nie sięgają, bo, jak przytoczyliśmy już wyżéj, największa głębokość do jakiéj człowiek wedrzéć się zdołał wynosi około 1300 m. zaledwie. Najgłębsze studnie artezyjskie (Grenelle pod Paryżem, St. Louis) nie dochodzą 600 metrów; co do kopalń, to za najbardziéj pogłębione uważają się słynne kopalnie Kutnéj Hory w Czechach, schodzące obecnie do 1152 m. Nieco głębsze są otwory świdrowe; słynny otwór w Sperenberg w Marchii Brandeburskiéj sięga do 1272 m., głębszym jest jednak otwór wywiercony pod Lieth w Holsztynie do 1339 metrów. Względem załomów górskich niżéj jeszcze, jak widzieliśmy, przypadają tunele, ale tu téż warunki zewnętrzne najsilniéj wikłający swój wpływ ujawniają.

III.

O tém więc, co daléj wewnątrz naszéj ziemi się dzieje, możemy jedynie wnioskować na podstawie tego ubogiego żniwa, które zdołano zebrać w cieniutkiéj warstwie, badaniom naszym dostępnéj. Skoro zaś tu wszędzie napotykamy stateczny wzrost temperatury, nie trudno się zgodzić, że i głębiéj, przy dalszém posuwaniu się ku środkowi ziemi ciepło jéj również się wzmaga i dochodzi wreszcie

do wysokości bardzo znacznéj, dla któréj oceny wszakże brak nam jakkolwiek wiarogodnych skazówek. Olbrzymi ten żar wnętrza ziemi nie opiera się zresztą pojęciom, które skądinąd spekulacye naukowe rozpowszechniły i utrwaliły: mówimy tu o zasadach kosmogonii, która tworzenie się i rozwój ziemi tłómaczy w podobny sposób, jak i wszelkich innych brył światowych, w przestrzeni rozrzuconych, przez skupianie pierwotnéj materyi kosmicznéj, która stanowiła może mgławicę podobną do utworów, jakie w dalekich stronach nieba i obecnie teleskop obficie nam wykazuje. Pod nazwą Laplace'owéj teoryi tworzenia się światów hypoteza ta znaną jest wszystkim, a nowsze postępy nauki i wzmożone środki badań, chociaż namnożyły nieco trudności, jakie są jeszcze do pokonania, w ogólności wszakże przyczyniły się raczéj do jéj poparcia, aniżeli jéj ujmę istotną przyniosły.

Ciepło, wytworzone wskutek zagęszczania się mgławicy, z któréj się nasz układ słoneczny wyłonił, dotąd obficie nagromadzone jest w słońcu; podobnémże, lubo drobném słońcem płomiennéem była i ziemia nasza, ale z powodu nieznacznych swoich wymiarów zastygła i dawno już na powierzchni zakrzepła, gdy tysiąckrotnie z górą od niéj większy Jowisz, jak się zdaje z pewnych dostrzeganych na nim objawów, przedstawia jeszcze ślady pierwotnego swego żaru, a olbrzymie słońce przez pierwsze dopiéro fazy tego procesu stygnięcia przechodzi. Twarda skorupa, utworzona z materyałów słabo tylko przeprowadzających ciepło, która ziemię ze wszech stron ujęła, chroni od dalszego ziębnięcia wewnętrzne jéj masy; żar zatém, który się dotąd w głębi ziemi kryje, a o którym nam opowiada wzmaganie się temperatury w kopalniach, jest ochronioną pozostałością tego ciepła pierwotnego, związanego z dziejami samegoż tworzenia się ziemi naszéj, zarówno jak i innych ciał niebieskich. Jedném słowem, tedy, olbrzymie ciepło wnętrza ziemi razić nie będzie stronników kosmogonii Laplace'a, przynosi im owszem poparcie poważne.

Pomimo to nie brakło nigdy i przeciwników ciepła wewnętrznego, którzy wprost zaprzeczali temu statecznemu wzrostowi temperatury w warstwach dalszych, bezpośrednim naszym obserwacyom niedostępnych. Najsilniejszy argument, jaki na poparcie swego zaprzeczania podają, polega na pewném dostrzeżeniu, o którém nie wspomnieliśmy wyżéj. Okazało się mianowicie, że stopień geotermiczny, czyli, powtarzamy, odległość, o jaką zejść należy, aby dostrzedz podniesienie się temperatury ziemi o 1° C., w różnych głębokościach bardzo jest różny, a w ogólności w głębokościach coraz znaczniejszych coraz się większym staje. Okazują to zwła-

szcza obserwacye przeprowadzone w przytoczonym już wyżéj otworze świdrowym w Sperenberg:

Głębokość w metrach	Temperatura dostrzeżona	Stopień geotermiczny
26,7	9° C.	
		20,2 m.
313,9	23,2°	
		32 "
627,7	33°	
		31,4 "
941,6	43°	
		64,1 "
1268,6	48°	

Poznano to i w niektórych innych zagłębieniach, a lubo pewne nieprawidłowości i zboczenia usprawiedliwiają poniekąd sceptycyzm, w ogólności jednak fakt ten jest niewątpliwym. Otóż wydawaćby się mogło, że okoliczność ta pozostaje w sprzeczności z pojęciem o rozpaleniu wnętrza ziemi, w miarę bowiem zbliżania się do ogniska centralnego wzrost temperaty winienby się dokonywać coraz szybciéj, stopnie geotermiczne winnyby coraz bardziéj maleć, nie zaś wzrastać. Nic tedy dziwnego, że przeciwnicy ogniowego początku ziemi, zwolennicy dawnego neptunizmu geologicznego, pochwycili ten szczegół, któryby mógł zwycięstwo na ich stronę przechylić. Ciągłe to powiększanie się stopnia geotermicznego przybrali nawet w formę algebraiczną i wydobyli stąd wniosek, że w pewnéj, niezbyt zresztą znacznéj odległości dalsze wzmaganie się temperatury wewnątrz-ziemnéj zakończyć się musi, że nawet daléj jeszcze nastąpić winien zwrot, a temperatura statecznie już ku środkowi ziemi spadać będzie. Ciepło zatém, które termometry zdradzają w kopalniach naszych, miałoby być jedynie objawem warstw wierzchnich naszéj bryły ziemskiéj; aby zaś wytłómaczyć zagadkowe jego pochodzenie odwoływano się do ciśnień i powodowanego przez nie tarcia, a więcéj jeszcze do działań chemicznych, wywiązujących się w sąsiedztwie powierzchni ziemi pod wpływem przedzierających się tam części składowych atmosfery.

Niedostateczność jednak takiego tłómaczenia źródła owego ciepła podziemnego łatwo było wykazać; mogą wprawdzie zachodzić, jakeśmy zresztą wyżéj już nadmienili, objawy lokalne, wikłające normalny przebieg zjawiska, ale nie wystarczają one do wyjaśnienia powszechnego i statecznego wszędzie wzrostu temperatury warstw głębszych. Język matematyczny wymowny jest wprawdzie i pewny, ale do rezultatów rzetelnych o tyle tylko prowadzi, o ile z dokładnych podstaw wychodzi; nie dosyć zaś znamy prawo przyrostu temperatury podziemnéj, by je w rzetelną formułę algebra-

iczną ująć się dało, a tém samém wnioski o dalszym przewrocie i obniżaniu się temperatury od pewnego punktu są zbyt wątpliwe, by zburzyć mogły pojęcie o olbrzymiém cieple wnętrza ziemi.

Postarano się nawet doświadczalnie odtworzyć proces stygnięcia ziemi. Znakomity geolog Bischoff odlewał kule ze stopionego bazaltu, mające 0,75 metra średnicy, a po upływie 48 godzin od chwili odlewu oznaczał rozkład temperatur w rozmaitych punktach wnętrza tych brył, skąd okazały się rezultaty następne:

1)	w środku temperatura				. . . .	193⁰
2)	w odległości	0,114	metra	od środka.	.	170⁰
3)	„	0,185	„	„ „	. .	156⁰
4)	„	0,247	„	„ „	. .	137⁰

Widzimy ztąd, że różnica między punktami 1 i 2, na odległości 0,114 m. wynosi 23⁰, co czyni 0,0052 na 1⁰C.; różnica między 2 i 3 wynosi 14⁰ na 0,071 m. czyli 0,0051 na 1⁰, wreszcie między 3 i 4 wynosi 19⁰ na 0,062 m., czyli 0,0032 na 1⁰. Odległość przeto, o jaką od powierzchni kuli ku jéj środkowi posuwać trzeba, aby dostrzedz przyrost temperatury o 1⁰C., co odpowiada właśnie geotermicznemu stopniowi ziemi, wzrasta ku środkowi kuli, a mianowicie w stosunku liczb 32 : 50 : 52.

Nie dosyć na tém, William Thomson, jeden z tych mężów, którym Anglia przodownicze swe dzisiaj stanowisko w nauce zawdzięcza, stopniowe stygnięcie ziemi wziął pod rozwagę z punktu teoretycznego; przyjąwszy mianowicie pewien stan pierwotny rozpalonéj bryły ziemskiéj, wyprowadził, jakim być musi rozkład w jéj wnętrzu ciepła po upływie stu milionów lat od owéj chwili początkowéj,— w założeniu tém, które odpowiada mniéj więcéj prawdopodobnym warunkom rozwoju ziemi, okazało się również dobitnie, że w bryle takiéj tylekroć wspomniany stopień geotermiczny również ku środkowi wzrastać będzie. Ostatecznie zatém w dzisiejszym stanie wiadomości naszych nie mamy usprawiedliwionego powodu do powątpiewania o olbrzymiém cieple wnętrza ziemi.

Zresztą pogląd taki jest już bardzo dawny, bo chociaż filozofowie greccy niewiele o wewnętrznéj budowie ziemi spekulowali, napotykamy jednak wzmianki o ogniu centralnym, a kościelni znów pisarze średniowieczni w głębi ziemi także mieścili płomienie piekielne. W kierunku jednak naukowym, w wieku ośmnastym dopiero zaczął się ustalać pogląd, że tylko najbardziéj zewnętrzne warstwy naszéj planety zastygły, a pod tą cienką zakrzepłą skorupą cała pozostała masa, znajduje się dotąd w stanie ognisto-płynnym.

IV.

Pojęcie to o ognisto-płynném wnętrzu ziemi dotąd najbardziéj jest rozpowszechnione; skoro bowiem zgadzamy się na tak wysoką temperaturę, to na podstawie najzwyklejszych doświadczeń przyjąć nam daléj wypada, że w żarze tym najtrudniéj nawet topliwe metale muszą już stopieniu ulegać. Wnioskowanie takie wszakże zbyt jest pośpieszne, gdyż zapominamy o odrębnych warunkach, w jakich ciała te daleko we wnętrzu ziemi się znajdują,— mówimy tu mianowicie o olbrzymiém ciśnieniu, jakie je tam ugniata. W sprawie topienia się ciał ciśnienie stanowi czynnik tak silnie wikłający, że dotąd dostatecznie rozgmatwać tego nie zdołano.

Gdy ciało stałe ogrzewamy, cząstki jego rozsuwają się a objętość wzrasta,—ciepło walczy ze spójnością, a gdy ją doszczętnie prawie pokona, cząstki zyskują swobodę, charakteryzującą stan ciekły. Przebieg taki pozwala wnosić, że przy przejściu ciała ze stanu stałego do ciekłego objętość jego ulega powiększeniu i najczęściéj może tak właśnie rzeczy się mają. Nie zawsze jednak, a najlepszy przykład takiego wyjątkowego zachowania się przedstawia nam lód w postaci kry po wodzie płynący. Skoro się na jéj powierzchni unosi, znaczy to, że jest od niéj lżejszy, że zatém woda przy marznięciu objętość swoję powiększa, a lód topniejący ściąga się, kurczy. Woda marznąca rozrywa nietylko tkanki roślin, ale i naczynia żelazne, w których jest zamkniętą.

Sądzono niezbyt jeszcze dawno, że lód jedynie w tak wyjątkowy zachowuje się sposób; poznano jednak, że i kawały żelaza pływają po stopionéj masie tegoż metalu, a zapewne i lawa podobnąż posiada własność. W kwestyi téj, która wymaga wielu jeszcze dokładniejszych badań, dziś przeto tyle powiedzieć możemy, że pod względem objawów swego topienia się ciała dają się podzielić na dwie grupy—jedne, przechodząc w stan ciekły, rozszerzają się, inne wtedy objętość swą zmniejszają.

Otóż na ciała jednéj i drugiéj kategoryi znaczne ciśnienie działać musi w sposób wręcz przeciwny. Ciało, które się przy topieniu rozszerza, gdy jest silnie uciśnięte, przechodząc w stan ciekły, walczyć musi z przeszkodami znaczniejszemi; ciepła potrzebuje nietylko do zniszczenia swéj spójności, ale i do wykonania pracy zewnętrznéj, do usunięcia przeszkód, tamujących mu możność większego rozprzestrzenienia się; dla tych przeto ciał ciśnienie powstrzymuje, opóźnia topienie, punkt ich topliwości podnosi się, topią się dopiéro w temperaturze wyższéj, aniżeli w warunkach normalnych. Zupełnie inaczéj dzieje się z ciałami, zachowującemi się na podo-

bieństwo lodu,—tu ciśnienie, sprowadzając ciało do mniejszéj objętości, wspiera niejako przechodzenie w stan ciekły, punkt topliwości się obniża, ciało topi się już w temperaturze niższéj aniżeli w okolicznościach zwykłych.

Jak powiedzieliśmy, bardzo niedostatecznie znamy dotąd zachowanie się pod tym względem różnych ciał, a pomimo całéj potęgi środków pomocniczych, jakiemi obecnie nauka doświadczalna rozporządza, niepodobna się zbliżyć do ogromu warunków, które w przyrodzie zachodzą. Czyż wiedzieć możemy, co się dzieje z ciałami, gdy ich temperatura wynosi dziesiątki tysięcy stopni, ale zarazem poddane są olbrzymiemu ciśnieniu ugniatających je warstw wierzchnich? W każdym razie polegając na wysokiéj temperaturze wnętrza ziemi, nie mamy jeszcze stanowczéj zasady do twierdzenia, że musi być ono utworzone z materyałów płynnych, — owszem, nie brak skazówek, które za stałym jego stanem przemawiają.

Sto lat niezadługo upłynie od chwili, gdy Cavendish, „najbogatszy z uczonych i najuczeńszy z bogatych“, pierwszy planetę naszą zważył, albo, co na jedno wychodzi, średnią jéj gęstość oznaczył; kwestya ta odtąd zwracała zawsze uwagę badaczy, którzy bądź posługiwali się wytworną metodą Cavendisha, bądź téż obmyślali metody inne, które nawzajem pożądaną stanowią kontrolę, a w ten sposób tak napozór niedostępne zadanie z zupełną nieledwie ścisłością rozwiązane zostało. Jakkolwiek rzecz ta w bezpośrednim jest związku z kwestyą tu roztrząsaną, opis tych metod i ich historya zajęłyby zbyt wiele miejsca, byśmy je tu rozwijać mogli i poprzestać musimy jedynie na nadmienieniu, że różnemi drogami oznaczona gęstość średnia ziemi wynosi 5,6, co w języku zwykłym znaczy, że jest ona 5,6 razy cięższą od równie wielkiéj bryły, utworzonéj z wody.

Liczba ta, chociaż sama przez się nie wydaje się zbyt wielkiéj wagi, prowadzi jednak bezpośrednio do ważnego wniosku co do materyałów składających wnętrze ziemi. Rzeczywiście, o ile znamy powierzchnię ziemi i tuż pod nią mieszczące się pokłady, widzimy, że pominąwszy już wodę oceanów, zajmujących $^3/_5$ części powierzchni całego globu, resztę stanowią piaski, gliny, wapienie,—wogóle materyały, których gęstość średnia względem wody nie przechodzi $2\frac{1}{2}$, — skoro zaś gęstość średnia całéj bryły ziemskiéj przenosi 5, wynika ztąd wniosek oczéwisty, że we wnętrzu jéj nagromadzone być muszą materyały cięższe, metaliczne prawdopodobnie. Wróćmy niżéj jeszcze do kwestyi rozkładu gęstości wewnątrz ziemi, a teraz zaznaczymy tylko, że właśnie to przeświadczenie o stopniowym jéj wzroście ku środkowi ziemi rzuciło domysł, iż jądro jéj

stałe i sztywne być musi. W bryle ciekłéj, jako w ciele złożoném z cząstek swobodnie ruchliwych, ciśnienia zupełnie inaczéj rozkładać się muszą, aniżeli w bryle zakrzepłéj, stałéj, gdzie mniejsza swoboda cząstek osłabia wzajemne ich ciśnienie. W walcu z cieczy utworzonym ciśnienie wzrasta coraz ku dołowi i łatwo być może obliczoném; warstwa stała mogłaby się utrzymywać w sposób taki jak kopuła, nie ugniatając pokładów niższych. Przypuszczając zupełną płynność wnętrza ziemi, obliczyć można, że ciśnienie, jakiemuby w tym razie poddane były warstwy centralne, przechodziłoby półtrzecia miliona atmosfer, — sam ogrom téj liczby stanowić już może poniekąd szkopuł dla hypotezy, która do niéj prowadzi; w bryle stałéj natomiast warstwy mogą się równoważyć, nie wspierając wszystkiéj swéj masy na warstwach głębszych, skąd ciśnienie w środku ulega zmniejszeniu.

V.

Pierwszy wszakże istotny argument na korzyść stałéj przeważnie masy ziemi przedstawił geolog angielski Hopkins w roku 1840, odwołując się do dawno znanego astronomom zjawiska poprzedzania punktów równonocnych czyli precesyi. Punkty równonocne są to te punkty na niebie, w których równik niebieski przecina się z ekliptyką, czyli drogą, po któréj słońce w pozornym swym rocznym biegu sunie; w punktach tych znajduje się słońce w początku wiosny i początku jesieni. Już na 200 lat przed Chr. poznał Hipparch — a daje to dowód wysokiego stanu astronomii starożytnéj — że punkty równonocne nie zajmują na niebie niewruszonego stanowiska, ale posuwają się naprzeciw słońca o pewną drogę, bardzo zresztą drobną, wynoszącą bowiem niespełna jednę minutę miary łukowéj, 50,24″, wskutek czego każda następna wiosna rozpoczyna się o 20 minut wcześniéj, zanim słońce wraca do tegoż samego na niebie miejsca, jakie zajmowało w początku wiosny poprzedzającéj, czyli używając określeń pospolitych, rok zwrotnikowy jest krótszy od roku gwiazdowego. Jakkolwiek jednak szczegół ten od dawnych znany jest czasów, wytłómaczyć można go było dopiéro, gdy pozorny ruch słońca ustąpił miejsca ruchowi ziemi i gdy w ciążeniu powszechném Newton wykazał przyczynę wszystkich ruchów niebieskich. Według nauki Newtona tedy, gdyby ziemia była doskonałą i jednostajnie uwarstwowaną kulą, zjawisko podobne zgołaby nie występowało, wywołuje je zaś przyciąganie słońca i księżyca, wywierane na równikowe wypuklenie ziemi, stanowiące jakby otaczający ją pas, co ostatecznie powoduje osobliwy ruch osi

ziemskiéj, wskutek którego wykonywa ona obieg, przypominający stożkowate kołysanie się wirującego bąka. Ruch ten jest zresztą bardzo powolny, bo pełny swój obieg kończy oś ziemska ledwie w 26,000 lat, zdradza się to zaś pozornym ruchem bieguna niebieskiego a tém samém i przesuwaniem punktów równonocnych.

Otóż do tego zjawiska poprzedzania punktów równonocnych odwołał się Hopkins, by wykazać, że ziemia w przeważnéj przynajmniéj części stałą być musi. Dowiódł on mianowicie, że gdyby ziemia utworzoną była z masy ciekłéj, cienką tylko skorupą otoczonéj, precesya występowałaby inaczéj, aniżeli to rzeczywiście ma miejsce, i wniósł na podstawie swoich rachunków, że zesztywniała skorupa ziemi sięgać winna co najmniéj do $^1/_4$ lub $^1/_5$ części jéj promienia. Zaprzeczono jednak słuszności wywodów Hopkinsa, polegających zresztą na nieprawdopodobném przypuszczeniu, że między twardą powłoką a płynném wnętrzem zachodzi nagły przeskok, gdy raczéj przyjmowaćby należało, że przejście jest tu pośrednie, przez pewien stan wpółpłynny, lepki, ciastowaty; w tym ostatnim zaś razie cała sferoida zachowywałaby się jako jedna całość, gdy Hopkins przypuszczał zupełnie swobodną ruchliwość ciekłego wnętrza wzdłuż stałéj skorupy.

Okazało się wreszcie, że precesya sferoidy ciekłéj nie różniłaby się wcale od precesyi podobnejże sferoidy stałéj, że zatém całe to zjawisko do rozstrzygnięcia spornéj kwestyi, która nas teraz zajmuje, nadawać się nie może; natomiast inny matematyk, G. H. Darwin okazał, że do tego rozstrzygnięcia posłużyć mogą objawy nutacyi. Nutacya zaś polega również na pewném kołysaniu osi ziemskiéj, które występuje jako pewna nierówność w przebiegu precesyi, posiadające okres $18^1/_2$-letni; jest ona wynikiem przyciągającego wpływu księżyca na spłaszczoną ziemię i sprawia, że oś ziemska nie opisuje w ciągu wieków prawidłowego stożka, jakby się to działo jedynie pod wpływem saméj precesyi, ale powierzchnię nieco pofalowaną. G. H. Darwin jest także stronnikiem poglądu o zesztywnieniu przeważnéj części ziemi, wogólności jednak mozolnych dochodzeń na téj drodze za ukończone uważać nie można; niedawno matematyk belgijski Folie w pewnych, drobnych zresztą szczegółach precesyi i nutacyi dostrzegł dowód istnienia jądra płynnego pod stałą skorupą ziemi.

VI.

Astronomia, która tak doskonale pod obserwacyą i rachunek pociągać może by najdrobniejsze ruchy i zboczenia, na szalę obcho-

dzącéj nas sprawy i inne jeszcze kryterya rzuca, a mianowicie spłaszczenie ziemi, oraz przypływ i odpływ morza, chociaż i oba te względy do stanowczego rozwiązania również doprowadzić dotąd nie zdołały.

Wspomnieliśmy już wyżéj, że pierwszy domysł spłaszczenia ziemi rzucił Newton, skoro dobiegła go wieść przyniesiona przez żeglarzy, że zegary przewożone na okrętach spóźniają się w okolicach równikowych. Znaczy to innemi słowy, że wahadła, które bieg zegarów regulują, w tamtych stronach dokonywają kołysania swe wolniéj, zkąd wynika bezpośrednio, że siła ciężkości działa tam słabiéj, aniżeli na biegunach. Ponieważ zaś siedliskiem niejako siły ciężkości ziemi jest jéj środek, wnieść wolno, że ku temu punktowi jest od biegunów bliżéj, aniżeli od równika. Ale i przyczyna tego odstępstwa od prawidłowéj formy kulistéj nie pozostała ukrytą. Jak kula gliniana, obracająca się na kółku garncarskiém, wskutek działania wzbudzającéj się przytém siły odśrodkowéj doznaje spłaszczenia, tak téż temuż samemu losowi uledz musiała ziemia, również dokoła swéj osi wirująca. Natężenie zaś siły odśrodkowéj zależy bezpośrednio od szybkości ruchu wirowego, znana przeto prędkość obrotu dziennego ziemi daje możność teoretycznego obliczania jéj spłaszczenia. Zanim więc jeszcze wysłannicy akademii paryskiéj, pobiegli do Peru i Laponii, by z pomiarów przeprowadzonych w tak odległych między sobą stronach spłaszczenie to wydobyć, Newton na zasadzie powyższych rozumowań i rachunków obliczył, że wynosi ono $\frac{1}{232}$. Inny znakomity matematyk i fizyk ówczesny, Huyghens podzielając pogląd Newtona, przeprowadził również podobne obliczenia, otrzymał wszakże liczbę bardzo od powyższéj odmienną, $\frac{1}{580}$. Różnica ta ztąd pochodzi, że Newton przyjmował ziemię jako bryłę jednorodną, Huyghens zaś wyobrażał sobie masę ziemi skupioną głównie koło środka, czyli gęstość jéj na powierzchni niesłychanie drobną w porównaniu z gęstością w środku.

Widzimy ztąd, że teoretycznie obliczane spłaszczenie ziemi prowadzi do wyników różnych, stosownie do tego, jak pojmujemy wewnętrzną jéj budowę, rozkład gęstości w jéj łonie. Obie powyższe liczby odstępują znacznie od istotnego spłaszczenia ziemi, które, jakeśmy wyżéj widzieli, z dostateczną znane jest pewnością; odwołać się przeto należy do innego rozkładu gęstości ziemi.

Rzecz jasna, że cząstki ciał uciskanych skupiają się, że gęstość ich wzrasta, w miarę, jak powiększa się wywierane na nie ciśnienie. W jakim jednak stosunku ściśliwość ta zachodzi, jaka istnieje zależność między gęstością ciał a ciśnieniem, wiemy to jedy-

nie co do gazów, które pod ciśnieniem 2, 3, 4 razy większém posiadają téż i gęstość 2, 3, 4 razy znaczniejszą, co znaczy, że gęstość jest do ciśnienia proporcyonalną. Dla ciał stałych i ciekłych, których budowa wewnętrzna jest zawilsza zależność powyższa nie łatwo da się uchwycić i poprzestawać musimy jedynie na domysłach, na przypuszczeniach. Gazy ulegają w jednakowy zawsze sposób ciśnieniu, ciała zaś ciekłe i stałe opierają się mu tém silniéj, im więcéj już są ściśnięte; dla tego téż Laplace, idąc śladem wielkich swoich poprzedników, Daniela Bernouilliego, Legendre'a, Biota, przyjął w swych rachunkach, że przyrost ściśliwości płynu jest proporcyonalny do kwadratu z gęstości, wywołanego tém ciśnieniem. Hypoteza ta dotąd najczęściéj służy za podstawę przy rozpatrywaniu gęstości warstw, składających bryłę ziemską. Nie zamyka jednak drogi matematykom do innych przypuszczeń, któreby mogły prowadzić do jak najzupełniejszéj zgody między teoretycznie obliczoném a rzeczywiście poznaném spłaszczeniem ziemi.

Zmarły w r. 1883 profesor w Montpellier, Edward Roche, który bardzo starannie przeprowadził ten szereg badań w ostatnich czasach, przyjmuje inny rozkład gęstości wewnątrz ziemi,—według poglądu tego uczonego gęstość maleje w stosunku kwadratów odległości od środka. Rachunki na téj zasadzie przeprowadzone uczyniły go stanowczym „rygidistą" tj. stronnikiem stałego wnętrza ziemi, wykazały mu one bowiem, że hypoteza bryły płynnéj pod niezbyt grubą stwardniałą skorupą nie może się pogodzić z istotną wielkością spłaszczenia naszéj planety, znaną nam z dochodzeń bezpośrednich; jakkolwiek więc przyjmuje, że była ona niegdyś w stanie płynnym, to wszakże względy astronomiczne skłaniają do uznania, że obecnie stanowi już masę zakrzepłą.

Hypotezę te poddaje tedy Roche dalszemu rozpatrywaniu matematycznemu, przyjmując przytém, dla udogodnienia i umożebnienia swych rachunków, że w przeważnéj swéj części stanowi ziemia bryłę jednorodną. Hypoteza taka może się wydawać zbyt krańcową, zwłaszcza odkąd badania chemiczne ciał niebieskich nauczyły, że w skład ich wchodzą pierwiastki rozmaite; Roche wszakże uważa za rzecz prawdopodobną, że rozmaite okolice pierwotnéj mgławicy, z któréj się układ słoneczny wyłonił, przedstawiać mogły pewne odrębne, właściwe sobie cechy, że zatém w każdéj planecie materyały pewne mogą znacznie nad innemi przeważać. Według tego i ziemia byłaby utworzoną z jednéj, naczelnéj niejako substancyi, któraby właśnie stanowiła owo przypuszczalne jądro jednorodne, a rachunki, lubo nam jéj natury odsłonić nie mogą, pozwalają przynajmniéj gęstość jéj ocenić.

Bryła ta jednorodna otoczona jest powłoką, utworzoną z materyałów lżejszych, które się wydzieliły przy tworzeniu się ziemi, podobnie jak substancye cięższe zająć musiały miejsce koło samego środka ziemi. Natura warstwy zewnętrznéj nie jest dla nas zupełnie zagadkową; jak wspomnieliśmy wyżéj, gęstość jéj względem wody ocenia się zwykle na $2\frac{1}{2}$, najbardziéj jednak skrajna, cienka i zupełnie wierzchnia powłoka, utworzona z materyałów dobrze znanych ma gęstość z pewnością nie większą nad 2, pokłady zatém dalsze posiadać muszą gęstość nieco wyższą, około 3; można więc przyjąć że są one utworzone głównie z law i bazaltów, którym właśnie gęstość taka przypada.

Znajomość ta gęstości warstw zewnętrznych ziemi pomnaża liczbę czynników wiadomych, z których wysnuwa Roche gęstość swojéj hypotetycznéj, jednorodnéj bryły wewnętrznéj; inne dane do obliczeń tych stanowią spłaszczenie ziemi, w każdym razie większe od 1/295, oraz wielkość precesyi punktów równonocnych. Z rachunków tych wypływa tedy, że bryła rzeczona posiada względem wody gęstość 7,6, a stanowi kulę zajmującą 0,82 całego promienia ziemskiego. Zkąd znów wynika daléj, że warstwa zewnętrzna, któréj gęstość oceniono na 3, posiada grubość $^1/_6$ części promienia ziemskiego. Pomimo téj stosunkowéj cienkości, z powodu większéj rozległości zewnętrznych warstw kuli, objętość jéj czyni $^4/_9$, tj. prawie połowę całego globu ziemskiego i zawiera czwartą część wszystkiéj jego masy. Na bryłę wewnętrzną, która zajmuje połowę objętości ziemi, przypada tedy $^3/_4$ jéj masy; gęstość zaś jéj, wynosząca nieco więcéj 7, każe się domyślać że składa się ona z materyału metalicznego, a w szczególności z żelaza, którego gęstość najbliżéj liczby téj przypada. Wniosek ten ostatni razić nas nie może, gdy zważymy, że żelazo stanowi pierwiastek obficie występujący we wszystkich ciałach niebieskich; zresztą i magnetyczne własności ziemi są może ze składem tym w związku, żelazo bowiem, jak wiadomo, stanowi najsilniéj magnetyczną substancyą.

Koło samego środka ziemi, jak widzieliśmy, nagromadzone są, według hypotezy Roche'a, materyały najcięższe; rachunki jednak wskazują, że zajęty przez nie obszar zgoła jest nieznaczny, a o gęstości ich także niewiele powiedzieć on umie; przypuszcza wszakże, że prawdopodobnie wynosi ona około 10 lub 12, co stanowi wielkość pośrednią między gęstością srebra i ołowiu.

Aby wreszcie uzupełnić obraz wewnętrznéj budowy naszéj planety, tak odcyfrowany czy raczéj skreślony przez Roche'a, dodać należy, że nie upiera się on przy absolutnéj stałości zewnętrznéj powłoki bazaltowéj; owszem sądzi, że począwszy od pewnéj głębo-

kości może się ona utrzymywać w stanie ciekłym, czém tłómaczyć by się dały niektóre objawy geologiczne. Pozostaje wszakże znów niewiadomém, czy masa ta ciekła stanowi jakby warstwę oddzielającą powłokę skrajną od bryły środkowéj, czy téż nagromadzoną jest tylko w zbiorowiskach, w jeziorach po okolicy téj śródziemnéj rozrzuconych. Wewnętrzna ciężka bryła metaliczna zbliża się składem swoim do aerolitów żelazistych, powłoka zewnętrzna odpowiada meteorytom zwykłym kamienistym.

Hypoteza matematyczna Roche'a przedstawia pewną analogia do poglądów, jakie wyznaje znaczna liczba geogologów dzisiejszych; zanim się im jednak przyjrzymy, należy nam załatwić się z jednym jeszcze argumentem porządku astronomicznego.

VII.

Argument ten stanowi zjawisko przypływu i odpływu morza. Wiadomo dziś dobrze, że przyczyną tego ruchu wód morskich jest przyciąganie słońca i księżyca, któremu ulega łatwo ruchliwa masa wody. Jeżeli jednak i stała skorupa bryły ziemskiéj również podobnemu ulega wpływowi, jeżeli i ona okazuje pewien przypływ i odpływ, to ruchy oceanów są słabsze, aniżeliby to miało miejsce, gdyby ziemia bezwzględnie sztywna była, dostrzegamy bowiem wtedy nie całkowity ruch wody, ale tylko różnicę między tym ruchem a ruchem lądów. Jeżeli mianowicie wnętrze ziemi jest ciekłe, jeżeli pod niezbyt grubą stałą powłoką rozlewa się masa ognisto-płynna, to przypływy jéj wywierałyby na skorupę nacisk potężny, wystarczający do jéj przełamywania i przedzierania, i już dawniejsi fizycy, jak Ampère i Poisson, dla ominięcia téj trudności przyjmowali, że bryła ziemska krzepnąć zaczęła od środka, że zatém musi już być w całéj swéj masie stała.

Dokładniéj okoliczność tę wziął pod rozwagę matematyczną William Thomson; obliczył on w szczególności, że niezbyt gruba skorupa ziemska, choćby posiadała zbitość stali, ulegałaby jeszcze ruchom, o których mowa, a wysokość przypływu wynosiłaby ledwie ²/₃ zmian, jakie rzeczywiście w poziomie wód dostrzegamy, naciskowi mas płynnych mogłaby się ledwie oprzéć skorupa zesztywniała, o grubości co najmniéj 200 lub 300 mil geograficznych, wynosząca zatém trzecią, mniéj więcéj, część całego promienia ziemskiego. Thomson nie poprzestaje jednak na tém i przyjmuje, że wszystka masa ziemi jest już zakrzepła, że stanowi nawet bryłę bardziéj zesztywniałą, bardziéj zbitą aniżeli szkło, tak oporną prawie jak masa stalowa; a chociaż już w niezbyt znacznéj głębokości

masy podziemne rozpalone są do białości, to pozostają jednak stałe, ciążące bowiem na nich olbrzymie ciśnienie podwyższa tak dalece temperaturę ich topliwości, że żar ten do stopienia ich nie wystarcza.

*Z*e zdaniem Thomsona nauka dzisiejsza liczyć się przywykła, ale na nieszczęście, na wysokość przypływu wód morskich działają okoliczności uboczne, które utrudniają dokładne zestawienie wywodów teoretycznych z istotnemi dostrzeżeniami, — wywiera tu wpływ najpierw niejednostajny na powierzchni ziemi rozkład lądów i mórz, a daléj—spadek deszczów, tajanie lodów, nacisk wiatrów, dla tego téż i Thomson sam oczekuje rozstrzygnięcia w dosyć odległéj dopiero przyszłości. Oprócz jednak przypływów zwykłych, które zgodnie z dziennym obrotem ziemi, dwukrotnie w ciągu doby po sobie następują, obrót księżyca naokoło ziemi powoduje również pewne przypływy i odpływy, a raczéj pewne nieregularności przypływów zwykłych, które się ujawniają dwukrotną w ciągu miesiąca peryodycznością. Tak samo wreszcie i zmiana położenia ziemi względém słońca w ciągu roku wywołuje znów inną, półroczną okresowość przypływów i odpływów. Oba te rodzaje przypływów, już z powodu dłuższego czasu, potrzebnego do ich wytworzenia, słabiéj daleko wikłającym tym zakłóceniom ulegać muszą, do nich przeto przedewszystkiém odwołać się trzeba w spornéj kwestyi co do stałości lub płynności wnętrza ziemi. W ostatnich latach prowadzono staranne badania wysokości przypływów w rozmaitych portach, ale jak twierdzi *Zöppritz*, który wszystkie ztąd otrzymane dane starannie zebrał, nigdzie nie zdołano dostrzedz owych półmiesięcznych lub półrocznych przypływów. Skoro zaś rozważania teorytyczne konieczność takich przypływów dowodnie wykazują, brak ich, jak sądzi *Zöppritz*, tém się tylko da wytłómaczyć, że i podłoże, na którém się wody oceanu rozlewają, że i dno morskie wraz z wodą podobnym przypływom ulega, że zatém daléj ziemia nie jest dosyć zesztywniałą, by oprzéć się mogła przyciągającym wpływom księżyca i słońca.

Zöppritz wnioskuje tedy, że zebrane przez niego szczegóły przywracają znów siłę dawnym poglądom o płynności wnętrza ziemi. *Z*a stanowcze wszakże wywodów jego również uważać nie można, opierają się bowiem temu badania G. H. Darwina, który dowiódł, że choćby cała ziemia posiadała płynność stopionéj lawy, a była otoczona skorupą grubości około 100 kilometrów, ulegałaby przypływom równie silnym, jak i wody oceanów. Na powierzchni takiéj przeto bryły i dobowe, dzienne przypływy zgołaby uczuć się nie dawały. Skoro zaś przypływy takie niewątpliwie istnieją, to

chociaż przypływy półmiesięczne i miesięczne dostrzedz się nie dają, ziemię—mówi G. H. Darwin—za bryłę stałą uważać należy.

Tak więc i ten trzeci wzgląd astronomiczny do rozstrzygnięcia spornéj kwestyi dotąd doprowadzić nie zdołał, jakkolwiek z rozważań powyższych wynika, że powody astronomiczno-matematyczne za skrzepnięciem przeważnéj części ziemi przemawiają, a wielu wybitnych fizyków współczesnych poglądowi temu hołduje.

VIII.

Z zakresu tych prac zresztą wspomnieć nam tu jeszcze wypada o rozprawie d-ra Ludwika Birkenmajera („Studya z dziedziny fizyki teoretycznéj. I. O wewnętrznym ustroju ziemi." Lwów 1879), tém więcéj, że nasuwa ona pod uwagę naszą jednę jeszcze okoliczność, o któréj nie wspominaliśmy dotąd, mianowicie o działaniu siły ciężkości wewnątrz ziemi.

Punkt umieszczony zewnątrz ziemi ulega przyciąganiu wszystkiéj masy, jakby skupionéj w jéj środku. Jeżeli jednak wyobrazimy sobie punkt umieszczony wewnątrz kuli wydrążonéj, to przyciąganie całéj takiéj warstwy kulistéj na punkt ten wewnętrzny, jak to jeszcze Newton okazał, będzie żadne, przyciągania różnych jéj części bowiem nawzajem się znoszą. Punkt zatém materyalny, znajdujący się wewnątrz ziemi, ulega przyciąganiu téj tylko jéj części, która zamknięta jest w powierzchni kulistéj, przez tenże punkt przechodzącéj, cała zaś warstwa zewnętrzna działania nie wywiera żadnego, czyli krótko mówiąc, punkt znajdujący się wewnątrz ziemi ulega jedynie wpływowi jądra wewnętrznego.

Jakkolwiek więc zapuszczając się wewnątrz kuli, zbliżamy się do jéj środka, mimo to natężenie przyciągania słabnie, a w samym środku, w samém siedlisku całego tego działania, schodzi do zera. Przebieg tak prosty mógłby wszakże mieć miejsce jedynie tylko w kuli jednorodnéj, czyli utworzonéj z masy wszędzie jednakowéj. Wewnątrz ziemi stosunki być muszą bardziéj zawiłe, głębsze jéj bowiem warstwy utworzone są z materyałów gęstszych; gdy więc zagłębiamy się w ziemię, zatraca się wprawdzie działanie warstw skrajnych, ale natomiast znajdujemy się w odległości mniejszéj od mas gęstszych, wywierających działanie przeważne, co stratę z zyskiem wynagradza. Dlatego to siła ciężkości aż do pewnéj głębokości wzrasta wewnątrz ziemi, dopóki nie zajdziemy tak głęboko, że strata warstw zewnętrznych przeważać zacznie,— znajdziemy się wtedy w okolicy, gdzie siła ciężkości dochodzi najwyższego swego natężenia, swego maximum, by odtąd znów maleć, dopóki w samym

środku ziemi nie zejdzie do zera. W jakiéj zaś głębokości, w jakiéj odległości od powierzchni ziemi maximum to siły ciężkości zachodzi, zależy to oczywiście od tego, jak rozłożoną jest gęstość wewnątrz bryły ziemskiéj. Wiemy zaś, że kwestya ta jest zagadkową i że pod tym względem skazani jesteśmy na domysły tylko.

Otóż dr. Birkenmajer wyraża w pewien sposób ogólny zależność gęstości od ciśnienia i rozbiera szczególne przypadki, o ile się one do rachunku nagiąć dają. W każdym oddzielnym z takich przypadków głębokość, w jakiéj siła ciężkości osiąga swe maximum, będzie odmienną: gdyby przyrost gęstości wewnątrz ziemi zachodził w sposób, jak to przyjmował Laplace, miałoby to miejsce w odległości około 188 mil geograficznych, gdyby zaś działo się to według hypotezy Roche'a, odległość ta byłaby nieco mniejsza, około 157 mil geograficznych.

Z drugiéj strony dane astronomiczne, o których mówiliśmy wyżéj, pozwalają oceniać z pewném przybliżeniem grubość zesztywniałéj skorupy ziemskiéj,—z zestawienia zaś tak otrzymanych rezultatów okazuje się, że grubość téj skorupy jest dosyć bliską głębokości, w jakiéj siła ciężkości największe swe natężenie osiąga. Zbliżenie to, sądzi d-r Birkenmajer, nie może być przypadkowém i stara się je w następny wytłómaczyć sposób. Gdy krzepnięcie ziemi wskutek stygnięcia rozpoczęło się na jéj powierzchni, to bryły zakrzepłe stając się cięższemi wskutek zmniejszenia objętości, opadały w otaczającéj je cieczy, ale zejść mogły najgłębiéj do tych tylko warstw, gdzie działanie ciężkości jest najsilniejsze. Tu więc gromadziły się masy przeprowadzone w stan stały i od téj okolicy rozpoczęło się formowanie zakrzepłéj, zesztywniałéj skorupy ziemskiéj, któréj grubość wynosi tedy przynajmniéj 200 mil geograficznych.

Inni autorowie przyjmują ruch mas zakrzepłych aż do środka ziemi; d-r Birkenmajer zwraca tedy uwagę na pomijaną dotąd okoliczność, która wszakże prowadzi za sobą pewne trudności i wymaga dokładniejszego rozważenia. Skupianie się mas ciężkich dokoła środka stanowi bowiem podstawę zarówno i rozbieranych wyżéj teoryi matematycznych, jak i poglądów geologicznych, do których teraz zwrócić się nam wypada.

IX.

Bezpośrednim badaniom geologicznym dostępne są oczywiście wierzchnie tylko pokłady ziemskie, z których o ustroju warstw głębszych bardzo nieliczne tylko wskazówki wydobyć można; klucza zatém do odcyfrowania téj zagadki szukać trzeba w geogonii, w hi-

storyi tworzenia się i rozwoju ziemi, jakkolwiek dzieje te hypotetyczny jedynie charakter przedstawiać mogą. Początkowym punktem wyjścia tych dziejów, jak już wiemy, jest pierwotna mgławica Laplace'a i na téj téż podstawie opierają się domysły geologów, które tu przytoczymy pokrótce, według jasnego przedstawienia prof. Lasaulx. Możemy tu zresztą pominąć najbardziéj bajeczny wstęp tych dziejów, gdy ziemia jeszcze masę gazów jedynie stanowiła; uważmy ją w téj chwili, gdy przez ściąganie się i ciśnienie téj masy przeszła już w bryłę ciekłą, dokoła któréj szeroko rozlegała się jeszcze atmosfera rozżarzona, — stan ten odpowiadał mniéj więcéj okresowi, w jakim obecnie słońce pozostaje. Ciekła ta masa ziemi nie przedstawiała jeszcze wyróżnienia oddzielnych materyałów, była to jednostajna mniéj więcéj mieszanina, „magma“ wedle przyjętego w ostatnich czasach terminu, z któréj dopiéro następnie wydzielić się i wyodrębnić miały oddzielne substancye chemiczne i mineralogiczne, stanowiące obecnie części składowe bryły ziemskiéj. Wyróżnianiu takiemu przeszkadzała poprzednio ruchliwość masy ciekłéj, ciągłe w jéj łonie prądowania; przy przejściu dopiéro ze stanu ciekłego do stałego dokonywać się mogło indywidualne grupowanie pierwiastków i ich związków, krzepnięcie zaś téj ognistopłynnéj sferoidy rozpocząć się mogło tam, gdzie temperatura najwięcéj się obniżała, zatém na jéj powierzchni, wciąż przez promieniowanie stygnącéj. Owa ciekła mieszanina wszelakich stopionych materyałów posiadać musiała ciężar właściwy pośredni, była cięższą od materyałów lżejszych, a lżejszą od materyałów cięższych, w skład jéj wchodzących; gdy stygła, ze wspólnéj téj masy wydobywały się najpierw te materyały, które mogą już w tak wysokiéj krzepnąć temperaturze, czyli, innemi słowy, substancye najtrudniéj topliwe.

Nie znamy wprawdzie warunków, przy jakich się cały ten przebieg dokonywał, a w szczególności nie wiemy, pod jakiém odbywał się on ciśnieniem, od czego właśnie ta temperatura krzepnięcia zależy, przypuścić jednak możemy, że wysokość tego ciśnienia w jednakowy mniéj więcéj sposób na wszystkie oddziaływała materyały, a zatém z płynnéj, ognistéj mieszaniny wyosabniać musiały się te ciała, które i ze zwykłych naszych doświadczeń znamy jako najtrudniéj topliwe. Do ciał zaś takich, jak wiadomo, należą najpierw metale ciężkie, jak iryd, platyna, nikiel, mangan, kobalt, miedź, żelazo, złoto, srebro, a daléj metale lżejsze: glin, wapń, magnez, oraz pierwiastek niemetaliczny, krzem, rozprzestrzeniony bardzo silnie na ziemi, w postaci krzemionki i krzemianów, czyli związków z ostatnio wymienionemi i niektóremi innemi pierwiast-

kami. Wszystkie zatém trudno topliwe substancye podzielić się dają na dwie grupy, na ciała ciężkie, metale, których ciężar właściwy przenosi liczbę 7, oraz na ciała lekkie, jak krzemionka i krzemiany, których ciężar właściwy wynosi około 3. Ognisto-płynnéj zaś mieszaninie przypisać wypada, jak już nadmieniliśmy, pewien pośredni ciężar właściwy, około 5½, co odpowiada właśnie znanéj nam obecnie średniéj gęstości ziemi. Gdy więc na powierzchni stopionéj masy gromadziły się żuzle zakrzepłe, jedne z nich, lżejsze, pozostawały w górze, tworząc wyspy, gromadzące się i zbijające zwolna w skorupę, która się właśnie z krzemianów składa; cięższe zaś, metaliczne bryły zatapiały się w głąb', dążąc aż do środka bryły ziemskiéj. Na drodze téj przybywały wprawdzie do okolic gorętszych, gdzie znowu stopnieć mogły, ale zarazem téż dostawały się i pod ciśnienie większe, które wogólności powrotowi do stanu ciekłego przeszkadzało, a bryły te zakrzepłe stopniowo gromadziły się koło środka.

Proces przeto krzepnięcia bryły ziemskiéj dokonywał się z dwu stron współcześnie, zarazem grubiała i skorupa na powierzchni i narastały bryły stałe u środka,—jakie wszakże zachodziły tu kombinacye, jak się ustanawiały stopy metaliczne i związki chemiczne, określić nie jesteśmy w możności. W miarę jednak, jak działanie to coraz daléj postępowało, gęstość pozostałéj mieszaniny zbliżała się coraz bardziéj do gęstości oddzielnych składowych jéj części, wydzielanie tych substancyi dokonywało się trudniéj, a proces krzepnięcia zachodził wolniéj.

W ten sposób nabieramy wyobrażenia, że między stałém jądrem a stałą skorupą ziemi przetrwała stosunkowo cienka warstwa pośrednia, a na podstawie doświadczeń geologicznych możemy nawet o jéj naturze wyrobić sobie pojęcie. W warstwie téj bowiem zawierać się muszą zarówno krzemiany i metale ciężkie, czyli ogniwa górnego i dolnego zakrzepu, i to w takiéj kombinacyi, aby ich ciężar właściwy zajmował miejsce pośrednie. Warunkom zaś tym odpowiada najbliżéj grupa minerałów oliwinowych, których ciężar właściwy wynosi od 3,2 do 4,3, a skład chemiczny również wymaganiom powyższym odpowiada. Tym sposobem dochodzimy do wniosku, że skały oliwinowe we wnętrzu ziemi odegrywają ważną rolę, jak to inną zupełnie drogą wywnioskował Daubrée, opierając się na budowie aerolitów i na zestawieniu ich z głębokiemi pokładami ziemi. W meteorytach mianowicie oliwin stanowi stateczną część składową, na ziemi zaś napotyka się w bazaltach i innych skałach wybuchowych, zajmujących dolne obszary skorupy ziemskiéj.

Z wywodów powyższych nie wypływa wszakże koniecznie, aby ta warstwa pośrednia między skorupą zewnętrzną a stałém również jądrem ziemi dotąd w stanie ciekłym pozostawać jeszcze miała, i ona bowiem z biegiem czasu zwolna zakrzepnąć również mogła. Zdawałoby się wprawdzie, że objawy wulkaniczne na powierzchni ziemi występujące, a ujawniające się przedewszystkiém wypływem płynnéj lawy, same już stanowią dowód istnienia pod wierzchnią powłoką ziemi roztopionéj dotąd masy. Dawno już jednak przebrzmiały te pierwotne poglądy plutoniczne, według których wulkany stanowić miały jakby klapy bezpieczeństwa, które dając ujście rozhukanym falom ognistym wnętrza ziemi, chronić miały okolicę sąsiednią od trzęsień. Obecnie wiadomo, że trzęsienia rozchodzą się z miejsc niezbyt pod powierzchnią ziemi zagłębionych i niekoniecznie wiążą się z działalnością wulkaniczną; lawa zaś, lubo w stanie ciekłym z wulkanów się wydobywa, niekoniecznie już w głębi ziemi ciekłą być musi.

Chociażby bowiem ziemia zupełnie już zakrzepła, to w każdym razie, według wywodów powyższych, pośrednia warstwa oliwinowa najpóźniéj w stan stały przeszła i składa się z materyałów najłatwiéj topliwych, które przez niewielki przyrost temperatury znowu w stan płynny przejść mogą. Nadto jednak do utrzymywania ich w stanie stałym przyczynia się i ciśnienie warstw górnych, co wogóle na utrudnienie topienia wpływa. Skoro więc w jakikolwiek sposób w pewném miejscu ciśnienie to ulega osłabieniu, masy przemocą niejako tylko dotąd w stanie stałym utrzymywane, rozpływają się znów i tworzą ciekłe lawy. Powód zaś do takiego przechodniego zmniejszania się ciśnienia nastręczają rozliczne fałdowania i przesuwania się górnych pokładów ziemi, co znów jest w związku ze ściąganiem się skorupy, z wytwarzaniem się gór na ziemi. Geologiczne te sprawy jednak bliżéj nas tu zajmować nie mogą; — szło nam tylko o wskazanie możliwości, że i hypotezy stwardniałéj zupełnie bryły ziemskiéj z objawami wulkanizmu nie zostają w sprzeczności.

Powrót zresztą téj lub owéj części warstwy pośredniéj do stanu ciekłego łatwiéj jeszcze pojmować możemy, jeżeli wyobrazimy sobie, że nie zakrzepła ona dokładnie, ale że pozostaje w stanie lepkim, ciastowatym, półpłynnym niejako, który poprzedza zupełne skrzepnięcie. Na stan ten przechodni nie zwracano dotąd wogóle dostatecznéj uwagi. Przechodzenie ciał ze stanu stałego do ciekłego przywykliśmy oceniać według najłatwiéj nastręczających się uwadze naszéj objawów topienia lodu; przejście to dokonywa się tu rzeczywiście dosyć nagle, trudno zauważyć jakiś stan przechodni

między lodem a wodą, między ciałem stałém a ciekłém. W innych jednak razach zachodzi tu wyraźne stopniowanie, ciało stałe nie zamienia się jakby jednym zamachem w ciecz swobodnie płynną, rozpływa się zwolna, przechodząc przez pewien stan lepkości, ciągliwości, jest jakby półpłynném; stan ten pośredni u różnych ciał trwa krócéj lub dłużéj, jak to dostrzedz można dobrze na siarce lub selenie. W szczególności, co nas tu głównie obchodzi, okazują to lawy płynące, które są tak spoiste, że opierają się wtłoczeniu w nie obcych ciał, a głazy stosunkowo od nich cięższe unoszą się na ich powierzchni; pomimo to płyną i poruszają się z pewną prędkością. Bardzo łatwo więc zgodzić się możemy na przypuszczenie, że pośrednia warstwa oliwinowa ziemi utrzymuje się w takim właśnie spoistym, lepkim stanie.

Na stan ten przejściowy, półpłynny niejako, fizycy w ostatnich dopiéro czasach bliższą nieco uwagę zwracać zaczęli. Werner Siemens, badając zachowanie się i powolne krzepnięcie szkła stopionego, rozpatrzył to powolne przechodzenie ze stanu doskonale płynnego w stan ciastowaty, który się utrzymuje pod najsilniejszém ciśnieniem; na podstawie zaś tych poszukiwań zarzuca on Thomsonowi, że w znanych nam już dochodzeniach matematycznych przyjmował nagłą i stanowczą granicę między twardą skorupą a płynném wnętrzem, gdy w naturze wogólności przejście to dokonywa się tylko zwolna i stopniowo.

Okoliczność tę należy tedy uwzględniać w hypotezach o wewnętrznym ustroju bryły ziemskiéj; rzeczywiście téż zarówno i rygidyści, jak i wiscydyści, jak Hennesy nazywa stronników stałości i płynności jądra ziemi, pod skorupą zewnętrzną mieszczą taką magmę, czyli warstwę masy plastycznéj, która dobrze się nadaje do wyjaśniania objawów wulkanicznych. Aż do granicy, w któréj się magma ta rozpoczyna, liczyć należy grubość skorupy ziemskiéj, dla obliczenia jéj jednak brak nam istotnych wskazówek geologicznych. Na podstawie nader słabo ledwie znanego prawa przyrostu temperatury podziemnéj obliczył Henrich, że w głębi 84,000 metrów panować musi temperatura 2500°, w któréj wszystkie już nam znane substancye ziemskie stopieniu ulegać muszą. Brano pod uwagę przewodnictwo materyałów, składających skorupę ziemską i niektóre inne dane geologiczne, a ztąd różni różnie oceniali jéj grubość, ale ocena taka dostatecznego uzasadnienia przedstawiać nie może.

Geolog kroacki Pilar, który całą naukę o objawach podziemnych objął oddzielną nazwą abyssodynamiki, przemawia za płynnością jéj wnętrza, przyjmuje, że grubość skorupy stanowi około $^1/_{50}$ do $^1/_{40}$ części całego promienia ziemskiego, co najwyżéj zaś

wynosi 120 kilometrów. Główny jednak nacisk w teoryi swéj kładzie na to, że grubość skorupy w rożnych miejscach zgoła nie jest jednakowa, czyli że powierzchnia lawy roztopionéj w różnych punktach niejednakowo blisko do powierzchni ziemi przystępuje. Powierzchnię tę, która przebiega przez najwyższe wyniesienia się tych mas ciekłych nazywa on ryakobypsą, a położenie jéj ma zostawać w związku z rozmaitém natężeniem działalności wulkanicznéj w różnych miejscach ziemi.

X.

Jakkolwiek mówiliśmy już o stałym, płynnym i półpłynnym stanie wnętrza ziemi, nie wyczerpaliśmy wszakże wszystkich możliwych domysłów. Pozostał bowiem jeszcze lotny, gazowy stan materyi.

Może się wprawdzie zupełną wydawać niedorzecznością przypuszczenie, że wnętrze ziemi wypełnione być może gazem, który przecież pod olbrzymim naciskiem, jakiby tam panował, lotności swojéj utrzymywać by nie mógł i musiał uledz skropleniu. Doświadczenia przecież Cailleteta, Picteta, Wróblewskiego i Olszewskiego przekonały, że najoporniejsze nawet gazy, które niedawno trwałemi nazywano, ulegają wreszcie przemocy i zamieniają się w ciecze,—jakżeżby oprzéć się mogły naporowi w łonie ziemi.

Cokolwiek jednak sądzilibyśmy o takiéj hypotezie gazowego jądra ziemi, tak pośpiesznie odpierać jéj nie można, skraplanie bowiem każdego gazu dokonać się może jedynie poniżéj pewnéj, oznaczonéj temperatury. Andrews mianowicie wykazał, że dla każdego gazu istnieje pewna temperatura krytyczna, powyżéj któréj żadne wysilenie, żadne, choćby największe ciśnienie, jakkolwiek znacznie mogłoby objętość jego zmniejszyć, nie będzie wszakże w stanie gazu tego w ciecz zamienić. Przyczyna tego osobliwego zachowywania się gazu na tém polega, że przez ściskanie go rozwija się ciepło, które się skraplaniu sprzeciwia; aby gaz zatém w ciecz zamienić, nie wystarcza samo poddawanie go znacznym ciśnieniom, ale potrzeba jeszcze koniecznie oziębić go poniżéj owéj temperatury krytycznéj, która zresztą dla każdego gazu jest inna. Dla gazów najwybitniejszych, jak dla wodoru, przypada ona bardzo nisko, koło 200° niżéj zera, dla gazów innych temperatura krytyczna jest wyższa, ale i pary wodnéj nie można skroplić, nie można jéj w wodę zamienić, skoro ogrzana jest wyżéj 580°. Rozumié się, że dla ciał trudno topliwych i trudno lotnych granica ta sięga wyżéj jeszcze, zapewne jednak tak wysoka temperatura, jaka w łonie ziemi panować może, przewyższa punkty krytyczne wszelkich znanych nam

ciał;—z tego więc względu hypoteza gazowego jądra przeszkody nie napotyka.

Nie jest to nawet pomysł nowy, już bowiem Franklin wyobrażał sobie ziemię wypełnioną wewnątrz płynem sprężystym czyli gazem; do poglądu tego, który przyjął także i Chladni, skłaniał Franklina ten wzgląd, że na zasadzie prawa Mariotte'a o zależności między gęstością gazów a ciśnieniem, jakie znosi, obliczyć można, że już w niewielkiéj stosunkowo głębokości gazy przyjmować muszą gęstość przechodzącą gęstość platyny lub irydu, ściśnięta przeto taka masa gazu całą skorupę łatwo na sobie unosić może. Leslie znów, w duchu widocznie ówczesnéj fizyki, zastąpił gazy „płynami nieważkiemi", którym przypisywano większą jeszcze aniżeli gazom sprężystość, czyli siłę repulsyjną, co według świadectwa Humboldta w sferach nienaukowych dało powód do rojeń fantastycznych. Przypomniano sobie może dawny pomysł Halleya, że ziemia jest wydrążona i we wnętrzu swém mieści planetę, któréj ruchy powodują zmiany w natężeniu magnetyzmu ziemskiego.

Z pisarzy nowszych w podobnym duchu przemawia znany filozof angielski Herbert Spencer, który wypełnia wnętrze ziemi parami o wysokiéj bardzo prężności; mało wszakże zwrócono uwagi na hypotezę tę, aż wreszcie znalazła ona godnego przedstawiciela w osobie Rittera, który na zasadach teoryi mechanicznéj ciepła przeprowadził dokładne badania nad konstytucyą gazowych ciał niebieskich. Wiadomo, że gdy pewna ilość powietrza powiększa swą objętość, temperatura jéj opada, jak to się dzieje np. z prądami wznoszącemi się w górę w atmosferze naszéj. Ritter rozpatruje tedy kulę gazową, któréj temperatura maleje od środka ku powierzchni według tego samego prawa, jakby to miało miejsce, gdyby pewna masa tego gazu wznosiła się w tymże kierunku, oziębiając się wskutek samego rozprzestrzeniania. Kula taka stygnie przez promieniowanie, przez wysyłanie ciepła w przestrzeń, ale wskutek tego ściąga się zarazem, co znów powoduje przyrost temperatury, który ową utratę zewnętrzną ciepła pięciokrotnie wynagradza. W bryle takiéj, objętości naszéj ziemi, gęstość gazu około środka przechodzi 143 razy gęstość wody, panuje tam ciśnienie wyrównywające trzem milionom atmosfer, a temperatura dochodzi 100000°. Przypominamy sobie, że olbrzymie i przerażające takie ciśnienie stanowiło jeden z powodów, dla których wielu badaczy zarzuciło hypotezę wnętrza ciekłego i skłoniło się do pojęć o zupełnem zakrzepnięciu ziemi. Zresztą o własnościach gazu, pozostającego w okolicznościach tak odrębnych od warunków, w jakich się obserwacye nasze obracają, nie umielibyśmy wiele powiedzieć; to tylko

twierdzić można, że zachowuje on zawsze zasadniczą własność gazów, to jest rozprzestrzenianie się, zdolność zapełniania wszelkiéj próżni, która mu się otwiera.

Pomysły Rittera zyskały rozgłos, gdy je rozwinął Zöppritz na zjeździe geografów niemieckich w r. 1882. Ritter zresztą w poszukiwaniach swoich nie wychodzi po za obręb gazowego wnętrza ziemi, Zöppritz uzupełnia te wywody i prowadzi aż do obecnéj powierzchni ziemi. W miarę, jak wydobywamy się z wnętrza téj ogólnéj masy gazowéj, jak temperatura jéj się obniża, wyosobniają się z niéj odrębne pierwiastki, utrzymując się jeszcze w stanie lotnym, dopóki temperatura nie opada poniżej ich punktów krytycznych; wtedy obezwładnione dotąd ciśnienie władzę swą odzyskuje i roztacza się warstwa ciekła. Im bliżéj dochodzimy powierzchni, tém więcéj ciecz ta na czystości traci, staje się mętną, spoistą, ukazują się w niéj bryły zakrzepłe, i stopniowo, bez gwałtownego przeskoku, przechodzi wreszcie w skorupę zesztywniałą, któréj powierzchnię człowiek zamieszkuje. W przebiegu tym odnajdujemy znowu ową półpłynną warstwę pośrednią, która tedy, jak widzimy, równie dobrze pogodzić się może z wnętrzem gazowém, jak z jądrem ciekłém lub stałém.

Z przedstawienia powyższego widzimy, że obecna nasza znajomość wnętrza ziemi przedstawia się w zarysach bardzo skromnych, a daleka chyba dopiéro przyszłość zdoła wygładzić sprzeczności, któremi się jeżą poglądy dzisiejsze. Nie mniéjsze napotkalibyśmy też sprzeczności, gdybyśmy chcieli podjąć tu jeszcze kwestyą czasu, gdybyśmy zapytali, jak dawno istnieje ziemia w warunkach dzisiejszych, jaki okres upłynął od czasu wytworzenia się zakrzepłéj jéj skorupy. Gdy bowiem geologowie, rozważając powolny dziś przebieg przeobrażeń na powierzchni ziemi, dla wyjaśnienia stopniowego rozwoju skorupy wymagają całych setek milionów lat, Thomson udziela do ich rozporządzenia ledwie dziesięć do piętnastu milionów lat, a wskazówki do takiéj oceny wyczytuje znowu w niektórych objawach astronomicznych. Rzecz ta jednak pośrednio tylko wiąże się z kwestyą obecnego stanu wnętrza ziemi, a i tak już spotkać mnie może zarzut, że zbyt długo zatrzymywałem uwagę czytelnika nad sprawą, o któréj naprawdę nic nie wiemy. Niech mnie jednak usprawiedliwi to, że więcéj pisze się o rzeczach, których także nie rozumiemy lepiéj, choć dzieją się na powierzchni ziemi i w blasku dnia jasnego.

Stanisław Kramsztyk.



Z OKRESU ROMANTYZMU.

FUSZKIN I LERMONTOW JAKO BAJRONIŚCI.

(Odczyty miane w Petersburgu 27, 31 stycznia i 3 lutego 1888).

Odczyt pierwszy o Puszkinie.

1.

Przed kilku dniami, 22 stycznia bieżącego 1888 r. upłynęło stulecie od daty urodzenia się Jerzego Gordona Byrona. Wielką wziętość zyskał on dopiero mając lat 24, kiedy po wydaniu pierwszych dwóch pieśni Childe Harolda zapisał w marcu 1812 r. w swoim dzienniczku: „obudziłem się dnia pewnego i dowiedziałem się, żem sławny człowiek.“ Odtąd w ciągu następnych lat dwunastu sława jego wzrastała i doszła do szczytu w dobę zgonu 19 kwietnia w Missolunghi. Spółcześni nie zwrócili uwagi na to, że zgasł człek przeżyty, szukający tylko „żołnierskiego grobowca“ i piszący na ostatnią, 36-rocznicę swoich urodzin, „ogień co piersi mi pożera jest jak samotny wulkan—wyspa—nie płonie on jako pochodnia, lecz jako pogrzebowy stos“! (1) Wszystkich uderzył heroizm tego zgonu, umiejętność bohatera urządzenia i otoczenia tak życia swego jako i śmierci swojéj poetycznie. Po śmierci Byron zasłynął więcéj niż za życia, imię jego napełniało Europę, wyglądał on jak jaki Napoleon w poezyi; poezya jego budziła umysły, pewnych ludzi złościła, drażniła, innych podbijała i pociągała; dla nikogo nie była obojętną. Najbardziéj utalentowani ludzie na lądzie europejskim, gdzie

(1) The fire that on my bosom preys
Is lone as some volcanic isle,
No torch is kindled at its blaze—
A funeral pile.

Byrona wogóle ceniono więcéj niż na Albiońskiéj wyspie, otwarcie przyznawali się, że są jego stronnikami i naśladowcami. Poczynający, bardzo płodny poeta, Lamartine w ten sposób apostrofował Byrona (*Méditations poetiques*, 1820): *Toi dont le monde ignore le vrai nom: Esprit mysterieux, mortel ange ou demon*! Prawie w ten sam sposób wyraża się Puszkin w „Onieginie“: „Utwór piekielny czy niebieski—ten anioł-czy ten hardy bies, któż jest on?“ W dzisiejszéj chwili utonęła w letejskiéj fali pamięć o Byronie jako o polityku, jako o antagoniście traktatów wiedeńskich 1815 i restauracyi monarchiczno-klerykalnéj, jako o chorążym ówczesnego liberalizmu; pozostaje jednak nieuszczuplonym fakt kolosalnego wpływu Byrona na współczesnych i na najbliższe pokolenia. Historya literatury zajmuje się wciąż nie opracowaną ostatecznie kwestyą co do odbicia się poezyi Byrona w utworach innych poetów, co do uskutecznionych przez nich zapożyczek i odtwarzania przez innych jego idei artystycznych, chociażby w odmiennych formach. Bajronizm wywołał bardzo liczne echa w literaturach europejskiego wschodu, polskiéj i rosyjskiéj. Badania nad bajronizmem w Rosyi prowadzone są systematycznie, począwszy od Bielińskiego; surowy materyał zebrano prawie wszystek, przedmiotu jednak nie wyczerpano. Badania dotąd zwykle trzymane są w ciasnych ramkach czysto-literackich. Zestawiano poetę z innemi poetami w ich utworach, a jednak potęga Byrona i wpływ jego tkwiły nietylko w talencie poetyckim, ale szczególniéj w jego osobie. Słusznie zauważył rosyjski krytyk Apollo Grygoryew (Soczynienja, I, 151), że bajronizm był rodzajem pożerającego namiętne natury powietrza, do tego stopnia, że sam Puszkin ulegał mu nie jako wzorcowi artystycznemu, lecz jako wielkiemu zjawisku historycznemu, jako „władcy dusz wieku swego“, gdy pisał porównywając go z morzem: „On był, o morze, piewcą twym, Na twoje stworzon podobieństwo, jak ty bezdenny, potężny, mroczny—jak ty niepohamowan niczém“.

Drugi brak dotychczasowych studyów nad bajronizmem polega na tém, że brana za punkt wyjścia poezya Byrona uchodzi za coś jednolitego, zaokrąglonego, niedającego się rozkładać na pierwiastki. Bezwątpienia jest ta poezya jednostajną, mistrzowstwo jéj jest jednostronne. Byron ma uczucie ogniste, ale ograniczoną wyobraźnię. Brak mu tego, co Taine zowie *l'ésprit sympathique*, zdolności czuć za drugich, albo jak się wyraził Dostojewski, wcielać się w drugich. Wszędzie i zawsze ma on do czynienia tylko ze swojém potężném „ja“, chorobliwie czulém, piekielnie dumném, buntującém się i niepohamowaném. Po dokonaném przejściu swojém w upodobaniach od Byrona do Szekspira, Puszkin skutkiem właści-

wéj mu przenikliwości sądu uznawał, że ciasne są granice talentu tego, któremu hołdował, bożyszcza, Byrona, przynajmniéj w obrębie dramatu: *Ce Byron n'a jamais conçu qu'un seul caractère (et c'est sien). Ce Byron a partagé entre ses personnages tel et tel trait de son caractère; son orgueil à l'un, sa haine à l'autre, sa mélancolie au troisième et c'est ainsi que d'un caractère plein, sombre et energique il a fait plusieurs caractères insignifiants* (list do Rajewskiego r. 1825. Pełne wyd. dzieł P. pod red. Morozowa, VII, 158). Jakkolwiek jednolita jest ta poezya i mocno nacechowana w każdym wierszu osobistością autora; jakkolwiek wydatne są i ostre rysy téj poezyi, wszakże jest ich kilkoro i działanie ich było bardzo rozmaite, zależne od temperamentów, które ta poezya podbijała. W poezyi Byrona wyraził się przedewszystkiém duch wieku, uczucie panujące albo raczéj choroba tego wieku, to co Niemcy nazywali *Weltschmerz*'em, co dziś nosi miano p e s y m i z m u, pojmowanie życia jako cierpienia a istnienia jako zła. Prócz tego poezya owa zawierała w sobie walkę z tém złém, oddziaływanie przeciwko niemu Prometeuszowe, tytaniczne, stosunek doń pogardliwy i podniosły. Nareszcie pod względem techniki forma téj poezyi była zachwycająca. Poeta doskonale wyrażał wszystkie uczucia bardzo wrażliwéj duszy od najdelikatniejszych do najmocniejszych i ponurych. Obrazowanie było plastyczne, bez żadnych niedomówień i najmniejszéj mglistości. Przekładał Byron nad wszystko rzeczy wspaniałe, kolosalne, kładł grubo jaskrawe barwy, był nieporównanym kolorystą. Idee, uczucia, technika—te były u Byrona środki działania, któremi wpływał na drugich poetów w najrozmaitszy sposób. Natury bardzo do siebie niepodobne, ludzie najprzeciwniejszych usposobień mogli się spotkać jednocześnie w obozie bajronizmu, pod jednym stojąc sztandarem. Ruch zwany bajronizmem można porównać do trąby powietrznéj, która zbiera do kupy z rozmaitych pól mnóstwo prochu, poruszającego się spiralnie z dołu do góry. Z szybkości ruchu i kierunku odrobinek prochu można wnioskować do pewnego stopnia o właściwościach i sile wiatru, podnoszącego te pyłki.

Taki rzut oka wstecz na bajronizm i na samegoż Byrona mógłby oświecić twórczość poety i charakter jego epoki. Zadanie to zbyt wielkie dla jednéj osoby, wymaga bowiem przestudyowania kilkudziesięciu albo kilkuset autorów; lecz jest to praca nęcąca; przytém, można składać się na dokonanie pracy, przygotowywać pojedyńcze cegiełki do budowy. Od dawnego czasu zajmowała mię myśl zaczęcia studyów porównawczych nad bajronistami od zestawiania dwóch par pierwszorzędnych poetów z dwu rasowo spokrewnionych narodowości, polskiéj i rosyjskiéj, pisarzy należących do

jednéj i téjże saméj epoki romantyzmu: Mickiewicza i Puszkina, Lermontowa i Słowackiego. Spełniłem dotąd tylko połowę zadania, wykończyłem tylko część pracy tyczącą literatury rosyjskiéj i mogę obecnie podać owoce moich spostrzeżeń, wydobyte z dzieł Puszkina, którego 50-letnią rocznicę zgonu obchodzono w styczniu roku zeszłego, i Lermontowa, którego również 50-letnią rocznicę obchodzić będziem, jeżeli dożyjemy, 15 lipca 1891 r.

Wchodzę *in medias res* i wprost zaczynam od Puszkina.

2.

Zwykle kładą jako początek znajomości Puszkina z utworami Byrona rok 1820, góry kaukaskie, pobyt w Jurzufie i w Kamionce u rodziny Rajewskich, w któréj znalazł ulgę niejaką po doświadczonych nieprzyjemnościach. Te spadłe nań udręczenia mocno usposabiały go ku przejęciu się uczuciami Byrona, nastrojem protestującym i gniewnym, właściwym temperamentowi Byrona. Puszkin jako osoba najmniéj odpowiadał ideałowi człowieka nakreślonemu przez jego przyjaciela, księcia Wiaziemskiego, w wierszu wziętym następnie przez Puszkina za epigraf do „Kaukaskiego Jeńca“ (II, 300): „wśród burzy losu—twardy głaz, w namiętném wrzeniu lękki listek“. Często w życiu ratowało go to tylko, że zaskoczony przez burzę losu, był on lekki i sprężysty, że mógł dopasowywać się do wszelkiego, w jakiém się znalazł, położenia. W tym razie jednak Puszkin był przybity i nad miarę rozdrażniony, doprowadzony do największéj złości, do wściekłości, nietyle przez zesłanie go na południe, dość łagodne w porównaniu z zaprojektowaném uprzednio zesłaniem do monasteru Sołowieckiego około Archangielska, ile przez bardzo rozpowszechnioną i uporczywie trzymającą się potwarzą, że za jego grzechy literackie, za liberalne wiersze i epigramy pozbawiono go „kilku szmat skóry“, jak wyrażał w oficyalnym o nim liście 17 list. 1824 jenerał policmajster 1-éj armii Skobelew (Russ. Starina 1871, N. 12, str. 673). Po wielu latach, będąc w roku 1825 na wsi, w Michajłowskiém, pisał Puszkin: *je deliberais si je ne ferais pas bien de me suicider ou d'assassiner... Je resolus de mettre tant d'indignation et de jactance dans mes discours et mes écrits, qu'enfin l'autorité soit obligée de me traiter en criminel: j'aspirais la Siberie ou la forteresse comme rehabilitation* (VII, 132). W liście z 1822 do brata swego Leona (VII, 85) Puszkin wspomina o *douleureuse experience* i o *jours d'angoisse et de rage.* W brulionowych zeszytach Puszkina (opis ich przez Jakuszkina w N. 12 czasopism Ruskaja Starina 1884) znajduje się następny niewykończny fragmencik: A w sercu

wrzały burzliwe uczucia—nienawiść, mary zemsty bladéj. Tyś mię poezyo okryła puklerzem—Tyś ocaliła jako anioł pocieszyciel.

Stan ten podrażnienia, nienormalny i nad miarę przedłużony, tłómaczy wiele rysów z życia Puszkina w Kiszyniowie i Odessie, namiętną grę w karty, skandale i zalecanki, psoty wyrządzane bojarom mołdawskim, pojedynki i włóczenie się po stepach z taborem cygańskim. Wybryki Byrona innego były rodzaju, Byron nie był karciarzem, ani napastnikiem. Nie ma powodu idąc śladami Annienkowa (Puszkin w aleksandrowskuju epochu. 1874 r. str. 149) tłómaczyć rozpasanie się Puszkina w ten sposób, jakoby to był bajronizm zwyrodniały przez przeniesienie go na grunt rosyjski i pomieszanie go z oryginalnemi, dzikiemi i nieludzkiemi szczegółami. Wiadomo, że Puszkin oddawał się szalonéj rozpuście kilka razy w życiu, co nie wpływało ujemnie na jego talent, bo właśnie w chwili kiedy powszechnie mniemano, że się ostatecznie pogrążył w uciechy zmysłowe i że na błahe rzeczy się zmarnował, poeta podnosił się znowu na niedościgłe wyżyny, nie zbrukawszy nawet skrzydeł; że otrząsnąwszy się od „bezwstydnego szału żądz“ (*bezstydnoje bieszenstwo żełanij*), sypał on ze swojego rogu obfitości utwory piękniejsze i głębsze od wszystkich poprzednich. Zmysłowość właściwą jest każdemu artyście, a przytém wielcy poeci są to ludzie dziwni, do których stosują się z pewnemi dość znacznemi wyjątkami przepisy powszedniéj, pospolitéj moralności. Kultura uczy ludzi zachowywać się jednostajnie, nie wzruszać się, nie roznamiętniać, dobro czynić bez wysiłku, naturalnie, prawie automatycznie; lecz dla poety taka proza—to śmierć sama. Poeta żyje tylko wzruszeniem i namiętnością, namiętność jest takimże niezbędnym dlań żywiołem, jak ogień dla mitologicznéj salamandry. Twórczość jego reprodukuje z uderzającą prawdą tylko to, co odczuł sam i przecierpiał. W dziejach można na palcach wyliczyć ludzi wyjątkowych, podobnych do Szekspira, twórców z genialnego domysłu. Najczęściéj poeta jest tylko żywém podobieństwem: „Żagla“ (*Parus*) Lermontowa (1832): „Pod nim świetlana toń lazurów, Nad nim lśni słońca promień złoty—Lecz on buntownik woła: burzy!—Jak gdyby burza była pokój!“

Poznajomienie się z Byronem nie zmodyfikowało w niczém trybu życia Puszkina w okresie jego rokoszowym (*Sturm und Drangperiode*), i w bardzo słabym tylko stopniu mogło przyłożyć się do zdziczałości, do pomiatania wszelkiemi światowemi warunkami i konwenansami. Wiadomém jest, że w późniejszym czasie Puszkin się ustatkował, spoważniał, i że ożeniwszy się, często powtarzał po 1830 r. słowa Chateaubrianda w Atali: *il n'y a de bonheur que dans les voies communes*. Przeciwnie, wpływ Byrona na twórczość poetyc-

ką Puszkina był olbrzymi. Puszkin spotkał w Byronie naturę, jak mu się zdawało, pokrewną, poezyą od serca a głównie punkt nowy oparcia się w nowym nastroju swoim, mocno przeczącym i opozycyjnym, nowy teoretyczny podkład dla systematycznéj negacyi. Zagustował on w pessymizmie Byrona, sterującym rdzeń bajrońskiéj poezyi. Zachodzi pytanie, które przed innemi podlega roztrząsaniu, azali Puszkin pojął należycie i przeniknął ów pesymizm, mózgową substancyą twórczości angielskiego poety?

3.

Pesymizmem wogóle zwiemy obrzydzenie życia doprowadzone do złorzeczenia, do wniosku, że człowiekowi ciąży samo istnienie. Pesymizm może służyć za źródło poezyi albo dać początek systematowi filozofii. Pojawia się zrzadka, śród najposępniejszych epok dziejowych i nosi charakterystyczną barwę krytycznéj chwili, w któréj powstał i rozszerzył się epidemicznie. Jakie były odrębne cechy pesymizmu Byrona? Wszyscy zgadzają się na to, że w swoich poglądach na świat Byron należy do wieku XVIII. Jest on humanistą, przekonanym, że człowiek oszpecony został i popsuty przez przesądy niedorzeczne i złe formy towarzyskie; wierzy on w moc rozumu, konieczność powrotu do natury, w wolność bezwględną i bez granic, w możność dojścia do powszechnéj szczęśliwości drogą przepisów prawodawczych i racyonalnego sprawowania rządów. Próbę zrobione, próba nie udała się, skończyła się najniepomyślniéj w tragikomedyi wielkiéj rewolucyi francuskiéj. Stary porządek zdruzgotany został i zdeptany, lecz wyzwoleni ludzie sprawowali się jak dzikie zwierzęta, grzęznąc w błocie i krwi kałużach śród rumowisk. Mnóstwo ludzi zwątpiło w rewolucyą poczętą pod hasłem praw rozumu. Główny prąd wieku zmienił się i zawrócił wstecz, zaczęto odbudowywać połamane trony i ołtarze. Cóż zostawało do robienia ludziom niechcącym wkładać szyi do dawniejszego jarzma? Zaiste, bronić wedle możności danych przekonań mimo zmianę okoliczności. Stronnicy humanizmu, wierni zasadom rewolucyi, zgłębiający przyczyny niepowodzeń rewolucyi musieli w końcu przyznać, że rewolucyoniści szli nie właściwemi drogami i że cele ruchowi wytknięte były fałszywe, że za rozkazy rozumu podawane były mylne rachuby, zdradzające grubą nieznajomość natury ludzkiéj i człowieka; inaczéj mówiąc, wypadło zająć to stanowisko, które zajmuje obecnie nauka historyczna, przy opracowaniu olbrzymiego wypadku dziejowego z końca ubiegłego stulecia. Było wszakże na razie inne z trudnego położenia wyjście, którego próbował dokonać By-

ron. Jeden z najcelniejszych krytyków rosyjskich po Bielińskim, Apollo Grigorjew (Dzieła, I, 155), twierdzi, że poezya Byrona cechuje się brakiem wszelkiego pierwiastku moralnego, że protestuje ona przeciw nieprawdzie, lecz bez świadomości prawdy, że ponieważ jest to poezya szczerego egoizmu bez maski, więc nie mogła być spokojnie przyjętą przez poetyczną naturę Byrona, a więc znalazła swój wyraz w bólu i szatańskim śmiechu, które stanowią poetycką aureolę tego ubóstwienia egoizmu. Najzupełniéj zaprzeczam temu określeniu bajronizmu i uważam, że zdanie Grigorjewa jest od początku do końca fałszywe i z prawdą nie zgodne. Wierny syn wieku XVIII, Byron nie wyrzekł się ani jednego ideału tego wieku, mimo że się zmieniły okoliczności; lecz ponieważ ideały te były już przed nim pospolitowane i błotem oszpecone, więc swoje stąd pochodzące oburzenie za sprofanowanie ideałów wylewa Byron na cały ród człowieczy, wyjąwszy tylko siebie samego i kilkoro z wyższych natur i najbliższych ludzi, których umiał serdecznie a gorąco miłować. Byron miał w temperamencie hart i dumę szermierza i doprowadził do mistrzostwa swoję pogardę ku całemu rodzajowi ludzkiemu. Ta nuta mocno dźwięczy we wszystkich jego utworach, począwszy od słynnego nagrobka nad psem newfoundlandzkim (1817—*Oh man! Thou feable tenant of an hour*, *Debased by slavery or corrupt by power*, *Who knows thee well must quit thee with disgust Degraded mass of animated dust*) (1) aż do potężnéj ostatniéj jego satyry, wymierzonéj przeciwko rodzajowi ludzkiemu—Don-Żuana. Po tysiąc razy kreślił Byron istoty wyższéj natury, stojące po nad nienawiścią tłumu (*must look on the hate of those below.* Ch. H. III, 45). Ludzie sprofanowali ideał, jest on już nie wszechludzki, lecz tylko osobisty, właściwy wybrańcom. Byron do tego stopnia jest mu oddany, że uważa zwyczajne, realne życie ludzkie, życie ludzi w towarzystwie pod ustawami jego, jako f a ł s z y w ą twórczość (*Of own beauty is the mind diseased and feverś into fals creation.* Ch. H. IV, 122), jako podrabianą naturę i dysharmonię (Życie nasze to drzewo upas z śmiertelną trucizną i jadowitą rosą, Ch. H. IV, 126). W tych wyrazach przebija się niezawodnie pogląd, od J. I. Rousseau pożyczony, o konieczności powrotu do stanu natury, o konieczności otrząśnięcia się ze sztucznéj cywilizacyi. Błąd ten nie wiele waży w danym razie, bo mamy do czynienia nie tyle z utopistą, nawołującym ludzi do powrotu na łono natury, ile z idealistą, który całą wagę i wartość życia upatruje nie w rozkoszach zmysłowych, nie w do-

---

(1) Człowieku! słaba godzinę trwająca istoto, upodlona niewolą lub zepsuta władstwem, kto cię zna odwróci się od ciebie z odrazą, nędzna ty maso ożywionego prochu!

brach tego świata, ani nawet w tém co nas czeka z agrobem, lecz w istotach metafizycznych, tylko w świadomości człowieka zamieszkałych, które dusza sama z siebie dobywa i wydziela: wprawdzie, w pięknie, w tworach umysłu i sztuki, żywotniejszych i prawdziwszych aniżeli płaska i pozioma rzeczywistość (Ch. H. III, 6; IV, 5). Ten pochop ku rzeczom idealnym stanowi mękę życia ale téż i jego okrasę. Będąc bardzo młodym, skarżył się Byron w I pieśni Ch. Harolda w wierszu do Inezy na rdzę życia—demona-myśl (*The bligth of life*, *the demon Thought*). Późniéj, w 3 i 4 pieśniach tegoż Ch. Harolda mianuje się on włóczącym się zbiegiem od własnego posępnego umysłu (*The wandering outlaw of his own dark mind*, III,3. *I have thougth too long and darkly*, III,7.—W Onieginie wyraża się tak Puszkin: „I Byron—surowy męczennik"... jest to określenie nie pełne, nie całkiem słuszne. Do Byrona stosowały by się raczéj własne jego słowa o Rousseau: s a m s i e b i e m ę c z ą c y (*selftorturing*... ale nie *sophist*, III,7). Jednakże ten sam się męczący człowiek idzie na męki z dobréj woli, z obowiązku sumienia, nawet odrzucając środek, dopuszczany przez starożytnych stoików—s a m o b ó j s t w o, (Ch. H. IV, 21: Istnienie trzeba znosić, bo korzonki—Życia i cierpienia sięgają daleko wgłąb—Ścierpłych i opłakanych serc.—Bez skargi niesie największy ciężar wielbląd,—Wilk milcząc mrze... a my z delikatniejszéj gliny ulepieni mielibyśmy wzdragać się znosić co trwa zaledwie dzień). W Byronie objawiło się najenergiczniéj uczucie, które wyrażał natchniony duchem téj poezyi Puszkin w wierszu: lecz nie chcę ja, o druhy me, umierać—ja pragnę żyć bo myślić chcę i cierpiéć (*No nie chaczu ja druhi umirať*. *Ja żyť chaczu, sztob mysliť i stradať*). Słowa te to niby oddźwięki cudnéj 127 strofy IV pieśni Ch. H.: Rozważmy śmiało, mamyż podle—zbywając się rozumu, wyrzekać się—prawa myślenia. Wszak to ostatni i jedyny—przytułek nasz. Bądź co bądź do mnie należy to schronienie (*Yet let us ponder boldly—'tis a base Abandonment of reason to resign — Our right of thought—our last and only place of refuge. This at least shall be mine*). Ma więc niezaprzeczenie Byron swój ideał, w naszym żelaznym wieku ideał ten przestał być towarzyskim i stał się osobistym tylko ideałem poety, a że poeta nieoddzielny jest od wieku, więc i ideałem jego wieku, porywającym ku sobie wybrane istoty. Byron z własnego doświadczenia podaje jak fatalne i z jak nie przezwyciężonego popędu odbywają bieg swój te silne istoty, druzgocąc wszystko po drodze. „Wiatr ich oddechem, a żywot ich to burza" (IV, 44)... spokój im cięży piekielnie (III, 42). Malując ogień ich trawiący w krwi ich własnéj, męczącą ich gorączkę czynu, Byron zamyka rzecz takim wywodem: Toż to właśnie czyni waryatami ludzi,

którzy zarażali innych i kazali im waryować: zdobywców, królów, założycieli sekt i systematów, w dodatku sofistów, bardów, mężów stanu.... Jedna pierś taka, a otworzona, wyleczyła ludzi od chęci błyszczenia albo rządzenia (Ch. H. IV, 43). Dla uzupełnienia charakterystyki dodajmy, że tworząc nową filozofią historyi, budując teoryą wyższych natur fatalnych wielkich ludzi, dla których nie istnieje prawo, bo oni sobie prawem są, Byron nie wyróżnia poety, nie daje mu uprzywilejowanego miejsca i nie przypuszcza nawet, że poeta może być sam przez się małą i drobną istotą, olbrzymiejącą tylko w chwili zstępującego natchnienia. Byron nie analizował, jak to czyni dzisiejsza psychologia doświadczalna, początków tworzenia w stanie nieświadomości, przytém był on człowiekiem czynu, osobą pod każdym względem nadzwyczajną, raczącą czasem zajmować się pisarstwem. Takim był mistrz! Zachodzi pytanie co przejął uczeń od mistrza, którego wedle słów własnych upodobał do szaleństwa *(schodił ot Bajrona s uma).*

4.

Po dniach „utrapienia i wściekłości“, dusza zbolała Puszkina wsysała niby gąbka jedną właściwość charakteru Byrona: wzgardę względem rodzaju ludzkiego. Odczuwamy mimowolnie lodowate oziębienie, czytając następującą nauczkę złośliwéj odludkowéj moralności, którą podawał 23-letni młodzian w liście pisanym z Kiszyniowa (1822) do młodszego brata Leona Puszkina, wielkiego zresztą, co się zowie, sowizrzała: *commencez par penser des hommes tout le mal imaginable. Meprisez les leplus poliment possible. Soyez froid avec tout le monde. N'accepter jamais des bienfaits, ils sont pour la plupart une perfidie. Point de protection car elle asservit et degrade... N'oubliez jamair les offenses. Moins on aime une femme et plus on est sur de l'avoir, mais cette jouissance est digne d'un vieux sapajou du XVIII siècle* (VII, 85). Puszkin szczerze myślał jak pisał, kreśląc te wskazówki. Ich ostry kwas i ich nielicowanie do temperamentu poety każą przypuścić, że uczucia moralisty były przemijające, że sam logiczny podkład tych morałów był tylko naleciałością. Wiadomo, że wskutek powtarzania pewnego wzruszenia mimiczny wyraz tego wzruszenia może unieruchomić się i zastygnąć na twarzy człowieka, stać się trwałą zmarszczką albo wykrzywieniem końców ust od pogardliwego uśmiechu. Twarz każdego z nas jest rodzajem maski złożonéj z głębokich śladów całéj przeszłości naszéj. Śladami temi twarz nasza poorana, a po za niemi tylko tai się niepochwytne, zaledwo odgadywane psychologiczne „ja“ obserwowanéj osoby.

Jako taki charakterystyczny rys na moralnéj fizyognomii Puszkina uważam przybraną wzgardę ku rodzajowi ludzkiemu, która pojawiła się wskutek doświadczonych cierpień i już go nie opuszczała, bo stała się nieodmienną odtąd cechą umysłową. „Kto żył i myślał, ten nie może nie gardzić ludźmi w głębi duszy" — pisał P. w I rozdziale Oniegina, jak się zdaje w r. 1822. W V-m rozdziale, w strofie 22 odmalowany jest człowiek spółczesny „z duszą swoją niemoralną, oschłą, miłości pełną własnéj, tonącą w bezmiarze marzeń, z rozumem swoim rozzłoszczonym *(ozłoblennyj um)*, wrzącym śród próżni działania." Zestawmy z tym wypisem dwa wiersze z „Wodza" (Barclay de Tolli), datowanego 7 kwietnia 1835 r. na Wielkanoc: „O ludzie, nędzny rodzie! łez godzien i śmiechu, kapłani chwilowego, powodzeń czciciele." *(O liudi, żałkij rod dostojnyj slez i smiecha! żrecy minutnawo, pokłonniki uspiecha!).*

Mickiewicz, który był bardzo blizkim znajomym Puszkina, sądzi, że Puszkin sam się odmalował bardzo trafnie w wierszach „Oniegina" (rozd. I, str. 45): „marzeniom wbrew woli oddany—nienaśladowniczo dziwny z ostrym oziębionym rozumem" *(mieczłam niewolnaja predannost' — niepodrażatelnaja strannost'—i riezkij ochłażdennyj um)*. Charakterystyka „rozzłoszczony" albo „oziębiony" nie ściśle logiczna, bo rozum zawsze pełni w życiu psychicznem funkcyą aparatu oziębiającego. Oczéwiście, chciał wyrazić Puszkin nawyknienie woli do hamowania wszelkich sympatycznych względem kogobądź uniesień za pomocą systematycznie poddawanego przypuszczenia, że wogóle wszyscy ludzie są to nędznicy i egoiści bez serca. Wystygnięcie Puszkina datuje nie od pierwszéj młodości i można rzec stanowczo, że nie było ono spowodowane widokiem wstrętnych politycznych stosunków europejskich albo krajowych, bo polityczne przekonania Puszkina były chwiejne w młodych latach, a nadzieje zawsze były różowe. Toć w wierszu „Wieś" *(Dierewnia)* z 1819 Puszkin ujawnia się jako postępowy liberał, ale monarchista (...ma nadzieję, że niedola ludu padnie na carskie skinienie...). W wierszu „Wolność", który najbardziéj przyczynił się do zesłania Puszkina na południe, górują konstytucyjne ideały grudniowców (...gdzie mocne jest z wolnością świętą—ustaw potężnych skojarzenie), pojęcia o wolności, jako o czémś niebyłem, nagle nadchodzącém i ustalającém się tylko w rewolucyjném otoczeniu (1822. *Tauryda:* gdzie ty o burzo, symbolu wolności?). W pierwszéj połowie 1821 r. napisany był bardzo znany „Sztylet" *(Lemnosskij boh tiebia skował dla ruk bezsmiertnoj Nemezidy...)*, którego zakrój niecenzuralny i rewolucyjny tłómaczy się bardzo łatwo tém, że nie jest to bynajmniéj utwór oryginalny, ale tylko naśladowanie innego oprócz

Byrona bożyszcza, któremu hołdował Puszkin w swym czasie, a mianowicie Andrzeja Chenier (Ode à Charlotte Corday... *Et des coeurs sur la tombe en une sainte ivresse — Chanteraient Némesis la tardive déesse — Qui frappe le mechant sur son trône endormi!... O vertu, le poignard seul espoir de la terre Est ton arme sacrée alors que le tonnerre Laisse regner le crime et te vend à ses lois).* W 1823 r. Puszkin, który w liście do brata pozował na skończonego egoistę i odludka, entuzyazmuje się, wprawdzie za przykładem Byrona, i woła: „Powstańże, o Grecyo, powstań—kraju bohaterów i bogów—potargaj niewoli pęta—na głos promieniejących pieśni Tyrteusza, Byrona i Righi“ (I, 298). W grudniu tegoż 1823 roku z listu do Turgieniewa dowiadujemy się, że już poeta się otrząsł z liberalizmu *(liberalnyj bred)* i pod wrażeniem świeżego otrzeźwienia się pisany był wiersz o „Siewcy“, gorzki i ironiczny: „a pocóż stadom dar wolności — trzeba je rznąć albo téż strzydz.“ Do samego końca życia Puszkin sprawował się jako nigdy nieupadający na duchu oportunista, rachujący na to, że rząd rad jego posłucha. Nie podlega więc wątpliwości, że rozgoryczenie i zrospaczenie Puszkina pochodziły nie od zawodu w życiu polityczném albo towarzyskiém, o które zresztą mało się troszczył Puszkin, bo uważał je jako rzecz postronną, w małym związku zostającą z głównėm jego zajęciem (luty 1828. VII, 110: *Tout-ce qui est politique n'est fait que pour la canaille).* Rozczarowanie może czasami pochodzi z okoliczności całkiem prywatnych, zdrad w przyjaźni, w miłości, czegoś podobnego do wypadku, opisaniem którego Alfred de Musset rozpoczął swoje *Confessions d'un enfant du siècle*; lecz skądinąd wiadomo, że Puszkin kochał się często i nie bez wzajemności, że miał przyjaciół dobrych, oddanych mu i zaufanych, a liczących się do najlepszych ludzi, jakich wówczas posiadało społeczeństwo rosyjskie. Wypadałoby chyba przypuścić, że się Puszkin zrozpaczeniem zaraził od osoby, którą nazwał w wierszu z 1823 r. Demonem (I, 292); ten demon miał go nawiedzać i „w duszę wsączać tajny jad“ złośliwemi mowami. Ten wiersz tak zaciekawiał ówczesną publiczność, że zaczęła doszukiwać się pod tą poetyczną postacią żywéj osoby i domyślać się, że owym demonem był znany sceptyk A. N. Rajewski. Skoro się Puszkin dowiedział o tych domysłach (strofa 12 rozdz. III-ci Oniegina) przygotowywać począł do druku refutacyę (bruliony—patrz Annenkowa: Puszkin, str. 153), w któréj tłómaczył, że chciał tylko upostaciować zwątpienie... „ducha przeczenia (podobnego do Mefista Goethego) ze smutnym wpływem jego na obyczajność wieku“, niszczącym „najszlachetniejsze, poetyczne przesądy duszy.“ Tłómaczenie się Puszkina ma wszystkie pozory wiarogodności. Jego De-

mon nie był, o ile się zdaje, osobą żyjącą, w każdym razie nie był to Byron, bo najprzód, do ognistéj poezyi Byrona nie stosują się wyrazy: „zimny jad, szyderca, potwarca Opatrzności, niewierzący w wolność“, powtóre, że demon nawiedzać począł Puszkina w dziecięcych jego latach, poprzedzających znajomość z Byronem: „gdy dla mnie były całkiem nowe wrażenia, wszelkie życiowe—dziewicze oczy, lasów szum...“ Jeżeli zechcemy szperać w latach dziecięcych Puszkina, przyjdziemy zapewne do wniosku, że ów bies-szyderca zamieszkiwał bibliotekę ojca Puszkina, z któréj młody Puszkin wykradał francuskie książki, całą literaturę XVIII w. i pożerał ją, ostrząc swój dowcip, lecz mocno brukając wyobraźnię. Bies ten towarzyszył Puszkinowi w liceum carskosielskiém i zapewne miał rysy twarzy osoby, o któréj Puszkin wyrażał się wtedy w ten sposób: „Fernejski zły krzykaczu, z poetów ty najpierwszy, zawsześ we wszystkiém wielki,—jedyny starowino!“ (I, 40. *Gorodok)*. Skoro Puszkin zamłodu był wtajemniczony w najbardziéj pieprzne utwory piśmiennictwa francuskiego z XVIII w., nie potrzebował już brać nowych lekcyi „czystego ateizmu w Odessie od głuchego Anglika“, który, wedle słów listu Puszkina, „miał niszczyć słabe dowody nieśmiertelności duszy“ (Stojunin: „Puszkin“ str. 209, listu, który wpłynął na przeniesienie Puszkina z Odessy na wieś Michajłowskoje).

W młodym wieku przesiąkł Puszkin ciętym materyalizmem i nihilizmem filozofów francuskich, wszakże te doktryny nie przenikały aż do głębi jego umysłu. Broniło jéj uczucie piękna, uczucie estetyczne, o którém tak się on wyrażał: „Inną i lepszą mi nagrodę przeznaczył los: marzenia szczęścia nieziemskiego“ (bruliony, I, 265). Szyderca z szydercami, marzyciel z sobą samym i w wierszach, Puszkin nie był usposobiony do zaciekania się, któremu z tych dwóch przeciwnych poglądów odpowiada rzeczywistość. Doświadczone cierpienia zmusiły go zaprzątnąć się ostro postawioną kwestyą nieprzyjemną. Puszkin zniewolony był wyznać, kończąc fatalny dlań list swój o ateuszu, że „ten system mniéj pocieszający niż zwykle sądzą, wszakże na nieszczęście podobniejszym jest do prawdy...“, inaczéj mówiąc, że życie jest wogóle szkaradą i że badać je należy, wchodząc doń tylnemi drzwiami. (W jednym z waryantów 45 strofy I pieśni Oniegina: „Odkryłem życia skarb ubogi, zastępujący ćmy omamień — zastępujący wiarę i nadzieję — karm lekkomyślnych prostaków.“ III, 252). W przygotowanéj z powodu Demona refutacyi Puszkin dodaje: „wątpienia wywołane przez wieczne sprzeczności, uczucie męczące, chociaż nie długotrwałe.“ Pozostawmy do czasu bez rozstrzygnienia kwestyą, czy zwątpienie, za-

nim opuściło Puszkina, wyżarło z niéj najlepsze poetyczne przesądy duszy, w każdym razie nieusprawiedliwiało to zwątpienie téj względem ludzi pogardy, którą ujawniał on co chwila. Bajronizm nie polega wcale na tém, aby się babrać w błocie społem z innemi ludźmi, chociażby uznając czczość istnienia, lecz na tém, by występować do walki z całym światem, dzierżąc w ręku pochodnię ideału osobistego i świadcząc o wyższości tego ideału nad nędzną rzeczywistością. Taka tylko walka daje prawo do mianowania poezyi Byrona „dumną lirą Albionu“ (I rozd. Oniegina) i upoważnia szermierza do spoglądania z góry na istoty słabsze.

5.

Nie mógł Puszkin przejąć się całkowicie pesymizmem Byrona, bo temperamenty obu poetów—mistrza i ucznia—były niepodobne, nie jednako cierpiące, nie jednako oddziaływające na zewnętrzne wrażenia i na ukłócia losu. Obaj poeci cierpieli dużo, lecz organizm Puszkina był delikatniejszy. Od dzieciństwa wylewa się to cierpienie w rzewnym, przeciągłym jęku, w pieśni skarżącéj się, ale któréj nie towarzyszy zgrzytanie zębów. Mając lat 17, poeta pisał, będąc jeszcze w liceum: „a ścieżka moja smętna i pusta... żywot mój smętny mrok niepogody...“ (I, 130, do Gorczakowa). „Kiedyż się duszy przerwie chłodny sen? Kiedyż się zatli poezyi czar?“ (I, 500). Wszystkie te utyskiwania były tylko przeczuwaniem surowéj rzeczywistości, czémś niedoświadczoném, ale tylko wyczytaném (co poeta wyraził późniéj w I rozdziale str. 9 Oniegina: „Nas żar sercowy trapi zamłodu — nas kochać nie natura uczy — lecz Chateaubriand albo Staël. Poznania życia z młodu chciwi — my poznajemy je z romansów...“). Nadeszły wreszcie ciężkie istotnie próby, nie złamały poety, ale go przygniotły. Poeta wątpi o sobie samym: „Wytrwam-że w gardzeniu losem? Czyż się potkam z nim, chowając Nieugiętość i cierpliwość — Pięknych dni hardéj młodości?“ (Przeczucie I, 39), to jest te właśnie przymioty, które, mniemał on, że posiadał nim zasłynął między ludźmi — „burzami duszy méj, żądzą wolności i prześladowaniem“ (I, 265). Duszę jego napełnia gorzka tęsknota, ale ta się ściele niby dymek, niby lekka mgła, nie niszcząca pięknych jaskrawych barw, cechująca inne zdrowe, wesołe i ochocze wrażenia. Niezadowolnienie z siebie i z życia nie wygląda jak pesymizm, są to niby cienie od przesłaniających słońce obłoków, są to chwilowe wybuchy nieukontentowania. Trzymany w Michajłowskiém, samotny w dzień licealnéj rocznicy (19 października) w 1825 Puszkin chciałby „doświadczyć pijanego szału,

byle zapomnieć o mąk goryczy..... których nie wart świat..." Puszkin jest niezawodnie rozgoryczony, lecz ból to lekki, przelotny i pełen wdzięku nawet w najpoufniejszych wylaniach się poety. *Croyez m'en chère Madame Osipow* — pisze on do przyjaciółki— *la vie toute s ü s s e G o w o h n h e i t qu'elle est, a une amertume qui finit par la rendre degouttante et c'est un vilain tas de boue que le monde* (VII, 385 z 1835 r.). „Djabli mi nadali, że urodziłem się w Rosyi i z talentem! bardzoż wesoło, nie ma co mówić!" (pisał w ostatnim liście do żony 18 maja 1836 r., VII, 404). Większą część cierpień Byron zawdzięczał sobie samemu, sam brał siebie na męki, rozpamiętując nad swą przeszłością, operując nad wspomnieniami wrażeń, które się utrzymywały w nim w pełnéj świeżości po dziesiątkach lat. Męki te porównywał Byron (*Ch. Har.* IV, 28) do bólu od ukąszenia skorpiona, bo wraca wciąż za lada słówkiem, za lada napomknieniem.

Życie Puszkina dostarczało mu dużo materyi do takich-że bolesnych rozpamiętywań. „Murzynów brzydki potomek", pełen „bezwstydnego szału żądz" (1818 r. I, 188) — pisał on (Oniegin, rozdz. 8 str. 3) — „ja za prawo sobie stawię namiętności mych dowolność." Więc musiał dość często doświadczać, jak „samotnemu rozmyślań godziny—W ciszy leniwo się wleką— a ukąszenia serdecznéj gadziny bezczynnemu srożéj pieką", — jak „przypomnienie w milczeniu roztacza swe długie zwoje", jak mu stawiło przed oczy „lata próżno stracone śród uczt rozpustnych i w bezrozumie zgubnéj wolności." (Przypomnienie 1828 r. I, 37). Lecz i tym zgryzotom sumienia Puszkina brak tragicznego pierwiastku, bo momentalnie zniżają się do elegii. Czasami poeta podnosi kolosalne kwestye bytowe i formułuje te kwestye po bajrońsku w kształcie protestu przeciw Stwórcy: „Kto użyciem wrogiéj władzy—z niebytu mię powołał—duszę moję roznamiętnił — Rozum przez zwątpienie zmącił" (26-go maja 1826); lecz wnet potém lot myśli obniża się: „celu nie mam ja przed sobą, serce próżne, um bezczynny..."; innemi słowy, pojawia się uczucie, które wyraża Faust w napisanéj przez Puszkina (1826) lecz nie najszczęśliwiéj pomyślanéj scenie (III, 103): „nudzę się, bisie!" albo w innym fragmencie z 1821 (I, 238): „jedne cierpienia mi zostały, próżnego serca owoce." Przytaczałem ustęp z wiersza, w którym tkwi myśl niezaprzeczenie bajrońska: „Droga nużąca; trud mi i tęsknotę—wróży przyszłości zbalwanione morze, Lecz, druhy me, ach nie chcę ja umierać —Ja pragnę żyć, bo myślić chcę i cierpieć...." Wszakże moc wrażenia, które sprawiają te energiczne wiersze, słabnie we wdzięcznem uśmiechniętém zakończeniu w guście anakreontyków: „a może smętny dni moich ostatek okrasi miłość zegnania uśmiechem" (1830 r. Elegia. II, 101).

Jeszcze jeden podamy przykładzik. Nie ma myśli bardziéj gnębiącéj, bardziéj trującéj życie człowieka, nad myśl o nieuniknionéj śmierci i zupełnéj obojętności, nie mającéj serca natury względem losu pojedyńczego żyjącego człowieka. Myślą tą na 6 wieków przed Chrystusem utrapiony indyjski król Siddartha, pojął nicestwo bytu, ujrzawszy trup człowieka, porzucił tron i żonę, stał się pustelnikiem i zasłynął jak Budda. Ta sama myśl nie dawała pokoju śmiertelnie choremu Turgieniewowi, gdy pisał dreszczem przejmujące swoje „poezye prozą“ *(Stichotworenija w prozie)*. Myśl o śmierci stanowi główny węzeł w najgłębszym i najbardziéj pesymistycznym utworze Byrona — Kainie. Nie był wolny od myśli téj i Puszkin (1829 r. II, 77). „Czyli ja krążę w buntowniczym tłumie, czyli ja w słodkim gustuję pokoju, Ściga mię myśl o śmierci nieodzownéj— zawsze obecna, zawsze tuż przy mnie!“ Myśl ta trująca, przykra, siada niby cień Banka między biesiadnikami śród uczty koronacyjnéj, lecz i w téj ciężkiéj chwili ponury mrok przerywa u Puszkina promień słońca złocisty, przez co płacz nad nieuniknioną śmiercią schodzi na wdzięczną i słodką sielankę: „Lecz niech u wejścia do grobowca z uśmiechem igra życie młode—A obojętne przyrodzenie niech świeci krasą wiekuistą.“ Na palecie Puszkina nie ma zgoła tych ciemnych barw, w których się lubuje aż do przesytu muza Byrona; lecz z drugiéj strony niewątpliwém jest, że wyobraźnia Puszkina była żywsza i bogatsza, że był to istotny Proteusz—tak go zwali współcześni,— że był on do najwyższego stopnia uzdolniony do oddzielania się w myśli od swego „ja“, do myślenia przedmiotowo, i osięgania tego niewzruszalnego pogodnego spokoju bogów, które było właściwe starożytnéj sztuce, czego dał dowód naprzykład w tym pysznym ułamku z 1829, pod którym by się chętnie podpisał sam olimpijczyk Goethe: „Przyjmcie mój hymn, o tajemnicze siły! Choć przez wygnanie długom był oddalon — Od waszych ofiar i cichych obiatów,—Lecz was miłować nie przestawałem, bogi!— Z jakiém-że wielkiém i świętém wzruszeniem—Odbiegłem niegdyś ludzkiéj trzody naszéj, By odtąd wciąż strzedz ogień wasz samotny I biesiadować z sobą tylko samym!... Godziny niewymownych uciech pełne! Uczą nas one głąb' serca poznawać. One w potędze, one i w niemocach Uczą nas kochać, uczą nas piastować Uczucia nieśmiertelne, tajemnicze — I nam wpajają z nauk wszystkich pierwszą: U c z c i j s a m e g o s i e b i e“ (II, 85). W późniejszym czasie, gdy przeszło u Puszkina upajanie się Byronem, sądził on trafnie i trzeźwo o jednostronności i brakach téj poezyi: „Wielki, ale jednostajny“ wyraża się on w żartobliwéj odzie do księcia Chwostowa, a w 1 rozdziale Oniegina (str. 9) nie chce, aby sądzono, „że

swój ja portret nabazgrałem, Jak Byron, ów poeta dumny, Jak gdyby już nie można było Poemy pisać o kim innym, A nie o sobie tylko samym.

6.

Mimo zasadnicze przeciwieństwo dwóch różnych temperamentów, stało się jednak, że przez czas pewien Puszkin był opanowany przez Byrona. Wedle słów bardzo właściwego sędziego, Mickiewicza, Puszkin *tomba dans la sphère d'attraction de Byron et tournait autour de cet astre comme une planète éclairée par sa lumière. Dans les ouvrages de sa première manière tout est byronien, les sujets, les caractères, l'idée et la forme.* (Nekrolog Puszkina w *Globe* z d. 25-go maja 1837 r.). Lecz poeta, o którym sam Mickiewicz tak się wyrażał: *Si les compositions du poète anglais n'existaient pas, on aurait proclamé Pouschkine le premier poete de l'epoque*, nie mógł być prostym naśladowcą. Wedle Mickiewicza, Puszkin nie był bajronistą, ale *byroniaque*, to jest *possedé de l'esprit de son auteur favori.* Z natury łatwiéj było Puszkinowi naśladować Byrona w drobiazgach, w wybrykach i dziwactwach, w arystokratyzmie („nietylko pysznił się nasz lord Pieśniami swemi i natchnieniem, Lecz i przypadkiem urodzenia“—Waryant do Rodosłownaja mojewo gieroja, III, 554), w ćwiczeniach ciała, w symulowanéj chciwości do pieniędzy zarabianych piórem, w głośnych oświadczeniach, że swoję poezyą sprzedaje, aniżeli w saméj twórczości. Z jednéj strony ponieważ wyobraźnia jego była bogatsza i talent wszechstronniejszy, weszły do poezyi jego obce Byronowi pierwiastki; z drugiéj strony, ponieważ temperament jego był ruchawszy, miększy i delikatniejszy, więc gdy usiłował nakreślić postać w guście „Korsarza“, którego najwyżéj stawiał pomiędzy utworami Byrona (V, 49, art. z 1829 r.), wskutek braku zdolności do przeniknięcia nawskróś duszy posępnéj i surowéj, pojawiały się w takiéj postaci pewne plamy albo szczeliny. Z téj to przyczyny i pod względem treści i pod względem formy są pewne zasadnicze wady w utworach Puszkina, naśladowanych z Byrona, z któremi wypada zabrać bliższą znajomość przy studyowaniu bajrońskiego okresu w życiu poety rosyjskiego.

7.

Pierwszemi z kolei w szeregu tych naśladowań stoją „Szal czarny“ i przebrani Korsarz z Gulnarą w osobach Jeńca kaukazkiego i jego Czerkieski. Podanie głosi, że treść do „Szalu czarnego“ podała Puszkinowi uliczna śpiewaczka mołdawska, Mariula,

która recytowała w Kiszyniowie tę balladę w 1820 r. Mnóstwo jest szczegółów w tym utworze, przypominających wschodnie powieści poetyczne Byrona, zamordowanie niewiernéj kochanki i jéj spólnika, rzucenie ciał ich w nurty Dunaju, i mary trapiące krwią obryzganego zabójcę. Co do Kaukaskiego Jeńca, sam Puszkin ostro krytykował w późniejszym czasie utwór ten, o którym się odzywał, że go lubi nie wiedzieć za co, bo są tam — pisał — wiersze z serca wylane (1822 r. VIII, 30). „Jeniec jest niedojrzały, wszystko to słabe, dziecinne, niedomówione“ (Podróż do Arzerumu IV, 420). „Pyszne otoczenie z gór i górali jest właściwie jakieś *hors d'oeuvre*, jest to artykuł geografii, urywek z podróży“ (VII, 30, r. 1822). Jeniec wygląda jak jaka biała niedomalowana plama. Kpił z niego Puszkin sam wraz z Rajewskimi. Z charakterem jego z trudnością uporał się Puszkin (V, 121), albo właściwiéj mówiąc, nie umiał sobie poradzić. Zmuszeni jesteśmy na słowo wierzyć, że to człek, który przeszedł przez ogień i wodę, który w burzliwém życiu stracił nadzieje, radość i żądze, „odstępca od świata“, „niewolnik nieubłaganego honoru“, „w pojedynku twardy, zimny — przy spotkaniu się z śmiertelnym ołowiem.“ Nie wiemy, czy silnie grały w nim uczucia, skoro „chował je w milczenia głębi“, tak, że „na podniosłém czole nie odbijało się nic zgoła.“ Trudno zrozumiéć, jak mogli Czerkiesi podziwiać „niedbałą śmiałość“ jeńca, skoro w całym poemacie ani razu nie dał on dowodów ani śmiałości, ani wielkomyślności. Krytyk Stojunin zauważył, że jeniec mało interesuje i nawet staje się wstrętnym, że są w nim rysy obrażające moralne uczucie czytelnika, np. gdy przemawia do Czerkieski, która mu się duszą i ciałem oddała: „Widzę ja postać wiecznie miłą — Do niéj się rwę, ją przywoływam — W twych zapominam się objęciach — I drogie widmo obejmuję.“ Chociaż postać Czerkieski popsuta jest przez nadaną jéj romantyczną uczuciowość, lecz sposób malowania już zdradza mistrza przyszłego malarza Tatyany w Onieginie. Właściwym bohaterem powieści jest Czerkieska nie zaś mazgaj jeniec, wcale nie przedstawiający tego, co chciał w nim Puszkin przedstawić: „przedwczesną starość duszy, charakterystyczną cechę ludzi XIX wieku“ (VII, 25). Wskazując na niewłaściwość wiersza o jeńcu: „Wolności, on za tobą tylko gonił po szerokim świecie“, Stojanin słusznie pyta, po co z takim ideałem wolności udawać się w kraj daleki w celu, by podbijać i do niewoli zaprzęgać wolny naród czerkieski.

Po wielu następnych latach, po zwiedzeniu powtórném Kaukazu i poznaniu go nie ze szczytu tylko Besztau i innych miejscowości podgórza kaukaskiego, Puszkin wyraził swe pojęcia o dzikiéj

wolności plemion nieucywilizowanych w cudnym ułamku niedokończonego poematu „Gałub“, ułamku, który może wytrzymać porównanie jeżeli nie z Iliadą, to przynajmniéj z najpiękniejszemi kawałkami hiszpańskiego Romancero. Syn czeczeńskiego księcia, Takit, wychowany po za domem ojca, ma cechy charakteru bardziéj ludzkie niż jego ziomkowie, zbliżone do chrześciańskich. Nie zechciał obedrzéć na gościńcu bogatego kupca Ormianina, choć mógł bezkarnie to uczynić; nie pociągnął z sobą do aułu zbiega niewolnika na zarzuconym mu na szyję arkanie, a nawet zmiłował się nad mordercą swego brata i nie zgładził go, bo ów morderca był bezbronny i ranny. Takita wyrzekają się rodzina jego i całe plemię; lecz odrzucony w ten sposób, gra on rolę reformatora: misyonarza pomiędzy Czerkiesami. Ma się rozumiéć, że działa on tylko środkami moralnemi, a nie ucieka się do nieprzyjacielskich bębnów i bagnetów, on nawet ginąć miał w walce z Rosyanami, o ile można wnosić z przechowanego krótkiego streszczenia idei poematu. Pomysł poematu olbrzymi; w porównaniu z nim „Jeniec“ był tylko ćwiczeniem dziecinném, okazującém tylko początkujący talent. By się przekonać jak niesłychanie szybko rozwijał się talent Puszkina, należy porównać „Jeńca“ nie z „Fontanną w Bachczysaraju“, wdzięczną zabawką, podającą kilka scen z chańskiego haremu i sylwetki Maryi Potockiéj i Zaremy (reminiscencye 5 pieśni Don Juana i sułtanki Gulbejhaz), ani z „Braćmi Rozbójnikami“, pierwowzorem wszystkich późniejszych w literaturze obrazów więziennych i katorżnych, lecz z „Cyganami.“

Wiadomo, że Puszkin układał swój poemat „Cyganie“ w roku 1823 na południu i tylko go wykończał w Michajłowskiém. Przy ukazaniu się swém był poemat przyjęty z tak powszechnym aplauzem i spółczuciem, że podniósł sławę autora do wysokości, najwyższéj, jakiéj za życia swego u publiczności doświadczył. Były późniejsze utwory głębsze niż „Cyganie“, bardziéj skomplikowane, piękniejsze, lecz zdania o nich były podzielone i względem nich Puszkin był w takiém prawie położeniu, jak Goethe po powrocie z Rzymu w 1786, gdy czytał przyjaciołom Ifigenią w Taurydzie i Tassa, dzieła wyborowe ze stanowiska sztuki, ale nie roznamiętniające publiczności. Poecie dało dużo do myślenia to ochłodnięcie publiczności; dziś tylko, w pół wieku po jego śmierci, nastąpił czas należytéj oceny utworów jego późniejszych i najbardziéj cennych. Lecz „Cyganie“ do dziś dnia nie stracili swojego uroku i podobne są do niewielkiego ale dziwnie pięknego dyamentu o grze kolorów niezrównanéj. W obecnéj chwili zachwyca nas samo artystyczne piękno poematu, lecz ludzie spółcześni byli jeszcze inaczéj nim

przejęci. Był to po pierwsze utwór całkiém romantyczny, bardzo oryginalny, jedyny na wskróś romantyczny utwór Puszkina z życia i prawdziwego wypadku wzięty. Powtóre stawił poemat ów kwestyą stosunku osobnika do społeczeństwa i kreślił niby ideał społeczeństwa w kursującéj szeroko w one czasy formie powrotu do prostoty pierwotnych ludzi w stanie natury. Myśl o szczęśliwości ludzi w stanie poprzedzającym kulturę zawracała oddawna umysły i dawała początek niezliczonym sielankom. Jedna z najpiękniejszych komedyi Szekspira *As you like it* osnutą jest na tym właśnie temacie. Głównym w XVIII wieku apostołem powrotu ludzi na łono natury był Jan Jakób Rousseau, w duchu którego wychowały się jedne po drugich liczne pokolenia przed r. 1830. Jego utworami karmili się za młodu i Byron i Puszkin. Wielu ludzi marzących o stanie natury jeździło szukać go za Oceanem u Huronów lub Irokezów. Puszkin szczęśliwym trafem odkrył, czego szukano, między Odessą a Izmaiłem, pod szatrem koczowiska cygańskiego. Ludzi ówczesnych nęcił i pociągał ku sobie płomień rozłożonego na stepie ogniska, brała ich chętka „oświaty potargać pęta", żyć jak żyją nietroszczące się o nic ptaszęta, ocknąwszy się co rana „dzień cały zdać na wolę Boga", uciekać co najdaléj od miejsc, gdzie ludzie „gnębią myśl, miłości się wstydzą — Na frymark niosą wolę swą — Przed bałwanami czołem biją—I proszą kajdan i pieniędzy." Gdyby Puszkin miał mniéj nieco zmysłu poetyckiego, opracowałby on swój pomysł w rodzaju dydaktycznym i koniecznie by wstawił do utworu przygotowaną już pieśń Aleko, kołyszącego synka swego: „Ty nie zamieniaj prostych wad—Na wykształcony kwiat rozpusty—Niechaj cygana biedne wnuczę—Nie zagustuje w nauk czczości.—Być może, iż ja społeczeństwo—Pozbawiam dziś obywatela. — Cóż ztąd ? ja ratuję syna."

Do tego nic niewymagającego ośrodka, do tego małego świata ludzi wolnych jak ptaki, nie znających ani pracy, ani jakichkolwiekbądź ograniczeń, ani kar żadnych, ani władzy osoby nad osobą, wstępuje z dobréj woli Aleko, to jest Aleksander Puszkin we własnéj osobie, w krytycznéj chwili burzliwéj swéj młodości. Autor użył prawdziwie bajrońskiego sposobu: podał siebie samego, przytém niepodmalowanego na czarno, nie forsującego się, nie zamroczonego jakiemiś domniemanemi kryminałami, które go kwalifikowałyby na złoczyńcę. Czytelnik uprzedzony jest tylko, że Aleko rozmyślnie porzucił „zdrad falowanie, przesądów panowanie i ślepe prześladowanie tłuszcz", przytém, że jest to człowiek wrażliwy, namiętny, szczerze zdecydowany na przerodzenie się w tym właśnie

kierunku, to jest pragnący zbyć się téj wrażliwości, a na działanie innych ludzi zobojętniéć. Główne pytanie polega na tém: czy wytrzyma? jak oddawna? na jak długo zasnęły w nim namiętności?

Czy się przebudzą? — zobaczymy.

Namiętności zbudziły się w fatalny sposób i objawiły się tém gwałtowniéj, im dłuższe było uśpienie. Do jednéj rzeczy nie mógł Aleko przyzwyczaić się w swym nowym stanie, a mianowicie by spólniczka jego w wolném małżeństwie cygańskiém mogła się związać z innym mężczyzną. Żadną miarą nie mógł przyswoić sobie Aleko zasady filozofii cygańskiéj, że „jest jak ptaszę młodość! Któż miłość pohamować zdoła?—Każdy z kolei się weseli,—Co było, to się nie odstanie". Jakkolwiek Aleko szczerze śpiewał, kołysząc syna: „niebądź ofiarą zdrady złéj—w duszy pałając żądzą zemsty",—w danym razie okazało się, że ten człowiek inaczéj kocha niż cyganie, bo nie „żartem" ale z „męką" (*gorestno i trudno*) i że nie może się w tym względzie przełamać. „O jam nie taki, ja bez walki praw się moich nie wyrzeknę". Tragiczne rozcięcie węzła odbywa się szybko dwoma pchnięciami sztyletu, z których jedno zabija rywala, a drugie Zemfirę, nieulęknioną i w chwili morderstwa, urągającą się zabójcy (Ja się nie boję—Groźby przéklinam twoje—Zabójstwem gardzę twém—Kochając umrę). Zauważmy nawiasem, że Puszkin znalazł wybornego na język francuski tłómacza „Cyganów" w osobie doskonałego znawcy języka rosyjskiego Prospera Merimée i że Merimée w swojéj własnéj noweli *Carmen*, wydanéj wraz z przekładem Cyganów w 1847 r., prawie skopiował scenę zabójstwa, bo okrasił ją tylko tém, co się zowie *couleur locale: Comme mon rom* (mąż) *tu as le droit de tuer ta romi* (żonę), *mais Carmen sera toujours libre. Calli* (cyganką), *elle est née, calli elle mourra. T'aimer encore est impossible. Vivre avec toi je ne le veux pas*". Na zabójcę wydaje potępiający wyrok starzec, pełniący u Puszkina funkcyą chóru tragedyi starożytnéj: „nie trzeba krwi nam ani jęków—Z zabójcą żyć my nie życzymy—Tyś nie dla dzikiéj stworzon doli—Dla siebie tylko chciałbyś woli.—Żegnaj, niech pokój będzie z tobą".

Komentatorowie Puszkina upatrują w tym wyroku moralne potępienie bajronizmu jako kierunku, nieodwołalne zdegradowanie Aleka i wstąpienie samegoż Puszkina na nowe tory, zbliżenie się do narodowości albo raczéj do ludu (Annienkow 241, Niezielonow 169). Nie mogę przystać na taki wniosek obracający poemat Puszkina w naukę moralną. Stanowczo nie chcąc moralizować, Puszkin wyrzucił z poematu pieśń Aleka nad kolebką syna. W 1825 r pisał Puszkin do Żukowskiego (VII, 131): „pytasz jaki mają cel Cyganie? Otóż masz! Celem poezyi—poezya, powiadał Delwig (jeśli od kogo

myśli téj nie ukradł)". Annienkow przytacza co słyszał od Pletniewa jako słyszane z ust Puszkina: „tylko pisząc Cyganów, uczułem powołanie moje do dramatu". Niepodlega wątpliwości, że począwszy od „Cyganów", Puszkin odznaczył się zdolnością, którą się zachwycał Merimée, zdolnością właściwą głównie dramaturgom, skupiania najpotężniejszego uczucia w najmniejszéj ilości słów (*je ne connais pas d'ouvrage plus tendu... pas un mot, pas un vers à retrancher et cependant tout est simple naturel*"; porównać Fague *Etudes litt. sur le XIX siècle*. 1887 p. 337). Dramat jest właśnie tym szczególniejszym rodzajem twórczości, w którym, śród fatalnego starcia się działających osób, serce widza dzieli się pomiędzy walczących przeciwników, tak że wahasz się pomiędzy niemi, spółczujesz bohaterowi, dostrzegasz jego błędy i godzisz się z jego upadkiem wobec niewzruszalności porządku wszechświata i jego praw pojmowanych rozumem. Komentatorowie Puszkina błądzą, gdy sądzą, że porządek wszechświata polegał wedle Puszkina na moralności cygańskiéj. Zdania, wypowiedziane przez starego cygana, malują tylko warunki bytowe otoczenia, do którego wstąpił Aleko. Jest to tylko podkład i scenarium akcyi tragicznéj. Wina Aleka nie zawiera się w tém, że nie zcyganiał aż do stopnia wspólności kobiet. Tkwi ona w tém, że będąc ucywilizowanym człowiekiem, wstąpił do środka, do którego całkiem nie pasował, do towarzystwa negującego i jarzmo ciężkiéj a codziennéj pracy i własność i osiadłość i miłość, jako uczucie wyróżniające się od chwilowego popędu płciowego, i czystość obyczajów domowych. Nigdy w rzeczywistości nie brał on sobie za ideał cygańskiego sposobu życia. W pieśni Aleko mógł przyśpiewywać synowi: „nie, nie będzie bić on czołem—Bożyszczu bezrozumnego honoru"... lecz sam osobiście był on czcicielem téj religii honoru najzawziętszym, żył i umarł jako niepoprawiony Aleko. Gotowem przystać na zdanie Apolla Grigorjewa, że Puszkina o zgubę przyprawił wydzielający się zeń żywioł Alekowski (243), to jest wrodzona naturze jego namiętność, lecz zasadnicza idea „Cyganów" jest wszakże całkiem inna. Jeżeli w człowieku wszystkie namiętności wymarły, jeżeli jest on w ten sposób okaleczony, jeżeli stał się on całkiem podobny do Cyganów, którzy o sobie mówią w poemacie: „myśmy lękliwéj duszy i łagodni", już on przestaje być co się nazywa człowiekiem. Takie obumarcie uczuć niepodobieństwem jest nawet pomiędzy Cyganami. Dziwię się, że nie zwrócono należytéj uwagi na zakończenie poematu, uchylające wszelką nadzieję zupełnego szczęścia ludzkiego nawet w stanie przed-cywilizacyjnym: „Lecz szczęścia brak i między wami—natury synowie ubodzy. I pod namioty koczowemi—mieszkają męczące sny.—Na puszczy wa-

sze koczowiska—nie zasłaniają was od bied.—Wszędy wrą namiętności zgubne—niema ratunku od przeznaczeń!“

Puszkin począł układać poemat z własnych doznanych wrażeń, niespodzianie pod piórem autora wyrósł w poemacie potężny dramat, o którym Puszkin pisał do księcia Wiaziemskiego: „zda mi się pisałem, że moi cyganie niczego nie warci—nie wierz mi: zełgałem! będziesz z nich bardzo zadowolony“. Dramat ten zaznacza wyjście Puszkina ze sfery wpływów Byrona, któremu jak wiadomo brakowało całkiem talentu dramatycznego, tak że i w dramacie reprodukował tylko własną osobę. Zwyczajnie biorą jako kres wpływu Byrona na Puszkina egzekwie, które 7 (19) kwietnia 1825 odprawił Puszkin we wsi Michajłowskoje za duszę *bojarzyna Jerzego*, w pierwszą rocznicę jego śmierci. Chwila ta odznacza się jeszcze wyłącznėm prawie zajęciem się Puszkina utworami Szekspira. Prawdopodobnie wpływ Byrona przetrwał jednak daleko dłużéj, chociaż powoli przygasał. W 1825 r. na wsi po przeczytaniu szekspirowskiéj Lukrecyi Puszkin zamierzył z parodyować ten epos w powieści: „Graf Nulin“. Gdy pisał tę powieść, miał niezawodnie przed oczyma Beppo i Don-Żuana i użył żartobliwego stylu, którym się posługiwał Byron w tych poematach. Mamy jeszcze jeden utwór Puszkina, przytém największy, pełen reminiscencyi bajrońskich, utwór w duchu Byrona poczęty: jest to „Oniegin“, do którego przechodzimy.

8.

4 listopada 1823 pisał Puszkin do księcia Wiaziemskiego (VII, 56): „piszę romans wierszami w rodzaju Don Żuana“. W przedmowie do wydanego w 1825 początku poematu powiedziano, że rozdział I przypomina Beppo, żartobliwy utwór ponurego Byrona. Wedle pierwotnego pomysłu, miał mieć ten romans podobieństwo do Don Żuana nietylko z formy lecz i z satyrycznéj treści: „duszę się od wylewu żółci—dwie pieśni już gotowe“ (1 grudnia 1823 do Turgeniewa VII, 62): „Rajewski szukał romantyzmu, znalazł cynizm i satyrę i nie rozkąsił się jak się należy—jestto mój utwór najlepszy (VII, 70, styczeń 1824 do brata Leona). W rok późniéj (21 marca 1825, list do Bestużewa) już gniewało Puszkina upatrywane z Byronem podobieństwo i o Onieginie pisał on już całkiem coś innego: „Don Żuan nic nie ma wspólnego z Onieginem. Gdzie mnie brać się za satyrę? nie ma o niéj mowy. Zatrząsł by się bruk u mnie, gdybym zaczął satyryzować. Oniegin pod jednym względem może być porównywany z Don Żuanem: która z dwojga piękniejsza i wdzięczniejsza: Tatyana czy Julia?“ Oba oświadczenia mogą być prawdzi-

we i szczere. Beppo i Don Żuan przebudzili w Puszkinie myśl i chęć napisania czegoś podobnego z życia rosyjskiego. Ramy Don Żuana są szerokie, elastyczne i co chcąc mieszczące, nie krępowały autora w niczém i nie wymagały nawet jednolitości pomysłu, ściśle powiązanéj treści. Można było urwać poemat na pieśni dziesiątéj, dociągnąć go do dwudziestéj albo setnéj. Utwór rozrastał się swobodnie jak dąb albo sosna w lesie, które podnoszą się w górę grubieją i rozgałęziają się im są starsze, a odmieniają przytém do niepoznania swoję dawniejszą postać. Niepodobna wyobrazić w co by się zamienił Oniegin, gdyby autor posłuchał rad Pletniewa i przyjaciół jednogłośnie nalegających: „on żyje i nieożeniony—A zatém romans nie skończony—Toż dla autora skarb prawdziwy—W tę wolną i dogodną ramę—Wstawiaj obrazy, otwórz dyoramę" (III, 422)... Łatwość pisania wpłynęła ujemnie na jedność pomysłu i zasadniczego planu utworu, jaki ostatecznie się sformował po obrachowaniu przez samegoż Puszkina czasu użytego na opracowanie poematu: 7 lat 4 miesiące i dni 17 (III, 42). Zasadniczy plan prosty i nawet aż do zbytku ubogi: młoda parafianka na prowincyi zakochała się w przybyłym ze stolicy lwie z wielkiego świata, który ją ostro zreflektował i dał jéj na odprawę bardzo surową nauczkę. W późniejszym czasie parafianka stała się damą wielkiego świata, dawniejszy moralista sam się w niéj rozkochał aż do szaleństwa, lecz dostał jeszcze gorszą odprawę z procentami, nieskończenie bolesną dla miłości jego własnéj. Pomiędzy obu lekcyami przewija się niby krwawa wstęga niepotrzebny, głupi, bezsensowny pojedynek pomiędzy serdecznemi przyjaciółmi, nieusprawiedliwiony nawet przez racyą, że stało się to gwoli „bożyszcza bezrozumnego honoru." Mickiewicz doszedł do następnego wniosku o Onieginie, wniosku który uważany za zupełnie uzasadniony (Kurs literatur słow.): *en écrivant les premiers chapitres Pouschkine n'avait pas probablement d'idée arrêtée sur le denouement, parcequ'il ne pourrait écrire avec tant de tendresse, tant de naïveté et de force les amours des jeunes gens pour les terminer d'une manière aussi triste et aussi prosaïque*". Zamiast zamierzanéj początkowo satyry na obyczaje otrzymaliśmy niby to *fabliau*, niby nowellę Boccacia, niby komedyą albo *proverbe* z życia rosyjskiego *fashion*'u albo *high life*'u, błahy przedmiot przepysznie odmalowany, rzecz interesującą nie pomysłem, ale tém że jest dokładném odźwierciedleniem obyczajów pewnéj już oddalonéj epoki, czémś w rodzaju psychologicznego lamusu czy magazynu, do którego składano bez wyboru i systemu wszystko, co było przeżyte i pomyślane w ciągu siedmiu lat i pół najobfitszéj i najpotężniejszéj twórczości (1823—1831): „to pstre rozdziałków zbiorowisko—trochę zabaw-

nych trochę smutnych, — gminnych albo idealnych — niedbały owoc mych rozrywek—nocy bezsennych, lekkich natchnień—lat niedojrzałych albo zwiędłych—zimnych postrzeżeń rozumowych— i gorzkich wspomnień sercowych“ (Haneger w *Russische Litteratur und Cultur*, Leipzig 1880, protestuje przeciwko wyrazowi „idealnych“: *romantisch ist wohl die Dichtung aber ideal in keinem Zuge*). Romans ten jest więc autobiografią, rodzajem *Confessions* dla potomności, dziełem, w którém Puszkin tłómaczy nie obce fantazye i dziwactwa, ale prezentuje się sam w swéj własnéj osobie jako „syn Moskwy (*Moskwicz*) w płaszczu haroldowym“ (Oniegin VII, 24), co zwoje tego fałdzistego płaszcza odchylił i ukazał się w rannym ubiorze, w pantoflach, bucharskim chałacie i z cybuchem w ustach. Ma się rozumiéć, że tak odziany i tak pozujący Puszkin stał się celem pocisków dla egzercytujących się tyralierów literackich, dla wszystkich następujących po nim pokoleń, tak dla tego, które własnemi oczyma oglądał, a które się składało z ocalałych rozbitków 14 grudnia, z ludzi przechowujących uczucie obywatelstwa (... ledwie do przytomności przyszły młode pokolenia — Zbierające doświadczeń swoich późny owoc—już spieszą się z przychodem balansować rozchód—brak im czasu na żarty, na obiady u Temiry— na spory nad wierszami... Do ks. Jusupowa 1830, II, 93), jak i dla tego późniejszego, które w siódmym dziesiątku lat surowo potępiało przodków swoich z lat „czterdziestych“ za ich gadulstwo i estetykę, za ich zniewieściałość i nieprzyzwyczajenie do robót pospolitych a ciężkich, wymagających rąk grubych, muskularnych i wytrzymałości w pracy. Te sądy w rosyjskiém czasopiśmiennictwie zwykle wydawane bywają w formie ostréj i bezwzględnéj i nie wywołują na razie ani refutacyi, ani poprostu zaprzeczenia. Przeszły one bez śladu i nie przyćmiły sławy Puszkina, jaśniejącéj dziś blaskiem większym niż za życia poety. W tych połajankach z racyi Oniegina, wszystkich łających przewyższył Pisarew (3 część dzieł, wyd. 1871, str. 223), który doszedł do następujących herkulesowych słupów krytyki w duchu najbezwzględniejszego utylitaryanizmu: „Ogólną charakterystykę poezyi Puszkina stanowią—wewnętrzne piękno człowieka, pędzącego życie próżniacze i poświęcającego swoje wolne chwile trawieniu i oglądaniu marmurowych bogów, oraz łechtający duszę humanizm względem dzieci niebios, gardzących robakami ziemnemi i depcących je... Żaden z poetów rosyjskich nie jest w stanie zaszczepić takiéj bezwarunkowéj obojętności dla cierpień ludowych, takiéj pogardy dla uczciwego ubóstwa i takiéj odrazy do uczciwéj pracy, jak Puszkin“. Daleko wstrzemięźliwiéj, ale w równie ganiącym sposobie wyraża się o Onieginie bardzo skąd-

inąd godny uwzględnienia sędzia, Wodowozow (*Nowaja Russkaja Litteratura*, str. 159): „wczytanie się w Byrona i innych pisarzy spółczesnych wskazało Puszkinowi, że są jakieś nowe potrzeby życia... lecz będąc oderwany od swojego otoczenia, nie wstanie on jednak wyzwolić się od przyzwyczajeń tego otoczenia; porywany przez Byrona zatrzymał się tylko na f r a z e s i e"... Wszystkie te nagany były by właściwe i słuszne, gdyby poemat miał pewną tendencyą, gdyby wedle pomysłów autora poemat miał przedstawić potrzeby i wymagania życia. Tak nie jest jednak: poemat odzwierciedlił tylko samo to życie drzémiące i leniwe, całkiem czcze i próżne wszelkich zadań i zainteresowania czémkolwiek bądź. Gdy coranka Oniegin zdążał lekko odziany do płynącéj w dół rzeczki, by „Gulnary piewcę naśladując, przepłynąć ten Hellespont," nie może on być winiony za to, że jego próby i ćwiczenia w pływaniu odbywały się na powierzchni maleńkiéj rzeczki; gdyby mu dano Hellespont, może by on przepłynął i przez rzeczywisty Hellespont. W ówczesném życiu Rosyi nie było zgoła żadnych Hellespontów, żadnéj gorącéj i interesującéj roboty, społeczeństwo samo nie było do takiéj pracy i do takiego czynu usposobione. Człowiek napędzający innych do czynnéj pracy albo by rozbił, co się nazywa, o mur głowę, albo by musiał uciekać jak Czacki, w słynnéj komedyi Grybojedowa *Gore ot uma*, do miejsc „gdzie jest schronienie dla uczuć obrażonych", uważany przez wszystkich za dziwaka i niebezpiecznego waryata. Ludzie nie-wojowniczych usposobień z konieczności słodzić sobie musieli nudy istnienia „oglądaniem marmurowych bogów i w téj jedynie możliwéj na owe czasy formie piastowania oderwanéj nauki albo czystéj sztuki podtrzymywali pewne związki z prądami myśli europejskiéj, pewne odczuwanie wszechświatowych zdarzeń i wypadków. Niesłusznie oskarżał Pisarew Puszkina i jego rówienników (III, 239), że „zatopieni w kontemplacyi drobnych osobistych wrażeń, stali się niezdolnymi do pojmowania i analizowania kwestyi społecznych i filozoficznych swojego wieku".

Skoro nadeszła pora reform, znaleźli się ludzie, kwalifikujący się do rozwiązywania skomplikowanych i zawiłych kwestyi społecznych. Długie odosobnienie od świata i bawienie się w same abstrakcye pociągnęły za sobą nieuniknione szkodliwe skutki. Reformatorowie wybiegali na sto lat naprzód; instytucye robione były na wyrost, nie dopasowane do wieku społeczeństwa. Wyrzekano się estetyki i czystéj sztuki ze względu na potrzebę praktyczności, a dziś społeczeństwo źle zreformowane zatrzymało się i namyśla na rozstajnych drogach, nie wiedząc dokąd ma się obrócić. Talentów zu-

pełny brak, poziom umysłowy obniżył się i trudniéj podołać najprostszym zadaniom życia, bo ulotniły się ideały i estetyczne i etyczne, panuje sam nagi i aż do cynizmu posunięty egoizm, czy to osobisty, czy narodowościowy.

Stopniowo, w miarę jak się obniżał umysłowy poziom, restaurowała się reputacya przez czas długi zaniedbywanych ludzi z „lat czterdziestych"; ci umarli, z Puszkinem na czele, wyrastają po nad głowy żyjących. Na korzyść Puszkina świadczy i od zarzutów go oczyszcza ta okoliczność, że wszyscy wielcy pisarze następującego po nim okresu, który już się wcale nie zasklepiał w uwielbianiu marmurowych bogów, ale zajmował czynami,— wielcy pisarze, począwszy od olimpijczyka Turgeniewa aż do malarza nerwowych cierpień i histeryków, Dostojewskiego, wszyscy pochodzą od Puszkina i upatrują w nim swojego nauczyciela i mistrza. Co się tyczy strofowania Puszkina za epikureizm i kwietyzm, należy zaznaczyć, że tegoż rodzaju przygany stosowane były i do innych, naprzykład, do Goethego za jego indyferentyzm polityczny. Najdziwniejszą rzeczą jest ta okoliczność, że ludzie, wyrzucający Puszkinowi to, że był sybarytą i nie podniósł się do wysokości stanowiska Byrona, w pojmowaniu praktycznych wymagań wieku mają mu za złe te właśnie utwory, w których wyrażał wielkie przeznaczenie poezyi i kapłański prawie charakter poety, gdy to ubóstwianie poety przez Puszkina jest tylko reprodukcyą w innéj formie, zastosowanéj do osobistego temperamentu Puszkina zasadniczéj idei bajrońskiéj, stanowiącéj złą, wadliwą i do pewnego stopnia szkodliwą stronę jego poezyi, a mianowicie właściwego Byronowi kultu wielkich genialnych ludzi, których nie obowiązuje żadna ustawa, ani prawa stanowionego, ani moralna. Z konieczności musimy się zastanowić nad pojmowaniem przez Puszkina funkcyi i przeznaczenia poety w społeczeństwie.

9.

Puszkin był poetą od lat dziecięcych i z powołania, to jest wskutek mocnego odczuwania wrażeń poetycznych oraz upodobania w tworzeniu obrazków poetyckich i kojarzeniu dźwięków. Od samego liceum niczém się już zgoła nie interesował krom poezyi. Po tysiąc razy wołał: „jam poeta,—zrodziłem się na Helikonie, — rosłem pod cieniem róż wiosennych, — wyrosłem na poetę (1815, Do Batiuszkowa I, 77).--Spokojnych dźwięków słodycz chłopięciem już em czuł i lirę wtedym posiadł" (1817, do Delwiga I, 167). W znanym wierszu do Żukowskiego (1817 r. I, 163) Puszkin prosi

starszego wiekiem wieszcza o błogosławieństwo i dodaje: „Febulos za mnie ciągnął i lirę otrzymałem.“ Wszystko na świecie gotów był oddać Puszkin za poetycką sławę. — „Ach wié to dobry geniusz mój, że nad nieśmiertelność duszy przeniósłbym z wielką ochotą nieśmiertelność mych utworów“ (1817, Do Illiczewskiego. I, 177). Właściwie jednak nie tyle próżna sława pociągała go w dziedzinę poezyi, ile poprostu ta okoliczność, że poezya była dlań naturalnym żywiołem, w którym jedynie mógł żyć i oddychać. „Dusza ma pełna lirycznego wrzątku,— kipi i dźwięczy, szuka niby we śnie,— jak by się mogła wylać w wolnym arcytworze — zbiega tu ku mnie tłum niezliczonych gości—i myśli w głowie krążą niespokojne...“ (Jesień, 1830 r. I, 105).

W utworach Puszkina, pisanych przed katastrofą 1820 r., ileż znajdziemy jęków cierpienia, tęsknych i przeciągających się, chociaż panujący nastrój raźny i wesoły? jakże widocznėm jest przywyknienie autora do izolowania się, do przepełniania się dźwiękami i do uciekania „na puste brzegi fal“, „w szeroko szumiące bory“ (III, 21). Do poezyi przyczepił się Puszkin wszystkiemi, że tak rzekę, korzonkami duszy, jako do jedynego swojego zajęcia, jako do kotwicy, jako do środka, leczącego go od namiętności i oczyszczającego od wszelkich brudów żywota: „Tak serce— błędów ofiara — chowa śród sprośnych upojeń — swój skarb jedyny a święty, jedno a boskie uczucie...“ Puszkin prawie nie opuszcza tych pól Elizejskich z umówionemi symbolami, z pogańską mitologią, z ulubionemi marzeniami i bohaterami, i do takiego stopnia sercem jest im oddany, że nie chce poznawać znoszącéj te marzenia prawdy, że odwraca się od rzeczywistości, o ile ta ostatnia różni się od poetyckiéj legendy. Od lat najwcześniejszych uwydatnił się w Puszkinie ten rys anti-historyczny. Jeszcze w liceum będąc, określał on w ten sposób przeznaczenie muz: „Odpędzajcie czarne smutki, c z a r u j c i e u m z m y ś l e n i e m, Miłego życia jasne tło—Przedstawcie mu za mgłą.“ Przez całe życie Puszkin wytrwał w tym samym stosunku do wstrętnéj mu, niepięknéj rzeczywistości. W końcu r. 1830 w wierszu „Bohater“ *(Gieroj)*, to jest Napoleon, pod epigrafem: co jest prawda? pomieścił on następne myśli: „Przeklęte bądź ty prawdy światło, gdy służysz ty mierności zimnéj—zawistnéj, obrażenia chciwéj. Nad prawd poziomych cenię bez liku—droższe podnoszące zmyślenie *(T'my nizkich istin mnie dorože Nas wozwyszajuszczyj obman)*.

Od lat młodzieńczych, znacznie poprzedzających wypadek 1820 r., do poezyi Puszkina wdzięcznéj, lekkiéj, przeważnie erotycznéj, to jest poświęconéj „nauce słodkiéj namiętności“, wsą-

czają się uczucia obywatelskie, mocno zabarwione polityką w duchu wieku. Na polityczne wychowanie Puszkina wpływał przeważnie Piotr Czaadajew, „przyjaciel jedyny", „uzdrawiający", „podtrzymujący niezmordowaną ręką" (Do Cz. 1824. I, 24): „Pod władzy fatalnéj ciężarem—ojczyzny słuchamy wołania—Z tęskném czekamy upragnieniem—nadejścia wolności świętéj" (1818 r. I, 190)—ma się rozumiéć, że wolność ta miała niewiedziéć skąd nadbiedz znienacka, jak huragan. Na tych wieczorach, w „proroczych sporach" pielęgnowane były wolnomyślne marzenia i nadzieje, które Puszkin oblekał w poetyczne formy, posługując się Andrzejem Chenier (Oda do Wolności: „Pokaż mi ty szlachetny ślad—owego podniosłego Galla—któremuś ty śród sławnych klęsk—hymny odważne dyktowała"). Wszystkie tego rodzaju utwory modelowane są wedle Chenier'a, wytężone i mocno napuszone. Godne zastanowienia, że Puszkin aż do końca życia główną zasługę swoję upatrywał w téj właśnie poezyi politycznéj, tak, że w początkowym układzie swojego „Pomnika" (1836 r., II, 19) wyraził, iż przeto właśnie będzie miły narodowi, że „w ślad za Radiszczewem" wychwalał swobodę (t. j. promował emancypacyą włościan) i „miłosierdzie opiewał" (to jest wstawiał się za grudniowcami). Wnet potém nastąpiły wygnanie, zapoznanie się z Byronem i przejęcie się nim. W brulionach Puszkina przechował się fragmencik z 1830 r. (I, 15), pisany tercynami na sposób dantejski (Danta studyował Puszkin podczas podróży do Erzerumu w 1828). W ułamku tym odmalowane są dwa złe duchy, które niegdyś pociągały ku sobie poetę: „Jeden z nich (delfijski bożek)—młoda postać, był gniewliwy i pełen dumy niesłychanéj—a cały pałał siłą nadludzką. Drugi był zniewieściały, sprośny — ideał to wątpliwy i kłamliwy — cudowny demon, piękny lecz fałszywy." Z ostatnim z tych złych duchów obcował Puszkin od pierwszéj młodości, pierwszém bożyszczem był prawdopodobnie w burzliwym okresie zesłania na południe Byron, króry pociągał Puszkina siłą woli, posiadaną przezeń w takiéj obfitości. Od Byrona zapożyczył Puszkin kult i teoryą bohaterów, którzy nieodmiennie gardzą ludźmi w swym nadludzkim majestacie, czy noszą miano Piotra Wielkiego czy Napoleona. Początkowe wiersze „Bohatera" świadczą, że w pełnym kwiecie było to nabożeństwo u Puszkina i są bardzo zbliżone do najpiękniejszych strof 3 pieśni Childe-Harolda: „Niby ognisty język sława—Po nad wybrańców lata głowy — po nad jednemi dziś przygasa—po nad drugiemi się zapala.—Pokornie goni za nowością—z nałogu ulegając tłum.—Lecz dla nas to już czoło święte,—nad którém zatlił się ów płomień.—Na tronie czy na krwawém polu — Obywatelskich rokowań — Z tych-to wybrańców

kto najbardziéj — podbija sobie duszę twą?“ W chwili, kiedy się wiersz ten układał (1830), naczelnym bohaterem był dla Puszkina Napoleon: „wciąż on, wciąż on—ów przybysz zbrojny — co królów upokarzać zwykł — żołnierz wolnością uwieńczony — co jak cień zorzy znikł.“ Bohater ten odmalowany w téj saméj postaci i temiż rysami, jakiemi przedstawiał go poeta w 1823 r. (Fragment), nawet prawie temiż słowami: „Ten jeździec, co od królów brał pokłony — zbuntowanéj gawiedzi *(wolnicy)* sukcesor i morderca — ów zimny krwiożerca — król, co znikł jak sen, jako cień zorzy!“ Nie mogę przypuścić by to ubóstwianie Napoleona przez Puszkina było zapożyczone od Byrona. Wszyscy czterej wieszczowie słowiańscy, których studyowałem, byli napoleonistami i są z tego względu podobni do Byrona, który był téż napoleonistą, lecz mogli dojść do tegoż ubóstwiania różnemi drogami, a żyli i działali w okresie, na który padał olbrzymi cień od wielkiéj dziejowéj postaci. Wiadomo, że wielcy ludzie polityczni, jak naprzykład Napoleon, są niby krawcy wykrawający dusze i charaktery mnogich następnych pokoleń na swój obraz i podobieństwo. „Same z nas Napoleony — powiada Puszkin w 14 strofie II rozdz. Oniegina — dwunożnych stworzeń miliony, za narzędzia służą nam.“ Chociaż ów napoleonizm nie od Byrona pochodził, przykład Byrona mógł się przyczynić do jego rozwinięcia się w Puszkinie (Oda Napoleon, napisana przez Puszkina w lipcu 1820, w czasie najmocniejszego przejęcia się Byronem); sądzę jednak, że nie posunął się on w Puszkinie aż do świadomego lub bezwiednego naśladowania Napoleona. Między mną a osobą, którą naśladuję świadomie czy bezwiednie, powinno być jakie takie podobieństwo z natury, jednostajność mojego ja metafizycznego, jakim bym chciał być i idealnego ja mojego, to jest z wzorem moim, jak się on odbija w świadomości innych ludzi i mojém własném. W Byronie upatrywali współcześni ludzie pewne podobieństwo do Napoleona, nawet pod względem energii, siły woli, zaś Puszkin mimo swoje usposobienie namiętne i zapalne, był to człek miękki i lekki, który mimo powszechnie uznawaną genialność, nikomu nie imponował, bo go kochano gorąco, ale nie brano go na seryo. Puszkin z konieczności musiał swoje „ja“ idealizować, nie mógł nie naśladować Byrona w tém, że się uważał za wyższą i wybraną naturę, nie tylko dostarczającą publiczności pewne umysłowe rozkosze, ale też wpływającą na naród, biorącą udział w losach swojego narodu. Najłatwiéj mu przychodziło idealizować się w funkcyach poety. W każdéj twórczości jest pierwiastek pewien mimowolnego natchnienia, tego „tajnego dreszczu, który na czole jeży włosy“ (Do Żukowskiego. I, 193), téj tajemniczéj potęgi, która duszę

zaludnia obrazami i dźwiękami i każe jéj potém wylewać się w rymach. Setki razy korzył się Puszkin przed tém czemściś, nawiedzającém go, tajemniczém i boskiém, wobec którego on sam jest niczém, któremu służy tylko jako pozorny kapłan i jako naczynie (I, 30). „Demon jakiś mię opętał—dźwięki cudne podszeptywał“ (Rozmowa księgarza z poetą, 1824; Conf. II, 21 z 1827). W waryancie do Genealogii mojego bohatera z 1833 r. (III, 556) znajduje się następujący ustęp. „Czemuż się wicher w jarze kłębi?—Czemu od gór i mimo wieś—szybuje orzeł zły, ponury?—Czemuż to młoda Desdemona w murzynie rozkochana swym?—Czemu? bo prawu nie ulega—wicher, ni orzeł, ani serce.—I ty poeto dumnym bądź—bo i dla ciebie niema prawa.“

Szukając podstaw dla swego wybrannictwa, którego również jak i Byron był świadom, Puszkin znajdował je we właściwościach swojego temperamentu, w tém schodzącém na niego czasami i mimowoli natchnieniu, któremu służył on tylko za naczynie. Idąc po téj drodze, Puszkin potrącał o starożytne pojęcie o *sacer vates*, ocierał się téż o proroków starego zakonu. W Michajłowskiém w 1824 układał Puszkin naśladowania z Koranu (I, 322) i usilnie prosił, aby mu przysłano biblią, w któréj się odtąd pilnie rozczytywał, przynajmniéj do r. 1834 (list do żony. VII, 371), zachwycając się nad stroną pisma świętego poetyczną. Skutkiem tych ustawnych studyów nad biblią była poetyczna parafraza 6 rozdziału księgi Proroctwa Izajaszowego: „i przyleciał do mnie jeden z Serafinów; mając w ręce swéj węgiel rozpalony, który kleszczami wziął z ołtarza.“ Utwór ten nosi tytuł: „Proroka“ i posiada legendę. Krytycy nie mogą się z nim uporać i mają go nietylko za jedno z najpiękniejszych ale i z najgłębiéj pomyślanych dzieł wielkiego poety. Pozwólmy sobie zapisać się przeciwko téj legendzie i téj krytyce.

10.

Legenda twierdzi, że gdy przywieziono Puszkina z feldjegrem do Moskwy 8 września 1826 i stawiono wprost w Czudowym pałacu przed cesarzem Mikołajem, tak jak stał w ubiorze podróżnym, były przy nim niebezpieczne wiersze, które zgubił na schodach pałacu, ale znalazł powracając. Wiersze te nie mogły być orędziem do zesłanych na Syberyą grudniowców, bo ci ostatni byli dopiero w drodze do miejsca zesłania. Sergiusz Sobolewski powiadał komuś (Jefremow, Życiorys Puszkina. *Ruskaja Starina*, 1880, N. 1) i P. Piątkowski ze słów zmarłego senatora Wenewitinowa twierdzi, że wiersze, o których mowa, był to „Prorok“ w tym samym kształcie,

w jakim był wydany w r. 1828 w *Moskowskim Wiestniku* N. 3, lecz z dodatkiem końcowéj strofy, tylko w ustném podaniu przechowanéj: „powstań, o powstań, proroku Rosyi—Przyodziéj się w sromotne szaty, z powrozem na pokornéj szyi staw się przed rosyjskim Carem“ (*Wozstań prorok, prorok Rossii—Pozornoj rizoj oblekiś, I s werwijem w krug pokornoj szei—K cariu rossijskomu jawiś*). Wiersze te nie mogły być na razie podane, ponieważ podanie ich miało nastąpić tylko w przypuszczeniu niepomyślnego skutku audyencyi poety u cesarza (*Ruskaja Starina* 1880 N. 3), Brulion „Proroka“ nie znajduje się w rękopisach Puszkina przechowujących się w Muzeum Rumiańcowa w Moskwie (Opis tych rękopisów przez Jakuszkina w *Ruskoj Starinie* 1884 r.). Ponieważ Puszkinowi nie wolno było ze wsi własnéj wyjeżdżać, nie mógł on zatém nawet marzyć, że stanie wkrótce przed obliczem panującego. Ponieważ feldjeger powiózł go znienacka do Moskwy, nie mógł więc poeta przygotować się do podróży i ani się domyślał, że go powiozą do Czudowego pałacu. Strofa, w ustném podaniu przechowana, nie mogła być ostatnią, bo nie poucza czytelnika, po co miał stawić się i co miał rzec ten człowiek z powrozem na szyi, w swojém niezwykłém jak na nasze czasy ubraniu i ze swoją mało zrozumiałą mową biblijną. Jego zachowanie się w warunkach danéj chwili miałoby wszelkie pozory pomieszania zmysłów. Przytém Puszkin już wcale nie był liberałem, nawet gdy pisał „siewcę“ na południu, zaś w 1826 pragnął on szczerze pogodzenia się z rządem (VII, 174). Nad grudniowcami ubolewał, lecz ich przekonań już wtedy nie podzielał. Nie mógł on miéć na pogotowiu żadnego palącego słowa, skoro od miłościwych wyrazów panującego w jednéj chwili zmiękł i na cały wiek swój późniejszy stał się człowiekiem podzielającym program rządu i rządowi ufającym.

Co się tyczy treści saméj „Proroka“—w wierszu tym niéma żadnego słówka ani żadnéj aluzyi do tego, by pisząc go, Puszkin wyobrażał sobie pod tą nazwą poetę. Prorok Puszkina jest to prorok biblijny, nieco tylko zmodernizowany w tym względzie, że prorok starego zakonu miewał widzenia i otrzymywał bezpośrednio z ust samego Boga rozkazy, więc nie miał potrzeby odgadywać procesu przebiegu życia i praw natury; nie był on wcale obowiązany słyszéć „niebios drżenie, Skrzydeł anielskich szeleszczenie—I morskich gadów w wodzie ruch—i skromnéj trawki podrastanie“. Nie mogę przystać na to, aby szczęśliwie było obmyślane zastąpienie operacyi oczyszczania ust żywiołem ognia, węglem rozpalonym, przez dokonane u Puszkina wyrwanie języka i wstawienie na jego miejsce żądła wężowego, bo żądło kąsa i truje tylko, a nie oczyszcza,

przytém żądło węża, uważanego za chytre a więc i mądre stworzenie, uchodzić musi, ze stanowiska mitu, za bezporównania złośliwsze, aniżeli język ludzki, narzędzie. Nie godzimy się także z zamianą „drżącego“, a więc czującego serca, na rozpalony węgiel. Nie ulega wszakże wątpliwości, że ów modernizowany prorok, nie oglądający już boskiego oblicza, lecz posiadający dar jasnowidzenia w naturze, pojmowania jéj tajemnic i mający przytém gorące serce, bardzo jest zbliżony do poety, z tą różnicą, że proroka przenika na wskróś wola Boga, któréj pełny idzie on przez lądy i przez morza „i serca ludzi słowem swém przepala“, zaś na poetę zstępuje niewiadomo skąd i w jaki sposób natchnienie (Do poety 15 sierpnia 1827, III, 21) „nie dla wyzysku, nie dla bitwy—dla słodkich dźwięków i modlitwy“ (I, 50). To zbliżenie i uznanie tego świętego charakteru obojga: kapłanów Boga i pomazańców natchnienia, wzmagają się w Puszkinie w miarę ostygania względem niego publiczności, w miarę jéj zawahania się w uznaniu go za dyrektora sumienia i moralnego wodza, to jest w miarę tego, jak się Puszkin odosobniał, zapuszczając się w krainę czystéj i oderwanéj od życia sztuki, a tworzył dzieła piękne i doskonałe pod względem techniki i formy, ale nie mające już związku z troską dzienną, więc mało interesujące publiczność. Puszkin wielce cenił swoję popularność, bolał, że ją traci, więc pełen uczuć gniewnych, właściwych monarsze względem zbuntowanych poddanych, strzelił do nich swym znanym „Jambem“ albo „Czernią“ (1828 I, 49), w któréj stawia on w niemożebnéj formie, w wiecznie otwartéj i nigdy nielikwidującéj się kwestyi tendencyjności w sztuce, następujący nierozwiązalny dylemat: albo moje bezwzględne prawo do panowania nad umysłami wskutek tego, że jestem wielkim poetą, albo moja bezwględna wam uległość, poddanie się i schlebianie wszystkim waszym chęciom i zachciankom. Po jednéj stronie słychać szemranie tłumu: „jak wiatr tak wolna jego pieśń—lecz jako wiatr téż nie przydatna!—Użyj, na dobro nasze użyj twych darów, o zesłańcze boski! — Miłując bliźnich twoich szczerze—podawaj śmiałe nam nauki—a my cię chętnie posłuchamy!“ Po drugiéj stronie wyższa istota, poeta nie posiada się z oburzenia i butnie się stawiając, nie naucza lecz łaje: „Bezrozumny zamilcz gminie! najęty na dzień niewolniku—potrzebujący i stroskany.—Precz stąd... nic do czynienia z wami—nie ma spokojny poeta.—Waszéj głupocie, waszéj złości—starczyły do dzisiejszéj chwili więzienia, bicze i siekiery.—Dość wam, o głupi niewolnicy!“.. Poeta źle stawia kwestyą, rozumowanie jego jest sofistyczne i naciągane, bo nikt nie zmusza kapłanów, by porzucali ołtarze i całopalenia ofiarne, a szli z miotłami w ręku zamiatać ulice; ale nikt téż nie

może zmuszać pospólstwa by brało udział w nabożeństwie, by tępém uchem rozkoszowało się w słodkich dźwiękach, albo by sprawiało ofiary może demonowi „pięknemu lecz fałszywemu“, może temu fenicyjskiemu Adonisowi, jednemu z dwóch bożyszcz, którym się kłaniał Puszkin za młodu. W „Jambie“ albo „Czerni“ Puszkin sam siebie odmalował w roli niejako króla Leara, gdy zstąpił z tronu i błąka się na pustém polu śród burzy. Krytyka zaś z siódmego dziesiątka lat wieku bieżącego, z Pisarewem na czele, w swéj utylitarianistycznéj gorączce sprawowała się jak konwent, sądząc Puszkina, niby Ludwika XVI, na ścięcie jednakim dla wszystkich śmiertelnych etycznym toporem. Od swych zbytecznych wymagań i hardych słów odstąpił sam Puszkin w 1830 r. (1 lipca. II, 95) w sonecie „Poeta“, w którym już nie wygląda jako gniewliwy król Lear, lecz jako książe wygnany, szukający schronienia z kilkoma wiernemi dworzanami w lesie Ardeńskim w komedyi Szekspira „Jak się wam podoba“, albo jako Prospero na swéj wyspie w komedyi „Burza“. Poeta z tłumem poszli do rozwodu, każdy odtąd istnieje sam przez się i sam dla siebie—„tyś królem o poeto!... niedbaj o miłość narodu... Żyj sam jeden, piastując lubych dum owoce... tyś sam twój sąd najwyższy... niech tłum na ogień twój wymyśla—niechaj na ołtarz plwa, na którym twój ogień gore—i niech trójnogiem trzęsie twym swawoląc.“

Sonet z 1830 r. nie podaje jednak ostatecznie skrystalizowanego u Puszkina ideału poety, to jest wyidealizowanego osobistego „ja“ Puszkinowskiego. Bywały chwile nawet w ostatnich latach jego życia, w których poeta otrząsał się z wszelkiéj napuszoności, całkiém porzucał ton uroczysty, zapominał o swojéj professyi i umysłowém wybrannictwie, swawolił jak dziecię i jak to się wyrażają francuzi *faisait l'école buissonière.* W tych chwilach nie dostrzegano w nim już żadnych cech pomazańca poezyi i kapłana, lecz natomiast osiągał on najwyższe dobro człowieka: pełną moralną swobodę i niezależność. Takim się pojawia Puszkin w „Taurydzie“ (1822 r. I, 288): „W uczuciach spokój, myśli jasne—ustało w duszy falowanie.—Wszędy dziś słyszę tajny głos.—Przed laty straconego szczęścia”... Takim on bywał i po ożenieniu się, gdy pisał do żony: „niema na świecie szczęścia, lecz pokój jest i wola!“ Takim jest Puszkin w cudnym wierszu oryginalnym własnym, aczkolwiek fałszywie wedle zwyczaju zatytułowanym obcem nazwiskiem: „z Pindemonte z VI“ (II, 187) wierszu, który należy do liczby najcenniejszych perełek w szeregu jego utworów (1). W tym najpóźniejszéj daty ideale

(1) „nikomu Sprawy nie zdawać—Sobie tylko samemu—służyć i dogadzać—Dla władzy, dla liberyi—nie giąć sumienia, ni myśli, ni szyi—wedle fantazyi wałęsać się wszę-

poety, nie powiem, że najwyższym ale najbardziéj odpowiednim temperamentowi Puszkina, nie dostrzedz już najmniejszych śladów bajronizmu.

Streszczę w słowach kilku rezultat moich studyów nad obranym przedmiotem. Mimo przeciwieństwo organizacyi i temperamentów Byrona i Puszkina, wpływ Byrona na Puszkina był ogromny ale przemijający, niby kręgowe ślady rzuconego do wody kamienia, słabnące w stosunku oddalania się od środka. Całéj głębi bajrońskiéj negacyi nie pojął Puszkin, ale zewnętrzne cechy i maniery przejął. Z biegiem czasu wpływ Byrona krzyżował się z wpływami, podobnemi do podobnych pierwszym kręgom zmarszczek i pochodzącemi od innych poetów i wydarzeń, od Szekspira, od Danta. W końcu, ze wszystkich takich krzyżujących się wpływów połączonych, wynikło lekkie zaledwie dostrzegane falowanie powierzchni. Były chwile, gdy się poeta całkiem od tego wpływu wyzwalał i był swobodny, rześki, całkiem oryginalny, jak te fantastyczne lekkie twory ludowéj lub szekspirowskiéj fantazyi, jak lotny sylf, wesoły Puk albo nieporównany Ariel.

---

dy—by wielbić boskie piękności natury—milcząc się grążyć w bezdennych zachwytach—to mi to szczęście, to mi to są prawa!

W. Spasowicz.

Wrzesień 1887. Petersburg.





Z GALICYI.

D. 10 Lutego r. 1888.

Tegoroczna sesya sejmowa. — Dzieło Stanisława Szczepanowskiego p. t. „Nędza w Galicyi w cyfrach“, jako zapowiedź nowego kierunku politycznego w Galicyi.

I.

Powoli doszliśmy do tego, że sejm przestał nas całkiem interesować. Nie domagaliśmy się zbyt natarczywie, by w r. 1887 koniecznie się zebrał; nie prosiliśmy wyborców, by nam pozwolili zająć w nim miejsce; gdy nareszcie posłowie zjechali się do Lwowa, nie pytaliśmy nad czém będą radzili, a podczas sesyi saméj tak nas mało zajmowały dyskusye, że gdyby nie głośna sprawa kulparkowska, niejeden byłby nawet nie wiedział, iż ojcowie ojczyzny, mimo 27-stopniowego mrozu, pocą się, o jego szczęściu myśląc. Co spowodowało tę ogólną apatyą, o tém pisałem obszernie na tém oto miejscu, jeszcze przed dwoma laty, za marszałkowstwa ś. p. M. Zyblikiewicza, nie będę więc powtarzał argumentów tam przytoczonych, a raczéj zapytam, co sejm zdziałał w tym roku. Właściwie bardzo niewiele, lecz że odkrył kilka ran na naszém ciele autonomiczném i przeszkodził kilku złym rzeczom, więc już dla tego samego zasłużył sobie na wdzięczne wspomnienie.

Sprawą najbardziéj przykrą, nawet wstrętną, która choć chwilowo zelektryzowała całe społeczeństwo galicyjskie, była sprawa kulparkowska. W zakładzie dla obłąkanych w Kulparkowie przebywał w miesiącu grudniu r. z. człowiek jeszcze młody a bardzo nieszczęśliwy, członek powszechnie szanowanéj i licznie rozrodzonéj w Galicyi rodziny, hr. Izydor Dzieduszycki. Po stracie majątku, wszystkich dzieci i żony, która przed sześcią laty zmysły postradawszy, przebywa dotąd w zakładzie dla obłąkanych w Poznaniu, biedny hr. Izydor zapadał w melancholią coraz czarniejszą i nako-

niec musiał być sam odwieziony do Kulparkowa. Umieszczono go w 1-széj klasie, gdzie od osoby płaci się 3 guldeny i gdzie każdy chory powinien mieć osobnego, porządnego dozorcę. Po kilkunastu dniach hr. Dzieduszycki nagle zachorował, a gdy lekarze zaczęli go opatrywać, okazało się, że nieszczęśliwy miał kilka żeber złamanych. I wtedy wyszło na jaw, że jego dozorca połamał mu żebra jeszcze przed ośmiu dniami, ale rzecz całą zataił. Nieszczęśliwy umarł. Sprawa w formie interpelacyi weszła do sejmu. Jeden z najdzielniejszych naszych posłów, p. Otto Hausner wykazał przy téj sposobności, że wypadek z hr. D. nie był odosobniony, że takich samych lub jemu podobnych było w ostatnich leciech 57, i opowiedział ku zbudowaniu swoich kolegów sejmowych, że dozorca, który hr. D. żebra połamał, był starym kryminalistą, bo nie mniéj i nie więcéj, jeno 9 lat w więzieniu przesiedział. Alarm powstał wielki: wszyscy zażądali ukarania winnych. Ale kogo tu karać? czy d-ra Hoszarda, który w wydziale krajowym jest szefem tego departamentu, do którego szpitale należą? czy inspektora szpitalów? czy dyrektora zakładu? czy prymaryusza, który powinien się był bezpośrednio chorym opiekować? czy tylko dozorcę?... Mniéj więcéj każdy tu zawinił, wszelako główna odpowiedzialność spada na sam sejm, który zainaugurowawszy przed kilku laty politykę oszczędnościową, obcinał budżet szpitalny do granic niemożliwych, skutkiem czego, w takim np. zakładzie kulparkowskim dobrych dozorców nie ma za co trzymać. Wydział krajowy, aby dać choć jakie takie zadość uczynienie opinii publicznéj, a może jeszcze więcéj dla uspokojenia rodziny Dzieduszyckich, wdrożył śledztwo dyscyplinarne, którego ofiarą padł najpierw prymaryusz szpitalny, a po nim, według wszelkiego prawdopodobieństwa, pójdzie i sam dyrektor. Prócz tego d-r Hoszard miał także powziąć zamiar usunięcia się stanowczo z wydziału krajowego. Nie zaszkodzi, jeźli przy téj sposobności nadmienię, że dziennikarstwo krajowe już niejednokrotnie mówiło o wypadkach oburzających, których widownią, ze „względów oszczędnościowych“, bywały nasze szpitale, ale ponieważ tymi, których dawniéj jako chorych nieuleczalnych na ulicę wyrzucano, byli ludzie biedni i nieznani, więc w sejmie nikt się za nimi nie ujmował, dopiéro gdy nieszczęście hrabiego spotkało, alarm zrobił się powszechny. Zapytanie, czy w Galicyi wciąż zachodzi taka sama różnica między hrabią a zwykłym śmiertelnikiem, jaka panowała za czasów pańszczyźnianych, lub jeszcze dawniéj, za bezrządu rzeczypospolitéj? Niestety, różnicę tę widzimy wszędzie, Ale choćbyśmy Galicyą poczytywali za kraj najbardziéj zacofany na kuli ziemskiéj, tę jednak sprawiedli-

wość oddać jéj musimy, że co może czyni ona dla swego szkolnictwa. Nie powiem, żeby to były tradycye komisyi edukacyjnéj, która w prowincyi naszéj nie mogła korzeni zapuścić, ale jest to po prostu jakiś instynkt tajemniczy a poczciwy, który nam mówi, że bez oświaty zostalibyśmy najnędzniejszymi helotami. O szkoły dbamy téż wszyscy, bez względu na obóz do jakiego należymy, nawet chłop nasz, mimo swego konserwatyzmu, streszczającego się w słowach: „Naj bude, jak buwało“, zaczyna godzić się ze szkołą i coraz częściéj można już spotykać wioski, nie tylko na Mazurach, ale i na Rusi, w których stoją blachą pobite budynki szkolne. Jeszcze ćwierć wieku temu, o takich rzeczach w Galicyi nikt nie słyszał. Na sesyi tegorocznéj mówiono wiele o częściowéj potrzebie zmiany ustaw szkolnych i poprawienia bytu nauczycieli ludowych, a chociaż przy téj sposobności pp. Popiel i Stadnicki popisywali się takiemi zasadami, o jakich politycznie wykształceni mężowie z obozu konserwatywnego nie chcą już słyszéć, mimo to wnioski dodatnie utrzymały się, bo nawet dwaj koryfeusze partyi krakowskiéj, d-r Bobrzyński i d-r Zoll przyłączyli się do tych, którzy pragną dalszego rozwoju szkolnictwa w duchu cywilizacyi nowoczesnéj. Przy téj sposobności sejm uchwalił rezolucyą wzywającą rząd do przedsięwzięcia rewizyi ustaw szkolnych w duchu autonomicznym.

Szkoły wydziałowe, mające u nas tę rolę odegrać, co niemieckie „*Bürgerschulen*“, nie przyjęły się w Galicyi, według mego przekonania głównie dla tego, że nie mamy zdrowego mieszczaństwa, żyjącego z handlu i przemysłu; sejm téż był zmuszony polecić wydziałowi krajowemu, ażeby porozumiawszy się z krajową komisyą dla spraw przemysłu, o któréj w liście poprzednim obszerniéj pisałem, przedsięwziął starania, celem zaprowadzenia już w roku szkolnym 1888/9 przemysłowych szkół uzupełniających w tych miastach, w których szkoły wydziałowe męskie zostaną zniesione, a w których dotychczas szkoły przemysłowe uzupełniające nie istniały. Sejm zajmował się także szkołami średniemi i radą szkolną krajową, która w sprawach szkolnictwa jest naszym najwyższym organem autonomicznym. Przewodniczącym rady szkolnéj jest każdoczesny namiestnik, który nie rozumiejąc się najczęściéj nic na szkolnictwie, każe się zwykle zastępować przez jednego z radców namiestnictwa, nie mającego także o pedagogii należytego wyobrażenia. Że na tém cała instytucya cierpi, to rzecz łatwa do zrozumienia, bo pod takimi kierownikami rozwija się w niéj przedewszystkiém duch biurokratyczny, oddziaływający zgubnie najpierw na radę samą, przez nią na całe szkolnictwo. Okoliczność ta skłoniła sejm do żądania od rządu, aby na czele rady szkolnéj posta-

wił dyrektora fachowego, obznajomionego doskonale z potrzebami szkolnictwa galicyjskiego. Kraj mniema, że minister oświaty d-r Gautsch, który z taką sympatyą wyrażał się w czasie swojéj podróży po Galicyi o naszych gimnazyach i profesorach, nie powinien nam tego odmówić, zwłaszcza, że prowincya nasza daje brzęczące dowody, iż sprawa oświaty leży jéj na sercu. W ciągu ostatnich 4-ch lat, mimo ubóstwa powszechnego, fundusz szkolny podnieśliśmy o 202,950 guldenów, tak, że wydatki na cele szkolne wynosiły w roku ubiegłym 678,920 guld. Kończąc rzecz o szkołach, muszę jeszcze nadmienić, że w całém państwie austryackiém nie znajdziecie ani jednéj prowincyi, mającéj tyle co Galicya prywatnych stypendyów dla uczącéj się młodzieży. Prawie każdy człowiek bogatszy a bezdzietny, poczytuje za swój obowiązek zostawić coś dla biednych studentów. Więc mimo wszystkiego trudno nie przyznać, że dla oświaty Galicya robi bardzo wiele.

Sejm tegoroczny zastanawiał się także nad ustawą budowniczą dla naszych wsi i miasteczek, które dotąd zabudowywały się po dawnemu, bez względu na potrzeby zdrowotne i bez myśli o tém, że lada pożar mógł je odrazu w perzynę obrócić. Po miasteczkach stoją przeważnie domostwa z desek pozbijane, mające dachy połączone jedne z drugiemi, we wsiach zaś galicyjskich, z bardzo małemi wyjątkami, widać dotąd chaty bez kominów, nizkie, w ziemię zapadnięte, a w ich sąsiedztwie chlewy i gnojówki. Więc tak dla jednych, jak dla drugich racyonalna ustawa budownicza jest nieodzownie potrzebna. Ustawa dla miasteczek przyszła do skutku, lecz druga, dla wsi, zostanie uchwalona prawdopodobnie dopiéro w roku przyszłym, ponieważ ta, którą teraz wniosła komisya sejmowa, okazała się całkiem niepraktyczną. Izba wolała tedy poczekać, niż uchwalić ustawę niewykonalną. Uchwalono także ustawę o przymusowém ubezpieczaniu budynków od ognia, wszelako zdaje się być rzeczą pewną, że cesarz odmówi jéj swojéj sankcyi, głównie dla tego, że rząd centralny zajmuje się sam tym przedmiotem i prawdopodobnie wniesie w poszczególnych sejmach prowincyonalnych coś takiego, co całą monarchią będzie obowiązywało.

Ponieważ tak kraj, jak posłowie, oddawna narzekają na krótkość sesyi sejmowych, skutkiem czego prawie żadna ustawa nie może być należycie rozważona, przeto rząd postanowił tym razem sesyi nie zamykać jeno ją odroczyć. Korzyść ztąd będzie wielka. Każda nowa sesya musi się zaczynać od wyboru komisyi i wielu innych rzeczy, które niezmiernie dużo czasu sejmowi zajmują; przeciwnie, jeźli sesya jest tylko odroczona, natenczas komisye nie przerywają swoich czynności i po nowém zwołaniu sejmu, mogą

przed nim stanąć z gotowemi elaboratami. Że tego roku tak się stało, zasługa w tém głównie lewicy, składającéj się przeważnie z posłów młodych i inteligentnych, którzy złożyli dowody wielkiéj ruchliwości i troski o dobro powszechne. Ci, których jeszcze do niedawna arystokratyczna prawica z góry traktowała, zaczynają w sejmie coraz wybitniejsze stanowisko zajmować, przy rozprawie nad ustawą szkolną nawet część partyi krakowskiéj za sobą pociągnęli, krótko mówiąc, wybijają się coraz więcéj na wiérzch, i kto wié, czy już w przyszłéj kadencyi, która zacznie się w r. 1890 nie będą panami sytuacyi....

II.

Prawie w tym samym dniu, w którym sejm został odroczony, pojawiła się we Lwowie książka p. t. „*Nędza Galicyi w cyfrach*", któréj autorem jest delegat do rady państwa, p. Stanisław Szczepanowski, głowa nafciarzy galicyjskich. Z powodu, że praca ta zrobiła w całym kraju wielkie wrażenie i mieści w sobie program energicznego rozwoju całego gospodarstwa krajowego, przeto muszę o niéj obszerniéj pomówić. Wpierw jednak słów kilka o autorze.

P. Szczepanowski po ukończeniu studyów i dziewięcioletnim pobycie w Anglii, gdzie nauczył się pracować i liczyć na własne siły, przyjechał przed sześciu laty do Galicyi, a przebiegłszy kraj pieszo, od Krakowa do Czerniowiec, i przypatrzywszy się z tą samą uwagą jego bogactwu, co i potrzebom, poświęcił się głównie nafciarstwu. Nie długo trwało, a Słoboda Rungórska, o któréj dawniéj nikt nie słyszał, dzięki jego pracy zrobiła się głośną w całéj Europie, obecnie zaś w Peczyniżynie, tuż obok Słobody, stoi olbrzymia rafinerya, co do wielkości druga w Austryi, którą p. Szczepanowski założył przy pomocy obcych kapitałów, gdyż w Galicyi nie byłby ich nigdy znalazł. Przed dwoma laty, obywatele obwodu stryjskiego, wybrali go delegatem do rady państwa, a że w tym samym czasie toczyły się w Wiedniu rozprawy nad kwestyą falsyfikatów kaukaskich, które groziły zupełną ruiną nafciarstwu galicyjskiemu, więc p. Szcz. jako delegat wziął w nich natychmiast czynny udział, a poruszywszy niebo i ziemię, ocalił nasz przemysł naftowy. Nie zaszkodzi, jeźli tu nadmienię, że wskutek jego niepospolitéj agitacyi, sam minister finansów, p. Dunajewski był zachwiany, gdyż jedynie z powodu wielce dlań przykréj sprawy naftowéj po dwakroć podawał się wtedy do dymisyi. Obecnie miasto zapraszać wyborców na sejmik relacyjny, jak to u nas jest w zwyczaju, delegat stryjski wolał wydrukować sporą książkę, którą tym dedykował, co mu

swe głosy oddali, aby ci zobaczyli, jakie są jego zapatrywania na sprawy krajowe. W słowie wstępném spotykamy się z wielu trafnemi uwagami, z których kilka w streszczeniu przytoczę: „Nasza gmina, nasze powiaty, nasz wydział krajowy, ani zakresem, ani rozmiarem juryzdykcyi nie odpowiadają dotychczas naszym potrzebom. Na każdym kroku napotykamy przykłady praw i przywilejów, nadanych ludziom, którzy nie umieją, lub nie chcą z nich korzystać.“— „Biurokracya niemiecka, któréj stuletnie rządy w Galicyi są przykładem pomnikowéj nieudolności i oburzających eksperymentów *in corpore vili*, zaszczepiła tutaj zarazę biurokratyzmu i obłędu, który ogarnął część społeczeństwa, a który mówi, że ta sama biurokracya umundurowana po polsku i pisząca po polsku, może stać się dźwignią sprawy narodowéj, i że można jéj powierzyć pieczę polskości samemu ręce założywszy.“ „Trzeba się przedewszystkiém pozbyć fundamentalnéj iluzyi polityków niedojrzałych, którzy utrzymują, że w życiu politycznem rozchodzi się przedewszystkiém o materyalny rezultat usiłowań, a że mniéj ważną jest rzeczą, jakiemi środkami rezultat osiągnięty został. Ma się wprost przeciwnie; środki są zwykle ważniejsze od celu, do którego zmierzają. Duch łączności i ofiarności obywatelskiéj, zaufania we własne siły i wiary w przyszłość, wywołany przez system samorządu, stokroć jest ważniejszy od każdorazowego celu odosobnionego, na dopięcie którego te cele są użyte. Tak jak pomimo tożsamości chwilowego rezultatu zachodzi największa różnica w świecie pomiędzy szczęśliwcem, który wygra los kredytowy, a tym, który ćwierć miliona zdobył sobie własną, uczciwą pracą, tak téż największa w świecie zachodzi różnica między postępem, który społeczeństwo zdobywa własnym wysiłkiem, a tym, którym zostało obdarzone przez obcą administracyą.“ —„Nie bądźmy jednak niesprawiedliwymi ze zbytniéj, acz naturalnéj patryotycznéj niecierpliwości. Trzebaby nie miéć oczu, żeby nie dostrzegać, iż zasiéw zdrowych myśli narodowych zaczyna wydawać plon i przemagać chwasty rozrosłe podczas stuletniego ucisku. Tak jak Towarzystwo krakowskie wzajemnych ubezpieczeń jest niezbitym dowodem, że tradycye samorządu nie wygasły u szlachty, tak Towarzystwa zaliczkowe dowodzą, że i nasz stan średni potrafił sobie przyswoić téż same tradycye.“ — „Od czasu średnich wieków Polska nie posiadała takiego żywego ogniska wiedzy powszechnéj, jakim jest obecnie uniwersytet Jagielloński. Jemu zawdzięczamy przedewszystkiém fakt nieocenionéj ważności w rozwoju politycznym narodu, to jest wytworzenie poraz pierwszy w naszych dziejach, konserwatyzmu opartego nie na ślepém zacofaniu i instynktowém „nechaj bude, jak buwało“, ale na nowożytnych za-

sadach dziejowego badania i umiejętnéj krytyki stosunków obecnych. To téż stańczycy stoją o całe niebo wyżéj od przedpotopowych konserwatystów. Ci ostatni żyją w świecie urojonym i zgoła nie rozumieją dziś organizmu nowożytnego społeczeństwa, ani jego chorób, ani jego potrzeb. Z nimi wszelka dyskusya jest wręcz niemożliwą. Nie odczuwając uczuć swojego czasu, nie rozumieją téż jego języka. Te same słowa nawet nie mają dla nich tego samego znaczenia, jak dla synów XIX wieku. Całkiém inaczéj stańczycy. Nikt lepiéj nie znał, lub nie zna swojego wieku, jak Szujski, Kalinka lub Stanisław Tarnowski. Ale przeszłość nie da się zgalwanizować i nanowo do życia przyprowadzić. Stanowią téż oni na przyszłość bardzo cenny zawiązek umiejętnéj i trzeźwéj krytyki, ale za wiele byłoby od nich żądać twórczości. To téż cała ta szkoła jak powstała przez krytykę ujemnych stron rewolucyi francuskiéj za czasów De Maistre'a, tak téż od niego, aż do Stanisława Tarnowskiego, wydała cały szereg świetnych krytyków, *ale ani jednego męża stanu.*" — „Ani obecnie na całéj kuli ziemskiéj, ani w historyi przeszłych wieków nie ma najmniejszéj analogii do polityki ekonomicznéj obecnéj większości Koła polskiego, dziwoląga składającego się w równéj mierze z przedpotopowych tradycyi szlachty przedrozbiorowéj i z zardzewiałéj rutyny austryackiego biurokratyzmu. Obecna nasza polityka jest teoryą, utopią, na którą nie ma wzoru i przykładu, a oprócz tego potępia się sama zupełną prawie bezowocnością wieloletnich już zabiegów." — „Jednéj tylko rzeczy potrzebujemy do prawie natychmiastowego wydźwignięcia się z naszéj niedoli: niech ta sama odwaga, szlachetność i ofiarność, która cechowała nasze dawne daremne porywy do walki orężnéj, które tylko bezowocnie marnowały najcenniejsze siły narodowe, okaże się teraz na polu życia codziennego, na polu straszliwéj i nieubłaganéj walki o byt,— na polu wspólnych usiłowań około podniesienia dobrobytu krajowego i oświaty ludowéj." — Autor kończy przemowę temi słowy: „Wyjechawszy w roku 1867 za granicę, w celu obeznania się z przemysłem francuskim i angielskim, zacząłem pracować w r. 1870 w biurze d-ra Forbes Watson, w ministeryum Indyjskiém, szefa oddziału studyów nad płodami surowemi indyjskiemi i nad ich użytecznieniem tak przemysłowém, jak handlowém. Odnośne studya ekonomiczne, zatrudniały mnie przez 9 lat. Pracowałem nad przemysłem indyjskim, nad podatkowością dawnéj Persyi lub państwa Wielkiego Moguła, ale myślałem o naszéj Galicyi i każde świeże doświadczenie zastosowywałem do naszych krajowych stosunków. W późniejszych doświadczeniach i podróżach w Anglii, Francyi i Włoszech, miałem tę jednę myśl przewodnią,

obznajomienia się gruntownego z organizmem ekonomicznym narodów, opartego o ile można na naocznem studyowaniu sposobów, za pomocą których one się podźwigają z upadku. To też jeżeli w pracy mojéj pozwoliłem sobie rzucić kilka myśli o przędzalniach bawełny, to tylko dla tego, że sam przez 3 miesiące pracowałem w przędzalni eksperymentalnéj, którą rząd Indyjski utrzymywał przez pewien czas w Manchester; jeżeli mówię o przędzalniach lnu i konopi, to dla tego, że widziałem zakłady we Włoszech, które ze wszech miar nadają się jako wzory dla nas. Jeżeli wspominam o mleczarniach, to dla tego, że zwiedziłem sławną akademią mleczarską w Medyolanie i niejednokrotnie konferowałem ze znakomitymi profesorami téj instytucyi. Jeżeli tak często mówię o rozwoju węgierskim, to dla tego, że poznawszy Węgry w r. 1862, przed rozwojem ekonomicznym, a zwiedziwszy je ponownie w r. 1886, mogłem naocznie przekonać się o bajecznym postępie kraju w tym czasie. Jeżeli porównuję czasem biurokracyą austryacką z obcemi, to na podstawie osobistego doświadczenia administracyi angielskiéj, francuskiéj i pruskiéj. O wadliwościach administracyi austryackiéj pouczyły mnie doświadczenia jako przemysłowca naftowego. O nędzy naszego ludu przekonały wielomiesięczne piesze wędrówki po kraju. Żadnego innego czynnika nie przyniosłem, krom niezłomnego zaufania, że cokolwiek cudzoziemcy potrafią zrobić, to i my potrafimy. Doświadczenie sześcioletnie utwierdziło mnie w téj niezachwianéj wierze w wrodzony hart i energię natury polskiéj. Mam niezłomne przekonanie, że ten hart i ta energia, dadzą się wywołać na wszystkich polach naszéj działalności społecznéj.“

Po wstępie, z którego można poznać całego autora, następuje samo dzieło, obejmujące 218 stronic dużego formatu, przepełnione cyframi i tablicami statystycznemi. Autor podzielił je na 5 części, których tytuły są następujące: 1) Zasoby kraju; 2) Ciężary i potrzeby kraju; 3) Bilans gospodarstwa krajowego; 4) Fałszywe poglądy, ekonomiczne; 5) Konkluzye. Pójdziemy krok w krok za nim i z każdéj części to wybierzemy, co nietylko rzuca jasne światło na nasze stosunki, lecz może i powinno zainteresować także szersze koła po za granicami Galicyi. Przypatrzmy się najpierw zasobom Galicyi. Prowincya nasza należy do krajów najbardziéj zaludnionych, gdyż na jeden kilometr przypada 80 mieszkańców. Przewyższają ją tylko Anglia, Włochy, Belgia, Holandya i Niemcy. Pod względem ludności czysto rolniczéj, Galicya wiedzie prym w Europie, ponieważ ma na każdym kilometrze kwadratowym 60 osób poświęcających się rolnictwu. Pochodzi to ztąd, że inne działy pracy ludzkiéj są w niéj zaniedbane, bądź też całkiem nie istnieją. Według p. Szcz. tylko

Chiny i Bengalia mogą pod tym względem równać się z Galicyą, w pierwszych bowiem przypada na kilometr 83 rolników, w drugiéj 110. Lecz oba te kraje, jako zwrotnikowe, gdzie wielkie rzeki ziemię użyźniają, a cudowny klimat pozwala robić żniwa dwa i trzy razy do roku, znajdują się w zupełnie wyjątkowém położeniu i dla tego z Galicyą nie można ich wcale porównywać. Tak więc na całéj kuli ziemskiéj nie ma kraju, w którym każdy kilometr kwadratowy ma dać utrzymanie tak licznéj ludności rolniczéj jak w Galicyi. W Niemczech na kilometr przypada 37, w Węgrzech 33, a w Królestwie Polskiém 38 głów rolniczych. Zdawało by się, że gdzie jest tak liczna warstwa rolnicza, tam przynajmniéj produkcya rolnicza powinna świetne rezultaty wykazywać, tymczasem rzecz ma się wręcz przeciwnie. Z tablicy statystycznéj widać, że pod tym względem wyprzedziły nas Anglia, Niemcy, Francya, Belgia, Węgry, nawet Królestwo Pols., które z tą samą co my dziś ludnością w r. 1873, wyprodukowało znacznie więcéj niż Galicya, bo 25 milionów centnarów zboża i 37 mil. centnarów ziemniaków, podczas kiedy u nas produkcya przeciętna wynosi ledwie 16½ mil. cent. zboża i 30 mil. cent. ziemniaków. Co do obfitości bydła, stoimy między Anglią a Niemcami, a więc na miejscu honorowém, lecz pozycyą naszą wielce zaciemnia okoliczność, że jakość nie odpowiada u nas ilości. Podczas gdy we Francyi wół utoczony waży przeciętnie 500 kilo, a świnia 340 kilo, nasz wół w Wiedniu rzadko waży więcéj niż 340 kilo, a świnia ledwie 40 k. Krowy angielskie dają rocznie po 2,000 litrów mleka, galicyjskie ledwie po 650. Jeżeli całą produkcyę zboża, kartofli i mięsa, przedstawimy w ekwiwalencie samego zboża, to się okaże, że Królestwo Polskie produkuje o 40 procent więcéj niż Galicya. Wprawdzie Kongresówka ma o połowę więcéj powierzchni niż Galicya, ale uderzającym jest fakt, że 38 głów ludności rolniczéj, pracującéj tamże na każdym kilometrze, wytwarza prawie tyle, co 60 głów w Galicyi, albowiem produkcya roln. obrachowana w Królestwie na kilometr kw. wynosi 355 centnarów metrycznych zboża, a w Galicyi pomimo prawie dwa razy tak licznéj ludności rolniczéj tylko 414 centnarów. Każdy robotnik z krajów cywilizowanych produkuje cztery razy tyle, co galicyjski. Przedsiębiorca angielski Brassey, który w Galicyi budował koléj Lwowsko-Czerniowiecką, zauważył podobny stosunek wydatności pracy angielskiego i galicyjskiego robotnika. Chociaż galicyjski nie dostawał ani piątéj części zapłaty robotnika téj saméj kategoryi w Anglii, to jednakowoż roboty ziemne, obliczone na metr kubiczny tyle kosztowały w Galicyi co i w Anglii. Ten sam stosunek napotyka się na każdym kroku. *Wydatność pracy przeciętnego mieszkańca*

Galicyi wynosi zaledwie czwartą część pracy człowieka ucywilizowanego. „A przecie, mówi p. Szczepanowski, mogłoby być inaczéj. Robotnicy polscy w Pensylwanii, jako karniejsi i pilniejsi, prawie już wyrugowali robotników innych narodowości; w całych Niemczech północnych, mnóstwo Polaków jest zatrudnionych przy robotach publicznych, w Westfalii i prowincyach nadreńskich pół miliona Polaków pracuje przy kopalniach i hutach żelaznych, nawet w Galicyi można wskazać na dodatnie rezultaty. Warstaty kolejowe we Lwowie, Stanisławowie i w Stryju posiadają doborowych krajowych robotników. Jeszcze lepszy przykład nastręcza przemysł naftowy. Od czasu zaprowadzenia wiercenia systemu kanadyjskiego mamy prawie w każdéj kopalni sposobność porównania pracy najzawołańszych wiertaczy kanadyjskich a naszych własnych ludzi. I tutaj pokazuje się, że możemy wyrobić pracowników równie zdolnych jak zagraniczni, i tak też mamy już cały szereg wiertaczy nie ustępujących w niczém kanadyjczykom.“

Cała produkcya galicyjska przedstawia się w cyfrach następujących: Przychód z roli 190 milionów guldenów, z inwentarza żywego 98 mil., z lasów 5 mil., z górnictwa 8 mil., z przemysłu i rękodzieł 40 mil.; razem 341 milionów guld. a ponieważ w Galicyi mamy 6,400,000 mieszkańców, przeto na głowę wypada 53 guldeny. Po szczegółowém zestawieniu produkcyi Królestwa Polskiego okazuje się, że tam na głowę przypada prawie dwa razy tyle, bo 91 guldenów, w Anglii zaś 450 guld. Banki, kasy oszczędności i towarzystwa zaliczkowe mają obecnie 80 milionów guldenów, z czego przypada po 13 guld. na głowę. Postęp jest tu widoczny, ponieważ w ostatniém dwudziestoleciu majątek tych instytucyi powiększył się rocznie o 3 miliony guld., ale mimo to nawet i pod tym względem nie możemy się równać z żadnym narodem bardziéj rozwiniętym. W Galicyi wypada w instytucyach finansowych 13 guld. na głowę, we Węgrzech 34, we Włoszech 57, w Irlandyi 115, a w Anglii 200 guldenów. Wszystkiego razem t. j. kapitału w bankach i w akcyach można liczyć u nas 180 mil. a więc 28 guld. na głowę. w Anglii zaś blisko 48.000 mil. czyli 1300 guld. na głowę. Pod jednym tylko względem jesteśmy dosyć bogaci, gdyż stosunkowo do obszaru ma Galicya trochę nawet więcéj kolei żelaznych niż ościenne Węgry.

Daléj zastanawia się autor nad ciężarami i potrzebami kraju. Po przejrzeniu kilku tabel statystycznych dowiadujemy się, że w krajach eksportujących płody rolnicze, jak Galicya i Węgry, daleko mniéj przypada żywności na głowę pojedyńczego mieszkańca, aniżeli w krajach importujących, jak Francya, lub Anglia. Tak np. konsumcya zboża na głowę, wynosi we Francyi 284 kilogramy rocz-

nie, w Węgrzech ledwie 182 kilogr. Z wyjątkiem ziemniaków, w konsumcyi których Galicya stoi na czele wszystkich krajów, konsumcya przeciętna zboża i mięsa nie dochodzi u nas ani połowy konsumcyi w innych krajach, ponieważ wynosi na głowę tylko 114 kilo zboża i 10 kilo mięsa, gdy tymczasem we Francyi każdy pojedynczy człowiek zjada przeciętnie 284 kilo zboża i 34 kilo mięsa. Gdyby więc mieszkańcy Galicyi zechcieli żyć równie dobrze jak Francuzi, toby oprócz całéj własnéj produkcyi rolniczéj, *musieli jeszcze drugie tyle importować*. Jak pierwéj widzieliśmy, że praca rolnika galicyjskiego wydaje zaledwie czwartą część tego plonu, co praca rolnika w zachodniéj Europie, tak teraz widzimy, że jego pożywienie nie dochodzi ani połowy téj ilości, co pożywienie w zachodniéj Europie. *Każdy Galicyanin pracuje więc za ćwierć, a je za pół człowieka.* „Zajmując się przez wiele lat specyalnie administracyą Indyjską — mówi p. Szcz. — zawsze przypuszczałem, że niektóre prowincye Indyi angielskich były w takiém samém położeniu, ale po dokładném porównaniu przekonałem się, że w całych Indyach nie ma prowincyi, w któréj by na głowę nie przypadało do konsumcyi przynajmniéj dwa razy tyle zboża co w Galicyi. Nasze kartofle i kapusta pokrywają wprawdzie niedobór co do ilości, ale z pewnością nie co do jakości! Z powodu złego wyżywienia, śmiertelność w Galicyi jest nierównie większa niż gdziekolwiek indziéj. Przeciętna długość życia wynosi u nas dla mężczyzn lat 27, dla kobiet 28½, w Czechach 33—37; we Francyi 39—41, w Anglii 40 i 42 lata. Można przyjąć za pewnik, że z wyjątkiem niektórych kolonii na dziewiczych ziemiach Ameryki i Australii, ludność krajów czysto rolniczych wszędzie cierpi głód, a przytém co ma najlepszego, to jeszcze wywozi za granicę. Jeden i drugi w Galicyi sprzedaje przeważnie za granicę nie dla tego, iżby w domu nie było mnóstwa ludzi głodnych i niedostatecznie żywionych, ale z téj prostéj przyczyny, że ci krajowcy potrzebni nie mają środków pieniężnych na zakupno pokarmu.

Cały ciężar podatku wynosi w Galicyi około 60 milionów guldenów. Na głowę więc wypada tylko 9 guldenów. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że Galicya jest pod tym względem najszczęśliwszym krajem pod słońcem, Francuz bowiem składa w podatkach 48 guld., Anglik 46, Hiszpan 31, Włoch 29, Belg 19½, nawet Węgier 19 guldenów; wszelako jeźli zważymy, że z wartości całkowitego dochodu krajowego, przypada na głowę we Francyi 350, w Anglii 450, w Belgii 300, w Galicyi zaś tylko 50 guldenów, to się okaże, że galicyanin oddając w podatkach ⅕ część dochodu, nie równie więcéj płaci niż Francuz, który daje ⅛, albo Belg, który składa ledwie 1/15

część dochodu. Galicya musi też być uważana za kraj najbardziéj obciążony podatkami ze wszystkich krajów, z któremi ją porównać można.

Ciężary hipoteczne i długi tak się przedstawiają: większa własność tabularna jest winna 183,600,459 guldenów; miejska 57,813,927 guld.; górnicza 368,837 guld.; drobna własność 29,792,401 guldenów. Razem zatém mamy długów 271.570,624 guldenów. Ponieważ wykazy, na podstawie których cyfry powyższe zostały zestawione, są dawniejsze, przeto można przyjąć kwotę 300 milionów jako minimalne obciążenie nieruchomości galicyjskich w r. 1887. Długi trzystumilionowe, ciążące na kraju z sześciomilionową ludnością, byłyby drobnostką, gdyby ten kraj prawidłowo się rozwijał, na głowę bowiem nie wiele więcéj wypadnie niż 60 guld., a tymczasem w koloniach australskich same długi publiczne, prócz prywatnych wynoszą 600 guld. na głowę, a nie przeciążają ludności. Faktyczna wartość nieruchomości galicyjskich w ziemi i w domach wynosi najmniéj 1.452 miliony guldenów, na głowę przypada zatém 235 guld. Jestto bardzo mało, jeśli się zważy, że we Francyi wartość ta wynosi na głowę 1,600 guld., w Anglii 1,200, w innych zaś prowincyach Austryi przeciętnie 500 guldenów.

Czém są koleje dla Galicyi, o tém dowiadujemy się z następujących słów p. Szczepanowskiego: „Galicya po przyłączeniu do państwa austryackiego, znalazła się w niemożliwéj sytuacyi ekonomicznéj. W każdym kraju naturalny ruch handlowy idzie z biegiem rzek, najbliższą drogą do morza. Te naturalne i odwieczne komunikacye zostały przerwane. Handel galicyjski został od razu zwrócony w kierunku najuciążliwszym, tj. na poprzek wszystkich dolin i rzek. Kierunek ten zarazem przedstawiał dla wszystkich części kraju drogę możliwie najdłuższą, bo komunikującą z zagranicą nie w kierunku promienia, ale w kierunku obwodu, wąziutkim cyplem kraju przy granicy szląskiéj, która jedynie przedstawiała furtkę komunikacyjną z resztą świata, podczas kiedy wszystkie inne granice były dla naszego handlu prawie zamknięte. Kraj więc prawie przez 100 lat przedstawiał niejako ciało na pół zmartwiałe, w którém położono ligatury na wszystkie główne żyły i arterye, i gwałtem zatamowano w niém obieg krwi. Teraźniejsze zatrważające ubóstwo téj niegdyś najbogatszéj prowincyi polskiéj, jest w znacznéj części wynikiem téj zatamowanéj cyrkulacyi i tego przymusowego zastoju. Otóż sieć kolejowa, zamiast dawnych zatamowanych arteryi, stworzyła niejako nowe żelazne arterye, które w dogorywającém już ciele umożebniły na nowo obieg świeżéj krwi i wywołały słabe obja-

wy nowego życia ekonomicznego w organizmie już prawie bezżywotnym“.

Wywóz w Galicyi przyniósł w 1883 roku 85 milionów guldenów, przywóz zaś towarów 83 miliony guld. Nadwyżka zatém na naszą korzyść przedstawia się w kwocie 2 milionów guldenów. Jak na tém wychodzimy, że nie mamy własnego przemysłu, okazuje się najlepiéj z tego, że wywozimy za granicę 97,000 centnarów metrycznych lnu, wełny i konopi, a sprowadzamy ztamtąd 158,000 cent. metr. tkanin i wyrobów bławatnych. Wywozimy 9,000 cent. metr. skór, jako skóry, drugie zaś tyle w żywém bydle, a sprowadzamy 18,000 cent. metr. wyrobów skórzanych. To samo da się powiedzieć o wielu innych artykułach.

Autor zapytuje z kolei, jak wygląda bilans gospodarstwa krajowego. „Nasz materyał ludzki — mówi on — tak się ma do materyału ludzkiego w Anglii, Francyi i Niemczech, jak piasek, glina i słoma, z których lepimy nasze lepianki, mają się do ciosu i żelaza, z których wznoszą domy gdzieindziéj. W takich warunkach najlepsza sztuka polityczna nie może dopisać. Wraz z ludem cały kraj zchodzi na żebry. Nie praca i oszczędność, jak w zdrowych społeczeństwach, ale żebranina jest najwybitniejszém zjawiskiem ekonomiczném w Galicyi. Inteligencya żebrze o posady przy urzędach, stan średni i szlachta żebrzą o kredyt w bankach, kraj cały żebrze w Wiedniu, tylko najliczniejsza klasa ludności, chłop, nie ma już u kogo żebrać.“ Niedobór finansowy całéj Galicyi przedstawia się jak następuje: 1) zwyżka podatków wysyłana gotówką do Wiednia 12 milionów; 2) czysty zysk kolei galicyjskich, pobierany przez zagranicznych kapitalistów, 5 mil.; 3) oprocentowanie indemnizacyi galicyjskiéj i listów zastawnych galicyjskich, za granicą będących, 6 mil.; 4) sprowadzenie obcych fabrykatów 83 miliony — Galicya płaci zatém rocznie zagranicy 106 milionów, a że sama eksportuje za 85 mil., przeto jéj niedobór wynosi rocznie 21 milionów guldenów. Czém go zaś pokrywa? *Ziemią.*

Niedobór życiowy jest równie groźny. Skutkiem niedostatecznego wyżywienia i złéj opieki lekarskiéj, panują u nas najrozmaitsze epidemie. Autor zestawiwszy z kilkunastu lat wykazy statystyczne, dochodzi do téj smutnéj konkluzyi, że właściwie z głodu umiera u nas rok rocznie 50,000 ludzi.

Niedoborowi społecznemu poświęca on stosunkowo najwięcéj miejsca i dział ten jest, zdaniem mojém, najoryginalniejszy, rzuca bowiem jaskrawe światło na przyczyny naszéj niemocy moralnéj, co w dalszym ciągu odbija się na polityce galicyjskiéj. Kto jest biédny, jest zależny, a kto jest zależnym, tego nie można poczyty-

wać za dodatni czynnik w życiu narodowém. Chłopów mających od 40 do 50 morgów własnego gruntu, jest w Galicyi ledwie 7,000, a że są oni rozsypani w 6,000 gminach, przeto na resztę włościan żadnego wpływu nie wywierają. W Węgrzech przeciwnie gospodarzy równie zamożnych a nawet jeszcze bogatszych wykazuje statystyka 120,000 i ci przodują ludności wiejskiéj, liczącéj 2 miliony głów. Tam téż chłop już coś znaczy. Dzierżawców inteligentnych i zamożnych, którzy gdzieindziéj niepospolitą rolę odgrywają, brak u nas zupełny. Właścicieli tabularnych mamy razem 1930, ale że między tymi znajduje się obcych i żydów 380, przeto na autochtonów przypada tylko 1550. Dochód całéj téj warstwy wynosi rocznie 18 milionów guld., lecz gdy odtrącimy odsetki od długów bankowych i podatki, to okaże się w najlepszym razie, że całe obywatelstwo wiejskie nie ma rocznie więcéj niż 10 milionów guldenów. Dochód czysty z morga nie przynosi u nas więcéj niż 4 guld. 60 cnt. W Anglii przeciwnie daje on 37 guld. a więc ośm razy tyle. Autor jest zdania, że ziemia w Galicyi potrzebuje ogromnych nakładów, co gdy nastąpi, będzie się tak samo rentowała, jak gdzie indziéj. Przypatrując się bliżéj ekonomicznemu położeniu szlachty galicyjskiéj, dochodzi on do téj arcy-smutnéj konkluzyi, że obywateli majątkowo całkiem niezawisłych, nie mamy więcéj niż 400. Jest to więc cały zastęp siły politycznéj, któréj nasza warstwa rolnicza może dostarczyć. Jeźli szlachta galicyjska dotąd nie zbankrutowała, zawdzięcza ona swój ratunek jedynie podnoszeniu sie wartości ziemi, lecz to w nieskończoność ciągnąć się nie może.

Stan średni w Galicyi składa się z warstwy przemysłowéj, obejmującéj 5½ procent całéj ludności, i handlowéj z 3 i pół procentem. Cały stan tedy wynosi ledwie 9 proc. W każdym razie jest to zastęp dość liczny, żeby pokazać, iż wielki przemysł jest możliwy w Galicyi, lecz równocześnie jest on za słaby, by mógł stanowczo wpłynąć na losy ekonomiczne kraju. Mamy jednak najlepszy dowód zyskowności operacyi handlowych i finansowych przynajmniéj dla dość licznych jednostek w fakcie, że w ciągu lat trzydziestu klasa finansowa i kupiecka nabyła kilkaset majątków ziemskich.

Maszyna biurokratyczna liczy w Galicyi wogóle 43,000 osób i kosztuje przeszło 24 miliony rocznie. Oficerów i żołnierzy mamy prócz tego 35,000 z płacą około 10 milionów. Z wojskiem więc znajduje się w służbie państwowéj, krajowéj, powiatowéj, wiejskiéj i kolejowéj blisko 80,000 osób, z płacą około 34 milionów guldenów. W téj liczbie saméj inteligencyi jest zawartéj około 23,000 osób. Przeciwnie cała inteligencya niezależna, według ostatnich spisów, nie liczy więcéj niż 5,000 osób. Dochody warstwy średniéj przed-

stawiają się tak: 1) biurokracya 34 mil. guldenów; 2) handel 30 mil.; 3) rękodzieła i przemysł 30 mil.; 4) właściciele domów i kapitaliści 10 mil.; 5) propinatorowie i karczmarze 10 mil.; 6) właściciele tabularni 10 mil.; 7) inteligencya niezależna 6 milionów, razem—130 milionów. Jeżli do tego dodamy produkcyą włościan i robotników bliżéj nieokreślonych na 188 mil. a odciągniemy 23 miliony wysyłane za granicę, to całoroczny nasz budżet zawrze się w kwocie 341 milionów guldenów. Cyfry te zupełnie tłómaczą naszą niemoc polityczną. Jedyne warstwy przejęte zdrowemi tradycyami historycznemi i politycznemi, i jako tako uobywatelnione, t. j. właściciele więksi i inteligencya niezależna, liczą razem ledwie 7,000 rodzin i zbiorowo rozporządzają $^1/_{20}$ częścią dochodów krajowych. „Przy innych warunkach moralnych i umysłowych, to wobec bierności ludu wiejskiego, wobec opłakanego stanu ekonomicznego szlachty, stan średni, to jest niezależna inteligencya, z klasą mieszczańską i przemysłową, rozporządzająca razem dochodem 76 milionów, dawno byłaby przeważającą warstwą w kraju, pociągnęłaby lud wiejski za sobą i ujęłaby ster rządów krajowych w swoje ręce. Że tak się nie stało, jest jedynie wynikiem nie siły innych żywiołów, ale braku organizacyi, wykształcenia i charakterów. Szlachta więc została u steru, ale w poczuciu własnéj niemocy, wybrała ona jedyną drogę, która jéj pozostała, drogę pewną, nie wymagającą ani wielkiego wytężenia umysłowego, ani wielkiéj ofiarności obywatelskiéj,—drogę bez śmiałych przedsięwzięć, ale i bez ryzyka. bez nagłéj katastrofy, drogę stopniowéj abdykacyi własnéj i śmierci politycznéj, drogę oparcia się o najpotężniejszy, najlepiéj zorganizowany, najzasobniejszy żywioł w kraju, o biurokracyą. Idea autonomii otrzymała przez to cios śmiertelny. Tak samo, jak dawniéj, wobec obcéj i wrogiéj biurokracyi, mimowoli czepialiśmy się autonomii, jako jedynéj deski zbawienia, tak teraz, kiedy nie ma rodziny w kraju, któréjby liczni członkowie nie zależeli od karyery biurokratycznéj, gdzie każda krytyka urzędnika, dotyka nie obcego i obojętnego nam, ale może brata, stryja, kuzyna, naszych najbliższych znajomych — trucizna biurokratyczna przeniknęła cały organizm narodowy, stała się krwią z krwi naszéj, kością z kości naszych, tysiączne zapuściła korzenie w téj właśnie warstwie społecznéj, w któréj dawniéj przechowywały się nasze tradycye historyczne i polityczne, i o mało że ich nie przygłuszyła zupełnie. To téż gorszym od niedoboru finasowego i życiowego, gorszym jest niedobór społeczny, którego sygnaturą jest upadek niezależnego obywatelstwa i panowanie biurokracyi znajdującéj się pod obcym kierunkiem, niedobór objawiający się upadkiem ducha publicznego, apa-

tyą i martwotą całego społeczeństwa, utratą wiary we własne siły i nadziei w możliwość ratunku."

Jak Nordau poświęcił interesujące dziełko „Kłamstwom konwencyonalnym", tak i p. Szczepanowski w pracy swojéj omawia fałszywe poglądy ekonomiczne, które w szerokich masach utarły się jako prawdy niezbite. Według niego, emigracya ludowa nie jest żadném złem. Wolę, mówi, żeby lud do Ameryki emigrował, niż żeby w domu z głodu ginął. Emigracya jest dowodem rozbudzonéj energii, przedsiębiorczości ludowéj i większéj żywotności rasowéj. O to tylko trzeba się starać, aby emigranci nie zapomnieli o kraju. Rozprawiwszy się następnie z tymi, którzy niesłusznie skarżą się na brak ludności w Galicyi, przechodzi do podatków, i tu udowadnia, że tylko wskutek niesłychanie małéj rentowności gospodarstwa wiejskiego w naszym kraju, bardzo umiarkowany ciężar od dochodu brutto staje się już uszczerbkiem czystego dochodu. Przy innéj polityce ekonomicznéj podatki mogłyby być nierównie wyższe, a mimo to nikomu by nie ciężyły. Autor wykazuje, że gdyby nastąpiło zniżenie taryfy o 60 cnt. na centnarze przewożonego zboża, to wprawdzie dochód kolejowy zmniejszyłby się o 1,200,000 guld. rocznie, ale za to rolnicy zyskaliby na 8 milion. centnarów 4,800,000, czyli więcéj niż cały podatek gruntowy. Podatki można podnosić, ale pieniądze ztąd płynące należy obracać na podniesienie produkcyjności kraju. Skoro tak postępują wszystkie narody cywilizowane i dobrze na tém wychodzą, więc czemu tylko my jedni nie mielibyśmy pójść tą drogą. Kredyt osobisty, który miał nas zbawić—mówi autor—jest zły, bo my go prawie zawsze na rzeczy nieprodukcyjne używamy, zato należy starać się o kredyt publiczny, ponieważ kraj, powiaty i miasta, tylko przy jego pomocy mogą się dźwignąć. Gdybyśmy tyle pożyczali i na cele publiczne wydawali co Węgry, to w ciągu ostatniego dwudziestolecia bylibyśmy zrobili długów 900 milionów, czyli 42 miliony rocznie. Samo wykupno kolei Karola Ludwika zrobiłoby nas panami w kraju. Cła ochronne są — zdaniem autora — szkodliwe dla Galicyi, ponieważ ona wiele importując, płaci teraz o 15 milionów rocznie więcéj, niżby to czyniła przy wolności handlowéj. Nawet cło od zboża, które naszą produkcyą rolną chroni od importu z Rumunii, ma w jego przekonaniu wartość problematyczną. Socyalizmu nie boi się on, gdyż w społeczeństwie, nie mającém nic do dzielenia, nie może się socyalizm przyjąć, a co do antysemityzmu, to jest mu przeciwnym nie tylko ze względów humanitarnych, lecz także i ekonomicznych. Autora dziwi nawet zbyteczna trwoga przed żydami. Tych jest w Galicyi wprawdzie 686,000, lecz na głowę zarabiają oni w prze-

cięciu ledwie 100 guld. Żydzi stoją tylko oszczędnością, niczém więcéj. Drobna oszczędność, nie zaś umiejętność w pracy wytwórczéj, jest cechą ich zarobkowości. „Co to, ludność przemysłowo-handlowa, licząca blisko 700,000 głów, nie jest wstanie więcéj zaoszczędzić niż 7 milionów rocznie? I to ma być dowodem sprytu? Więc jakże nazwać Anglików, lub Francuzów, którzy oszczędzają rocznie blisko po 100 guldenów na głowę? Tylko w porównaniu z naszém niedołęstwem można to nazwać sprytem. Losy ludności 5½ milionowéj, posiadającéj całą rolę, mającéj w ręku rządy krajowe, piastującéj wszystkie urzędy i godności, mają być zagrożone dla tego, że żydzi rocznie oszczędzają 7 milionów! Jeżeli my, z wszystkiemi naszemi zasobami, nie potrafimy im wyrównać i ich nieskończenie przewyższyć, to warto, żebyśmy do szczętu wyginęli. Gdybyśmy mieli do czynienia nie z naszymi żydami, ale z narodem rzeczywiście sprytnym, energicznym i zaborczym, gdybyśmy to mieli obok nas i pomiędzy nami 700,000 Szkotów lub Yankesów, ludy pracy wytężonéj i śmiałéj przedsiębiorczości, dawno już ci przybysze byliby nas zjedli *mit Haut und Haaren*, ze skórą i włosami, jak Niemcy mówią.“ Autor jest za spolszczeniem żydów, wierzy nawet w ich powolną asymilacyą, nie podziela bowiem zdania antysemitów, którzy utrzymują, że odrębne właściwości rasy nigdy nie giną, ale że w chwili obecnéj nie widzi jeszcze takich żydów, jakich dopiero spodziewa się miéć w przyszłości, więc żeby ich zrobić nieszkodliwymi, radzi wprowadzać ustawy kładące tamę wyzyskowi i przemawia gorąco za wykupem propinacyi.

Konkluzya dzieła jest poniekąd jego rekapitulacyą, dosadnie wypowiedzianą. Autor udowadnia w niéj jałowość naszéj polityki we Wiedniu, tam bowiem możemy otrzymać w najlepszym razie zaledwie jaki podarunek, za co musimy się ministrom wysługiwać; radzi zwrócić całą uwagę na kraj, wzywa do oszczędności, do pracy, mówi o melioracyach, parcelacyi i kończy uwagę, że najważniejszym i najdonioślejszym wynikiem rzeczywistego samorządu, powinno być u nas wyrobienie narodowego systemu wychowania, aby każdy chłopiec był już w szkołach przygotowany do życia obywatelskiego.

III.

Chociaż dziełko p. Szczepanowskiego jest napisane z niepospospolitym talentem i z wielką odwagą cywilną, w niém bowiem uderza on we wszystkie koterye, mimo to po jego przeczytaniu w głowie czas jakiś chaos panuje, a pochodzi to głównie ztąd, że

pod względem artystycznym nie jest ono równie doskonałe, jak pod względem informacyjnym. Gdzie autor statystyczne tablice zestawia, tam nie wiele można mu zarzucić; za to, gdy uniesiony ideą przechodzi na pole polemiczne, często powtarza rzeczy raz już powiedziane, różnorodne z sobą miesza, zbyt szybko od jednych do drugich się przerzuca, skutkiem czego całość robi wrażenie pośpiesznéj improwizacyi, która w umyśle nie pozostawia wykończonego obrazu. Gdyby część polemiczna była treściwsza, pod względem artystycznym lepiéj wykończona, wtedy i dla kwestyi ruskiéj znalazłoby się w niéj miejsce; za to ks. Bismark, który się tam dostał jak Piłat w *credo*, musiałby szukać dla siebie odpowiedniejszego schroniska. Nie jeden może by także wolał, aby p. Szczepanowski, jako delegat do rady państwa, był w swojéj pracy więcéj statystą a mniéj publicystą, mnie jednak zdaje się, że drugi ten kierunek dla tego w nim przeważa, że jemu przedewszystkiém idzie o wywołanie wrażenia, o obudzenie śpiących, o zwrócenie uwagi mas na to, co się w koło nich dzieje. Nie dziw téż, że gdy rąbie w prawo i w lewo sztuką krzyżową, *in der Hitze des Gefechtes*, jak Niemiec mówi, popełnia niekiedy omyłki, które acz całości nie psują, zawsze jednak w książce, mającéj niepospolite znaczenie, nie powinny by się znajdować. Nie sposób iść krok w krok za autorem; ktoby to chciał uczynić, musiałby napisać drugą taką książkę jak on; zresztą nie będąc ekonomistą z zawodu, nie mam pod ręką równie bogatego materyału; mnie wolno dotknąć jeno tych usterek, które nawet nie ekonomistę w oczy biją, a jeżeli nie będę wszystkich wyszukiwać, to li dla tego, że listu niniejszego nie chcę zanadto przedłużać.

Autor zbyt często i z widoczném upodobaniem stawia nam za przykład Anglią, na któréj powinnibyśmy nasze życie ekonomiczne wzorować. Wcale nas to nie dziwi. Kto dziewięć lat w niéj mieszkał, pracował i myślał, ten musi miéć wielki szacunek dla pracy anglika a podziw dla mocarstwowéj potęgi W. Brytanii. Lecz czy można porównywać mysz ze słoniem jedynie dla tego, że oba te stworzenia są ssącemi? Mówiąc prawdę, Galicya nawet z ościennemi Węgrami, które tak samo jak ona nie są narodem kolonialnym, nie wytrzymuje porównania, ponieważ jako cząstka Przedlitawii, może tylko rozwijać się w szczupłych granicach naszéj autonomii, gdy przeciwnie Węgrzy tworzą już faktycznie państwo odrębne, mające ministrów i własną skarbowość. Nas w najlepszym razie można było porównywać z Królestwem Polskiem i autor wprawdzie to czyni, lecz szkoda że nie zawsze. Porównanie byłoby jeszcze stosowniejsze, gdyby nas był zestawił razem z Czechami. Obie prowincye są

lądowe i w środku kontynentu położone, obie mają ten sam klimat, obie są zamieszkałe przez ludność słowiańską, obie należą do jednéj monarchii, i obie rozporządzają tylko autonomią. Różnice między niemi jedynie te zachodzą, że jedna jest starsza pod względem kulturnym i ma w swoim organizmie dużo niemców: druga zaś jest kulturnie młodszą, i miasto niemieckiego mieszczaństwa ma żydowskie. Takie zestawienie byłoby racyonalniejsze, ale że i kontrasty nie były by tak wielkie, jak między Galicyą i Anglią, więc muszę chyba przypuścić, że autor uczynił to rozmyśnie, by czytelnika olśnić i ubezwładnić samą jaskrawością dat. Radbym, żeby mu się to w zupełności udało, chociaż nie taję obawy, że czytelnik przeciętny, przestraszy się niezmiernie wysokiéj miary, pod którą go autor postawił, a wiedząc że z karła nigdy olbrzymem nie będzie, zrazi się do dzieła i nie odniesie zeń należytego pożytku. Lękam się także, by przeciwnicy systemu ekonomicznego p. Sz. nie skorzystali z téj słabéj strony jego dzieła i zręczną polemiką nie osłabili wpływu, jaki ono może i powinno wywrzéć na nasze społeczeństwo.

Niewłaściwém w ustach statysty, takim zaś każdy delegat być powinien, jest nawoływanie, byśmy się zmienili do gruntu i żebyśmy w pracy mrówczéj złożyli dowody téj saméj energii, którą okazywaliśmy na inném polu, bo inaczéj zginiemy. Prawodawca, mąż stanu, nie powinien nigdy żądać rzeczy przechodzących siły nasze; jego obowiązkiem z materyału, jaki ma w ręku, a wśród danych, jakie zastanie, przez wprowadzenie odpowiednich przepisów, praw i ustaw, bądź powoli nagiąć ów materyał do swoich celów, bądź téż przygotować jego doskonalenie. Przeciwnie, kto od razu chce zmienić naturę ludzką, ten zawiedzie się w swoich usiłowaniach. Że w dobréj szkole nawet z tchórza będzie bohater, to autor wié najlepiéj, skoro był we Włoszech. Żołnierze burbońscy wszędzie uciekali, pułki zaś Karola Alberta potykały się mężnie pod Nowarą. Lecz żeby materyał ludzki przerobić, na to trzeba czasu. Reforma narodu wymaga wieków całych. Autor powiada, że Anglicy byli niegdyś narodem rolniczym, a mimo to przeistoczyli się w kupiecki i przemysłowy. Prawda, lecz dla czego? Bo okoliczności takimi ich zrobiły. Puściwszy się tak samo jak ongi Fenicyanie za morze, i znalazłszy tamże niezmierne bogactwa, woleli oddać się eksploatacyi świata całego, niż żyć li z eksploatacyi własnéj ziemi. Ich takimi uczyniło nie nawoływanie publicystów, ale *la force des choses*. Żydzi także się niegdyś rolą zajmowali, a mimo to porzucili ją dla handlu, bo ten dla ich natury okazał się odpowiedniejszym. Nie wątpię, że nawet gnuśni Galicyanie zmieniliby swoję naturę, jeźliby się znaleźli w podobnych warunkach co Anglicy, ale ponieważ to nigdy nie

nastąpi, więc lepiéj mówić masom, iż powoli z nich coś być może, bo w to chętnie i łatwo uwierzą, niż nawoływać aby się odrazu do gruntu zmieniły, tego bowiem się przestraszą, za czém pójdzie nieufność i zniechęcenie do pracy około własnego odrodzenia.

P. Szczepanowski nigdzie jasno nie mówi, czy jest zwolennikiem, czy téż przeciwnikiem szkoły menczesterskiéj, chociaż ze słów jego, iż wolny handel jest właściwie „rozbojem“, możnaby wnioskować, że nie należy do zapalonych wielbicieli Smitha i Cobdena. W całéj jednak pracy jego czuć człowieka, który olśniony w Anglii sukcesami wolności handlowéj, nie może się wyzwolić z pod jéj uroku nawet tu, w téj biednéj Galicyi, którą stuletnia wolność handlowa do kija żebraczego przywiodła. Gdy mówi o cłach, wypowiada głębokie przekonanie, że nie są dla nas korzystne. Być może, że dziś są one nawet szkodliwe, z kraju bowiem wywozimy tylko materyał surowy, z zagranicy zaś sprowadzamy za drogie pieniądze artykuły zeń wyrobione, cło więc od tych artykułów musimy gotówką pokrywać; lecz czy bez ceł ochronnych obeszlibyśmy się i wtedy, gdybyśmy zaczęli własny przemysł rozwijać? Wszak sam Cobden, zapytany na kilka lat przed śmiercią, kiedy to sprawa ceł ochronnych wchodziła już na porządek dzienny, jakie jest jego zdanie o téj rzeczy, rzekł, że cła ochronne są tak długo *potrzebne*, póki artykuły, dla których zostały ustanowione, nie rozwiną się do tego stopnia, iżby z zagranicznemi mogły spokojnie konkurencyą wytrzymać. Że cła ochronne w pewnych okolicznościach są niezbędne, tego p. Szcz. doświadczył najlepiéj w sprawie naftowéj, gdy szło o falsyfikaty kaukaskie, które nasz przemysł naftowy byłyby doszczętnie zabiły; zresztą na inném miejscu mówi on wyraźnie: „*Węgrzy aspirują do stworzenia własnego przemysłu, a podwyższone cła znakomicie im to zadanie ułatwiają.*“ Więc co dla Węgier jest tak dobre, dla nas miało być niekoniecznie potrzebne? Skoro cała praca szanownego autora zmierza ku temu, by nas przekonać, że przy pomocy wielkich wkładów ze strony kraju, możemy całą naszą produkcyą podnieść a przemysł ugruntować, więc chyba na wysokie cła, które w danym razie mogą się do tego przyczynić, nie należy nam nawet teraz narzekać. Zasada ceł przedstawia się więc w gruncie jako rzecz dodatnia. Mówiąc o pszenicy rumuńskiéj, która jeszcze do niedawna bez cła do nas przychodziła, autor upewnia, że moglibyśmy ją i nadal wpuszczać w nasze granice, bez wielkiego uszczerbku dla produkcyi miejscowéj, bo gdybyśmy równocześnie uzyskali dla własnego zboża zniżenie bajecznych w Galicyi taryf kolejowych, to na samym transporcie więcéj byśmy odbili niż cło przynieść może. Dobrze, lecz w takim razie czy pszenica rumuńska

nie skorzystałaby wespół z naszą z taryf zniżonych i nie rozlałaby się po całéj Galicyi? Lecz może autor, aby temu przeszkodzić, kazałby jéj wtedy wyższą taryfę opłacać. W takim jednak razie byłoby to cło, tylko w innéj formie pobierane. Już to w kwestyi ceł ochronnych, dałoby się jeszcze nie jedno powiedziéć, lecz rzecz tę pomijam, wiedząc, że gdy autor zajmie się w Galicyi rozwojem przemysłu, nie raz sam westchnie do Boga, prosząc go, aby jakim cudem dał nam cła ochronne, skoro od Austryi nie możemy ich otrzymać.

Każdego, kto książkę p. Szczepanowskiego będzie czytał, musi i to uderzyć, że wciąż mówi on tylko o nas, jakbyśmy byli państwem oddzielném, mogącém swoim losem dowolnie rozporządzać, o Austryi zaś ani wspomina. Znów czuć w nim człowieka, zżyłego z instytucyami angielskiemi, które opierają się nie o rząd, lecz o zasadę samopomocy. Niemiec powiedziałby na to, że zrobiłeś pan rachunek bez udziału gospodarza. Najzupełniéj zgadzamy się w tém z autorem, że powinniśmy się zdobyć na wielkie nakłady dla dobra kraju, aby jego dochód podnieść o drugie tyle, lecz czy Austrya na to pozwoli? Czy w chwili, gdy na cele produkcyjne przyjdzie podwyższyć o kilka centów dodatek do podatków, lub zaprowadzić jakie nowe opłaty krajowe, czy wtedy, powołując się na dobro ludu, jakiéj innéj warstwy, lub téż na interes całéj monarchii, nie założy ona tak samo swego protestu, jak to dziś uczyniła, gdy sejm chciał zaprowadzić krajowe opłaty konsumcyjne? Zdaniem mojém, rząd centralny dopiéro wtedy byłby zdolnym do ustępstw, jeżliby stronnictwo, zmierzające do gruntownéj zmiany naszéj polityki ekonomicznéj, którego szanowny autor jest jednym z wybitniejszych przedstawicieli, jeżliby ono opanowało kraj od góry do dołu i mając większość w Kole polskiém, zaważyło na szali całéj polityki austryackiéj. Wtedy rząd licząc się z niém, nie jedno by dla kraju uczynił. A może p. Szczepanowski i cały zastęp młodszych posłów, nie godzących się na teraźniejszą, strusią politykę naszéj reprezentacyi w Wiedniu, marzą o czémś podobném? Jeźli tak jest, to z całego serca szczęścia im życzymy i z upragnieniem czekać będziemy na pierwsze objawy tak energicznéj działalności.

Książka p. Szczepanowskiego przypomina pod względem założenia i myśli przewodniéj dziełko d-ra Tadeusza Rutowskiego p. t. „W sprawie przemysłu krajowego“, o którém przed trzema laty w *Ateneum* obszerniéj pisałem. Jak jeden tak i drugi żąda nakładowego gospodarstwa krajowego, jak jeden tak i drugi jest głęboko przekonany, że takowe w Galicyi da się urzeczywistnić, jak jeden tak i drugi wierzy w zupełne odrodzenie Galicyi na téj drodze. Ale

podczas gdy praca Rutowskiego ma charakter studyum ekonomicznego, dzieło Szczepanowskiego jest raczéj broszurą polityczną, napisaną śmiało, dosadnie, z werwą, pełną trafnych uwag i dowodów przekonywających, a chociaż nie jest wolną od paradoksów i zbytniéj jaskrawości, mimo to, a może właśnie dla tego, trafi do przekonania wielu i umysły poruszy. I kto wié, czy autor nie zmierza przedewszystkiém do tego celu. Wszak nie raz i nie dwa naznacza on z naciskiem, że polityka, którą kraj teraz prowadzi, jest zgubna, że bez materyalnego i moralnego odrodzenia o lepszéj przyszłości nawet marzyć nie możemy, że stan średni w Galicyi powinien otrząść się z apatyi, zorganizować i wziąć się do pracy, słowem, że powinniśmy rozpocząć działanie pełne energii i wiary w powodzenie. Jeżeli dodam, że książka wydana w 1000 egzemplarzach, rozeszła się w ciągu dwóch tygodni, a teraz przygotowuje autor drugą edycyę w 10,000 egzem., które zamierza sprzedawać po 20 centów, aby nawet najbiedniejszy mógł ją przeczytać, to mimowoli nasuwa się pytanie, czy praca jego nie jest zapowiedzią nowego kierunku w naszéj polityce, którego wybitnym szermierzem był już dawniéj d-r Rutowski? O ile mi się zdaje, tak będzie istotnie, odkąd bowiem pp. Rutowski i Szczepanowski weszli do rady państwa, coraz częściéj dochodzą nas słuchy, że stronnictwo młodych, widząc jałowość polityki naszéj staréj gwardyi, postanowiło zawrzéć sojusz w kole szczuplejszém, potém przystąpić do organizacyi kraju, a właściwie stanu średniego, aby przy jego pomocy rozpocząć politykę ekonomiczną na wielką skalę, która w najgorszym nawet razie stokroć więcéj nam przyniesie, niż dziś w najlepszym przynoszą uśmiechy ministrów i kilkotysięczne prezenty budżetowe.

Czy broszura p. Szczepanowskiego jest w rzeczy saméj głosem zwiastującym przybycie zbawiciela, o tém prawdopodobnie będę mógł coś bliższego donieść w liście następnym.

Józef Rogosz.





KRÓLOWA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

AKT PIĄTY.

JADWIGA.

OSOBY AKTU.

JADWIGA, GNIEWOSZ, PIEŚ, DYMITR, JĘDREK, OFKA.

Komnata w zamku.

PIEŚ (*w otoczeniu kilku dworzan*).

Kot gdzieś pod miedzą
Czy kpi, czy śpi?
Patrz — już go śledzą —
Kci kci! Kci kci!

Wzrok wybałuszy —
Nogami drga —
W grzbiet wciągnął uszy—
Heż ha! heż ha!
Ach! jakżeś ty gębę rozdziawił mości Dołęga!

DOŁĘGA

Nic to. Ruszaj dalej.

PIEŚ.

Hej! kusą radą
Kusy się kuś!
Psy aż się kładą —
A tuś! A tuś!

GODZIEMBA.

No cóż? Czy go aby dognali?

PIEŚ.

Co tchu, mknąc w haszcze,
Przesadził rów.
Koń tuż — bicz klaszcze —
Bywajże zdrów!

DOŁĘGA.

Ale kto? Kot, czy dojeżdżacze?

PIEŚ

Przodem, czy tyłem,
Ktoś zuch, ktoś fryc.
Ja tam nie byłem,
Więc nie wiem nic.

GODZIEMBA.

Idź ty do kata i powiédz mu odemnie, że cię ma powiesić.

DOŁĘGA.

Ani chybi — on o Wilhelmie gadał.

PIEŚ.

Zgadłeś. Ba—ba—czy to ty nie Dołęga? Tylko czego tak wrzeszczysz? Może, gdyby nie takie jak ty rozjechane gęby, mielibyśmy go w saku i wtedy modliłby się z właściwą sobie pokorą:

I odpuść mi moje winy,
Niech je sobie wspólnie zmażem —
Bom ja, z Mistrzem i z Cesarzem,
Jak ty, również w trzech jedyny.

GODZIEMBA.

Słyszę, ledwie z duszą uciekł z Morsztynowego dworca, gdzie się skrył w kominie.

PIEŚ.

Na to pewnie, ażeby mógł powiedzieć potém, że go oczerniono. Ale nie całkiém on taki, jak go malują. (*Do wchodzącego Gniewosza*): A! a! w sam czas mości starosto. Gadają tu właśnie o Wilhelmie na ten przykład, że skąpy. A on koszulę tylko widzi Bóg wziął w drogę, a za to, konie, psy, sokoły, aksamity, pióra, łańcuchy, mydła i pachnidła, dał—słyszę—do wzięcia miłemu słudze, którego w pośpiechu głośno nawet pożegnać nie zdążył.

GNIEWOSZ.

Ponieważ zamku słusznie mu wzbroniono,
Gospodę u mnie obrał — bo gdzieś przecię
Mieścić się musiał. A zaś sprzęt wszelaki
Czasowo tamże zostawiwszy, wprędce
Zapewne zabrać zechce, skoro tylko
Ze strachu oraz z pustych żądz ochłonie.

PIEŚ.

Żartuj zdrów. Na tobie on tak wyszedł, jak ten, o którym powiada bodaj czy nie Jeśpan Boëtius w Rozprawie o pocieszeniach Filozofii:

Siadłszy sobie w rowie,
Garścią ryby łowię,
Aż tu rak przy rybce,
Wziął mi palec w szczypce.

GNIEWOSZ.

Mości Wesołku — odczep się, i proszę
Twe jasnowidztwo chować chciéj dla siebie.
Jam człek z sumieniem czystém, i rad wielce
Z sobą i z każdym żyć w przykładnéj zgodzie.

PIEŚ.

To zupełnie jak ja. Nawet i w tém jesteśmy zgodni, żem ja obecnie duszą i ciałem, tak jak ty, za Jagiełłą. Co? nie prawda? Powiem więcéj. Nie dając się w tém uprzedzić nikomu, przyszedłeś z téj przyczyny złożyć życzenia królowéj. I dobrześ zrobił. Bo inaczéj, spisałbyś się jak ja nieprzymierzając, który razu jednego tak sobie pomyślałem: — Jeżeli z małéj chmury duży deszcz bywa — to jakiż to ogromny bywać musi z żadnéj! — I zawsze wybierałem się rzecz tę sprawdzić. Ale cóż? Nigdy do tego nie przyszło, bom ile mógł do jutra odkładał. A teraz, pozwól, że spróbuję wyobrazić sobie twoją przemowę.

(Kłania się aż do ziemi przed pustym stołkiem).

Niech Bóg cię, pani, wiecznémi darzy zdrowiem!
Doprawdy, strach mię, godnie czy wypowiem
Blask, jakim wszędzie książę ten uroczy
Podbija serca i olśniewa oczy!
Pan to nad wyraz dzielny i wspaniały!
Zda się, w nim wszystkie naraz się zebrały
Doskonałości w jeden wieniec chwały!
W postaci wdzięku i w piękności twarzy
By mu kto zrównał, niechaj ani marzy
Słoneczne nasze w krajach tych podniebie!

(Wchodzi Jadwiga, zajęta rozmową z Ofką i Nawojką).

Lecz dość. Mów teraz waszmość sam za siebie—
Méj zaś pomocy niech twój dowcip ufa.

GNIEWOSZ *(przez zęby).*

Bodajś pękł błaźnie, jak rozeschła kufa!

PIEŚ *(do siebie).*

Gdy się wpatruję w tę królowę biedną,
To sądzę, że już wszystko jéj jest jedno:

Zkąd i kto przyjdzie wziąść jéj serce w dyby
Ślubów — i nawet myślę tak: że gdyby,
Przesądy wreszcie w kąt rzucając stare,
Sam Zakon przyrzekł się na dobrą wiarę
Dla niéj nawrócić — to ta smutna wdowa
Rękę i jemu oddaćby gotowa.

JADWIGA.

Panie z Dalewic — wielcem ci jest wdzięczna,
Żeś mię pożegnać przyszedł, — w twém starostwie
Mając, jak słyszę, zamiar niecofniony
Zamieszkać odtąd. W czém ci szczęścia życzę,
Oraz pomyślnéj w stronę twoją drogi.

PIEŚ.

Od pomyślności stronić chciéj mój drogi!...
Słysząc słodycze owych słów zwodnicze,
Słusznie, jak życzę, chylisz w dół oblicze.
Boś niby taki, co się wybrał wełnę
Strzydz, a sam z wełny został ostrzyżony.
Więc mów te słowa namaszczenia pełne,
Które ci poddam stając z twojéj strony:
Ciebie serce moje wita,
A zaś ty się żegnasz ze mną.
Więc, o pani nieużyta!
Gdy mi nie chcesz być wzajemną,
To z przyjaźni naszéj kwita.
A teraz się ukłoń i idź do kogo innego.

GNIEWOSZ *(zginając kolano).*

Królowo moja....

DOWOJNA *(wchodząc).*

Miłościwa pani,
Przesławny Dymitr, w sprawie znacznéj wagi
Pomówić z tobą pragnie. Czy przyjść może?

JADWIGA.

Powiedz mu, proszę, że jest pożądany.
Odejdźcie wszyscy. *(patrząc za Dowojną).*
Słowo tego człeka,
W którym oprawcę szczęścia mego widzę,
Wieść mi przynosi o tém, co mię czeka
U kresu złudzeń mych — i on Jadwidze
Wstrętnym jest, gorzéj drugich. Lecz królowa
Niech dla nikogo chęci złych nie chowa,
Widząc z nich w każdym Boskich rąk narzędzie.

Więc, jak po burzach Pańskiéj mojéj biedy,
Radabym sama spokój zyskać kiedy —
Tak dla nich pokój w sercu mém niech będzie!
(Wchodzi Dymitr w towarzystwie Jędrka, który zatrzymuje się w głębi).

DYMITR.

Pani! z układem zobowiązań, które
Rozkazał spisać Możny Litwy Książę,
Poselstwo jego świetne wyprzedzając,
Do stóp twojego majestatu dążę.
Z góry on wszystko życzy mieć spełnione,
Cobądź dorzucić zechcesz na twą stronę;
A jednak tyle sam już nam przyrzeka,
Jak trudno więcéj na jednego człeka.
Są tych przyrzeczeń poręczycielami:
Skirgiełł i Borys, księcia dwaj rodzeni —
Witołd stryjeczny — daléj Fiedor Łucki,
Michał Zasławski i Jan Bełzki — kniazie
Chrześciańskiéj wszyscy, chociaż ruskiéj wiary.
Wreszcie Piastowie możni: Janusz z Czerska
I książe Semko, Płockiéj Pan Dzielnicy.

JADWIGA.

Ci zaś, czy zechcą, jako zakładnicy
Być w rękach naszych?

DYMITR.

Tak jest. Aż dopóki
Zobowiązaniu zadość się nie stanie.

JADWIGA.

Więc proszę, czytać chciéj zobowiązanie.

DYMITR.

Jagiełło Święty Chrzest z narodem całym
Przyjmie, i tenże naród, oraz wszystkie
Dzierżawy ruskie, ziemie i obszary,
Na wieczne czasy i nieodwołalnie,
Wraz z bojarami tychże i książęty,
Równie jak wszelkie władców tych zdobycze,
W koronę naszą włączy....

JADWIGA.

Jeszcze życzę:
By także Halicz Węgrom z rąk był wzięty.

DYMITR.

Stanie się więcéj, niżli żądasz, pani.
Jagiełło wszystkie skarby swe i całą

Włożyć w to pragnie moc swą niezwalczoną,
Aby odzyskał, cobądź kiedykolwiek
Od téj Korony świetnéj odkruszono.

JADWIGA.

Więc i Dobrzyńską ziemię —

DYMITR.

Niewątpliwie.
On tylko żądzą dyszy, by z Krzyżaki
Mógł się rozprawić — i to w sposób taki,
By nikt i nigdy z niemi już rozprawy
Więcéj nie miewał!

JADWIGA.

Dzielny człek i prawy.
Czy to już wszystko?

DYMITR.

Jeszcze nie. W ostatku,
Zwróci nam wszystkie jeńce, kiedykolwiek
I kędykolwiek czy to wzięte w wojnie,
Czy téż w najazdach.

JADWIGA.

Oraz, bez wątpienia,
Prócz stosownego w drogę opatrzenia,
Wszystkie im krzywdy wynagrodzi hojnie —
Czy tak?

DYMITR.

W istocie. Jest tu zastrzeżenie:
Że cobądź, pani, jako ludu matka
Dla dobra jego zechcesz mieć w téj mierze,
Twéj słusznéj woli wnet się zadość stanie.

JADWIGA.

Widzę Rycerskiéj Cnoty w tém świtanie,
Które już wcześnie blask od Krzyża bierze.

DYMITR.

Pani, chciéj wierzyć, że szlachectwo duszy
Nie jest wyłączną tych własnością, którzy
Butnie i z wielkim wrzaskiem po przed sobą
Trąbić je każą. Jest téż Litwy książę
Chrystusa sługą wprzód już, nim na barki
Zdrój Święty przyjął. Ulubieniec matki
Rusinki z rodu, w miększych powijakach
Niż reszta braci, jak bądź siódmy z rzędu,
Swe niemowlęctwo miał, i z Krzyża znakiem

Na czole wzrastał. Lecz, gdy z chęci szczeréj
Zapragnął żywéj Odkupienia Łaski,
Zollner mu nie chciał Chrzestnym być,

JADWIGA.

I słusznie.
Bo nie szatańska rzecz to!

DYMITR.

Lecz Anielska—
Tak—i królewska—gdyż uświęcająca
Swém poświęceniem własném. Stary Olgierd
Znał to, gdy wstręt miał téj, jak zwał, przeklętéj
Krzyżackiéj Wiary. On téż, póki życia,
Jagielle bronił Chrztu. Bo z wszystkich synów
W nim jednym Litwy widziéć chciał Władarza,
A oraz wrogów pogrom!

JADWIGA.

Dość. Bóg stwarza
Szranki do czynów, a zaś ludzkie chęci,
W miarę zasługi, spycha w dół, lub święci.
Więc snadź rzecz słuszna dać cześć ugodową
Tych czynów chęciom, które swą wymową
Wcześnie się Niebu modlą!

DYMITR.

Czy królowo—
Nim na tém piśmie zgody znak umieszczę—
Żądanie jakie chcesz objawić jeszcze?

JADWIGA.

Tak—i nie jedno. Naprzód, téj świątyni,
Zkąd niegdyś porwał Boskie Krzyża Szczęty,
Litewski władca hojny dar uczyni
W srebrze i złocie i w nadaniach wielu,
Tak, iżby przez to zyskał w Zbawicielu
Sobie i państwu w przyszłość pochód święty,
A téż, by przezeń, to naprawy dzieło,
W potomne wieki głośno zasłynęło.
Tego dla niego żądam. A dla siebie
Mieć chcę, niech niemniéj hojnie uposaży
Tę, która, Jasnéj Góry Swéj podniebie
Warowne krzyżem, w Boskiéj trzyma straży,
Gdyż ja pragnienia moich trosk dziewicze
Dziewicy tylko w zakład oddać życzę.
Więc Ta—co z Niebios zeszła do Łukasza—

Więc Ta, cudowna—więc przedziwnie nasza—
Więc Ta, tuląca do swéj piersi Boga—
Więc Ta nad wszystko sercu memu błoga—
Skoro doczesne moje królowanie
Do stóp Jéj Świętych cała w łzach przytulę,
Za mnie i wszystkie po mnie przyszłe króle,
Korony Polskiéj Panią niech się stanie!—
Tak niech z nas każde w Niebios chęć łaskawą
Ślubem się wkupi, by mu za to w łono
Spokój balsamem cichych cnót wsączono.—
A teraz, wspólną nas obojga sprawą,
Stać się ma jeszcze: by Uczelnię oną,
Któréj początek od Wielkiego Dziada
Dziedzictwem chlubném w dziale na mnie spada,
Tak silnie dźwignąć, i w tak zacnéj cenie
Przekazać wnukom dalsze jéj istnienie,
Iżby się mogła, równie dla biedaka
Jak i bogacza, wiedzy stać skarbnicą
Po świecie głośną, jak nie jedna taka,
Z któréj się ludy oraz wieki szczycą.
Tyle jest moich żądań, które życzę,
Byś w te układy wpisał pośrednicze,

(Dymitr zapisuje żądane warunki).

DYMITR *(po chwili)*.

Wszak wierzysz pani: że twe sługi stare
Twój naród wiernie ufny w pomoc Bożą,
Aż do ostatniéj kropli krew swą włożą
W serdeczny zakład za twą dobrą wiarę?—

JADWIGA.

Tak. Ztąd mą wolę słusznie mam na wodzy.
Bom tylko jedna już—a wyście mnodzy.
Bom już bezsilna—mocą mego słowa
Was wzbogaciwszy—lecz się z tą wymianą
Już oswoiłam.—Ale dość jest oto
Tych słów ofiary, co jak szczere złoto
W ogniu się czyszczą!—Teraz—jam gotowa
Poselstwo przyjąć, mając dłoń podaną
Jagielle, w którym uznać męża pragnę—
I przed nim skroń mą w imię wasze nagnę,
By ujrzéć jego skroń przed Bogiem zgiętą
Wprzód, zanim, w polskie bezprzykładne święto,

Tego narodu dawcę wam uwieńczę
Koroną Piastów....

DYMITR *(przyklękając)*.

Tam nam pomóż Boże
Wszystkim, co patrząc w Twéj światłości zorze
Wzrok jeden mamy!

JADWIGA.

Dość.

(zwracając się do Jędrka).

A ty młodzieńcze
Czegóż to żądasz?

JĘDREK *(przyklękając)*.

Pani—dwie mam prośby.
Z tych pierwsza, nie mnie tyczy, lecz rycerza,
Z którym tak ścisły sojusz mię sprzymierza,
Że to, co wspólnie w głębi serc nam pała,
Nawet przy życia nie ma zgasnąć kresie.

JADWIGA.

Któż to jest taki?

JĘDREK.

Izenburg on zwie się.

JADWIGA.

Izenburg? Czym ja dobrze usłyszała?

JĘDREK.

Tak pani. Tenże sam to, z którym wczora
Jak wróg żelazo moje skrzyżowałem.
Lecz snadź krzemieni była to wymiana—
Bośmy przyjaźni iskrę z niéj skrzesali.

JADWIGA.

Dziwne mi rzeczy prawisz. Cóż więc daléj?

JĘDREK.

Ślubem się związał: że miał Litwy księciu
Wyzwaniem niemem spójrzéć oko w oko—
Co gdy się stało, blaskiem tego Pana
Olśniony, uznać musiał, iż był w błędzie:
Sądząc go nie dość godnym zasiąść w gronie
Chrześciańskich władców, obok téj, co słusznie
W małżonku swoim pragnie pojąć Męża.
Więc w tém uznaniu winy swéj, przezemnie,
Kolano zgiąwszy, błaga Ciebie Pani:
By mógł, w orszaku księcia, za twym wpływem,
Na śmierć i życie wierność mu zaprzysiądz.

JADWIGA.

Powiédz mu proszę: iż nie mało cenię
Jego przysługę; moja zaś przysługa,
Ponieważ miłą, więc i nieskończenie
Łatwą mi będzie.—No—a prośba druga?

JĘDREK.

Druga z mém sercem tak jest silnie zrosła,
Że sam się w sobie zbyt trwożnego posła
Słusznie obawiam—choć mię w tém uzbraja
Zapału szczerość.—Oto, Pan z Goraja
Rękę mi córki przyrzekł. Cóż—gdy ona
Zdawna już matki nie ma, z któréj łona
Biorąc ją, w téj bym uczuć jéj miał świadka.
Bowiem rycerski ojciec, w swym wyborze,
Chcąc szczęścia córki, twardo zbłądzić może...
Więcże ty, Pani! coś nas wszystkich matka,
Czy raczysz z rąk twych dać mi ją, i w drogę
Pobłogosławić?—bo gdzież ręka czyja
Od twojéj świętsza?

JADWIGA.

Czy ci Ofka sprzyja?

JĘDREK.

Tak sądzę, Pani, choć się mylić mogę.
Lecz obym pewność miał! Bo, trudna rada,
Jeśli kto inny serce jéj posiada,
To się w milczeniu z mą pogodzę stratą.

JADWIGA.

Wybadam Ofkę—licz z ufnością na to.
Jeśli, jak sądzić mam niejakie prawo,
Dziewczę ku tobie żywi chęć łaskawą,
To, po rycersku, bo na śmierć i życie,
Wprędce przysięgi z sobą wymienicie.
Z serca wam szczęścia życzę.. (*do siebie*) i zazdroszczę...
A teraz—żegnam was. Odejdźcie proszę,

(tamci wychodzą).

Kobiecość moją Bóg aż do krwi chłoszcze!
Bo cóż mi cudze szczęścia czy rozkosze,
Skorom ja jedna z nich wydziedziczona?...

Nie wiem doprawdy, czy jest czas ten bliski,
Gdy się duch krnąbrny we mnie upokorzy?...
Ciernie mi w czoło wpija ta korona,

Dla któréj, tylko co, i tak uparcie,
Lichwiarski niemal wiodłam targ o zyski—
By choć, wypadkom zrządzeń, jak najdrożéj
Mą przyszłość sprzedać.—I—o gorzki żarcie!
W téj smutnéj doli, sama, cierpiąc dreszcze,
Osierocenia trwogi—muszę jeszcze,
Na nie-mojego szczęścia zapomogę
Być matką—kiedy córką być nie mogę!

I być zmuszoną, w sposób jaki taki
Mych uczuć złoto mieniać na miedziaki,—
I przytém spokój zmyślać i pogodę,
To jest, na jedno serce moje młode
Może już nazbyt wiele...
Niech odpocznę—
Choćby na chwilę... (*myśli*)
Nie. Na téj wyżynie,
Na szczycie któréj muszę stać—jedynie
Bóg wyjątkowych życzy mieć bogaczy.
Więc téż i słusznie prawo to wyroczne
Płci ani wieku nie chce znać—to znaczy:
Że słabość chwiejnie wstrząsająca duszą
Tych, w których drudzy swoję ufność kładą,
Jest ich i siebie—nawet Boga zdradą.
Bowiem, zaprawdę, w późnych łez rozpaczy,
Tacy, na skroń swą grom niechybny kuszą,
Którzy się marnie w szponach zwątpień biedzą!

Precz! Wiem do czego dążę, i z tą wiedzą,
Tego, do czego dążę, chcę niezłomnie....—
Jużem spokojna. (*wołając*) Ofko moja! Do mnie!

(wchodzi Ofka)

Chodź no tu dziewczę. Powiédz moja biała—
Tęczyński Jędrek—on cię, słyszę, kocha?

OFKA.

Tak Pani.

JADWIGA.

Ten zaś, gdyby po twą rękę
Sięgnął, czy chętnie wziąść byś mu ją dała?

OFKA.

Tak Pani.

JADWIGA.

Czy go kochasz?

OFKA.

Ojciec, zdawna
Zięciem go swoim pragnie mieć.

JADWIGA.

Lecz pytam:
Czy ty go kochasz?

OFKA.

Ojca kocham, który
Kocha go, jestem pewna. Bo on przecię
Nie żaden pustak. Różni go rycerze
I ludzie różni już na karku mieli,
I on się wprzódy mężem stał, niżeli
Moim go nazwę. Więc ja jemu wierzę,
Jak w ojca wierzę.

JADWIGA.

Ofko—powiedz śmiało.
Tak chce twój ojciec. Ale ty—być może
Kogo innego w sercu masz?

OFKA.

Broń Boże!

JADWIGA.

Jakże? Nikogo? co? Bo mnie się zdało...
Izenburg... milczysz?

OFKA.

W sercu nie—lecz w głowie
Istotnie on mi gościł czas nie długi,
Ale zachcianki były to zwodnicze,
Bo ja jedynie pana sobie życzę
W małżonku moim wziąść—a nie chcę sługi.

JADWIGA.

On przecię Rycerz także.

OFKA.

Ale taki,
Którego tylko jedna myśl zaprząta
W świat biedz—dziś owdzie—jutro w inne szlaki—
Jakby własnego nie miał nigdzie kąta.

JADWIGA.

Lecz gdyby chętnie swego się błądzenia
Dla ciebie wyrzekł?

OFKA.

Rzeczy to nie zmienia.
Swych ojców córka, ani pokryjomu,

Ani obcemu, ani gdzieś po świecie —
Tylko swojemu, między swemi, w domu,
Z niepodzielnego serca, jak najszczerzéj
Swą wiarę oddać może. A ten przecię...

JADWIGA.

Niemiec? Tak. Wanda w naszéj ziemi leży....
Masz słuszność. Jesteś ojców twych, i prawa
Twéj Polski córka. Bóg przy tobie stawa
Przeciw pokusie tych znikomych rzeczy,
Których wartości własny blask ich przeczy.
Ja twój sąd zdrowy całém sercem dzielę.
Mą własną ręką włożę ci na czoło
Wianek, i huczne sprawię wam wesele,
Na którém sama może być wesołą
Będę, szczęśliwa cichem szczęściem twojém.
Kocham cię. Kocham twą wiośnianą cnotę—
Twój uśmiech — twoje słowa szczerozłote —
I myśl twą, która duszy tchnie spokojem.
Widzisz — bywają gdzieś po świecie nędze,
Obce dziewictwa duszy twéj potędze.
Jam jak ty czysta — tylko że mi dano
Dolę, nie całkiem od chmur zażegnaną.
Ja także umiem czuć jak ty rozumnie,
I kochać mądrze tak jak ty — a przecię
Walczyć musiałam... Idź już moje dziecię—
Dług szczęścia twego umieściłaś u mnie.

(Ofka całuje ją w rękę i wychodzi).

Jakże to szybko w chwilach, gdy pierś wdycha
Powiewy wstrząśnień, duch wyprzedza ciało
Swém dojrzewaniem! — Ta dziewczyna cicha
Jest równa ze mną co do lat, a znowu
Młodsza odemnie o różnicę całą
Monarszéj doli. Jednak dziś się stało:
Że w tém jak w tamtém jéj mądrości słowu
Starszeństwo przyznać muszę.
Wczora jeszcze,
Nie dbając, słońce lśni, czy wichrzą deszcze,
Jak dwie szalone pałki, wśród Krakowa
Zbijały bąki — ona i królowa —
I rzekłbyś, słysząc śmiech i pstrą ich mowę:
Że to dziewczyny dwie lub dwie królowe.

Czy tylko wczora? co? i czy nie raczéj
Sto lat już temu? — Niech mi Bóg przebaczy,
Lecz widzę, zmarszczki duch mój ma na twarzy,
I słucham, jakby bajki, kiedy gwarzy
Ofka o sobie, jakiéjś gdzieś Jadwidze —
I ja się dumnie méj młodości wstydzę.
I kiedy ona, w swą spokojną duszę
Spójrzéć mi daje — to się uczę od niéj
Sztuki rządzenia sobą — ja, co muszę
Drugiemi rządzić. Ona najpogodniéj
W swą przyszłość patrzy, troskę o wypadki
Zrządzeń, w ojcowskie ufnie zdawszy ręce.
Lecz ja, przez kogóż wolę mą uświęcę?
Ojca już nie mam, i nie wiedząc, matki
Gdzie szukać: w żywych, czy w umarłych grobie,
Nie tylko drugim, lecz i saméj sobie
Być matką muszę.... *(staje u okna).*
Tam, u stóp mych, wszędzie
Wre życie gwarne, aż gdzieś w kres daleki,
Za siódme góry i dziesiąte rzeki,
Po nad spiętrzone morskich skał krawędzie!
To lud — i lud ten mój jest! Kość mych kości,
Krew krwi, co w żyłach mych docześnie gości...
I prostoduszném będąc, ma wymowę
Przekonać zdolną, dziecko to zbiorowe,
Które i troski swe i przyszłą dolę,
Z ufnością całą, także na tych zdawa,
Co mu ojcami są z Boskiego prawa....
A jest zaś w sobie wielkiém to pacholę —
Tak wielkiém, że gdy słaba je niewiasta
Do piersi weźmie, to się w niéj rozrasta
Serce, jak w czyny bywa myśl bogata
Tych, którzy w ręku dzierżą jabłko świata
Z krzyżem u wierzchu... Do mnie ty! Dla ciebie
Siebie wczorajszą w żywy grób ja wgrzebię,
Łzy w sercu tająć! — i choć nie z wesołem,
Ale z pogodném i wyniosłém czołem,
Tam idąc, kędy szczęście twe znachodzę,
Ani się cofnę ni zawaham w drodze!...

(Słychać w dali śpiew ślepego lirnika).

LIRNIK.

A gdy jeszcze byli w bramie,
To Lukierda ręce łamie.

A gdy weszli w jéj komnatę,
Targa sploty swe bogate:
— Przemysławie! ach mój luby!
Czyż ty możesz chcieć méj zguby?
Niech cię rzewny płacz rozczuli —
Puść mię żywą — choć w koszuli!—

JADWIGA.

Ta pieśń, ta smutna, z któréj brzmią mi dzieje
Nieszczęść sierocéj tak jak ja królowéj,
Zdrętwienia dreszcze w duszę moją zieje.....
A nuż, traf zrządził, że wieszczemi słowy,
Ten śpiew prostaczy, tu, w podobnéj chwili,
Wczas już nademną swe współczucie kwili?...
(Osuwa się do stóp klęcznika).
Najświętsza Panno, Ty mię broń! Ja Tobie
Wyznawców nowych cały naród wiodę —
Ty serce moje weź w Twe ręce obie!

Wezbrało ono w dni te moje młode
Gorzkością żółci. Lecz Ty spraw, bym za nią
Niedoli cudzych mogła mieć osłodę.

Twém tchnieniem chłodząc ciernie, co mi ranią
Królewskie moje czoło — Ty bądź, proszę,
Sieroty matką i władczyni panią!

I zdarz, niech śladem Dziada, mam rozkosze
Pomnić, że władztwu równie ciężyć może
Krwią potniejący miecz, jak znój przy sosze....
(Słychać w podwórcu zamkowym dźwięk rogów i Iltaurów. Ona wstaje).
To on już! Tak mi chciéj dopomódz Boże
Ja się nie cofnę! Kto nie sobie służy
Ale wyrokom z Nieba — ten w pokorze

Skroń swą schyliwszy, wręcz ją podda burzy,
By mu grom na niéj raczył wyryć: chwała!...—
Więc, kto bądź jesteś Mężu ręki dużéj,

Święć mi się w tobie Myśli spotężniała!...
(wychodzi).

ZASŁONA SPADA.

Felicyan.



HISTORYA NA USŁUGACH POLITYKI.

Deutsche Geschichte im neunzehnten Jahrhundert von Heinrich von Treitschke. I Band 1879: Bis zum zweiten Pariser Frieden. II Band: Bis zu den Karlsbader Beschlüssen. III Band: 1885 Bis zur Juli-revolution.

Są niekiedy w życiu i rozwoju cywilizacyi wielkich społeczeństw drobne na pozór objawy, które, ocenione i opatrzone bliżéj przy świetle białego dnia, znamionują przewroty, zmiany, ewolucye, odbywające się w ich wnętrzu lepiéj, aniżeli najważniejsze wypadki zewnętrznéj dziedziny politycznéj. Niech nam nie będzie poczytano za paradoks, jeżeli do rzędu takich charakterystycznych drobiazgów w bieżącém, w spółczesném życiu narodu niemieckiego zaliczymy powyższe dzieło i osobę jego autora. Dla czego,—wytłómaczymy bliżéj.

Nie potrzeba zaiste być zbyt głębokim znawcą organizmu nowego cesarstwa niemieckiego pruskiego autoramentu, aby wiedziéć i widziéć, że treścią i dążnością jego jest upaństwowienie całego świata nie tylko materyalnego, ale nie mniéj moralnego, duchownego, umysłowego. „Upaństwowiają“ się koleje żelazne, towarzystwa ubezpieczeń, szkoły, „upaństwowia“ się wychowanie publiczne, ale, co więcéj, upaństwowia się cała dziedzina pojęć, cnót i przymiotów dziedziny moralnéj i duchowéj. Odwaga, dobroczynność, litość staną się w razie dalszego postępu na podobnéj drodze właściwościami, które także tylko będzie można praktykować w obrębie wskazanym przez państwo i w jego interesie. Do przedmiotów, ulegających „upaństwowieniu“ ku wyraźnéj swéj szkodzie, należy dziś w Niemczech—cała dziedzina nauki, w pierwszym rzędzie dziedzina nauki historycznéj. Już Ranke, pozostałość innéj epoki i innych pojęć, umiał, mimo wszelkiego talentu pisarskiego, mimo ogromnego, przez pracę długiego życia zebranego zasobu nauki, li-

czyć się bardzo z panującemi prądami i potrzebami otaczającego życia. Był jednakże ostrożnym, powściągliwszym w wyprowadzaniu ostatecznych konkluzyi, skoro te nie dawałyby się pogodzić z wymaganiami i nakazami etyki, a od konieczności formułowania ich bronił się środkiem niezawodnéj skuteczności. Była nim sztuczna obiektywność; opowiedział fakt, pozostawiał sąd o nim czytelnikowi. Tam, gdzie się historycy dawnéj szkoły, Rotteck, Schlosser, Raumer rozkoszowali cnotą i bohaterstwem, tam gdzie wypowiadali bez ogródki swe oburzenie z powodu zdeptania prawd i zasad etycznych,—ograniczał się Ranke,—„*wohlweislich*“, jakby powiedział Niemiec, na plastycznêm, artystycznie wyrzeźbionêm przedstawieniu faktu. Nazwalibyśmy to już w metodzie historyografii niemieckiéj pochyłością, która przecież ze względu na kroczącego po niéj mistrza, nie przedstawiała się ze strony zbyt ujemnéj. To samo powiedzielibyśmy o profesorze Syblu w jego „Dziejach epoki rewolucyjnéj“. Natomiast występuje owa tendencyjność nauki historycznéj mocno wyraźniéj, bez zasłony niemal, w Haüssera, „Dziejach Niemiec od zgonu Fryderyka II.“ Profesor heidelberski steruje już tutaj stanowczo ku przystani, do któréj zawija dziś ostatecznie historyografia niemiecka autoramentu pruskiego.

Specyminem przecież dopiero owéj dążności, najcharakterystyczniejszym jéj wyrazem miał się stać w epoce przesilenia Prus na dzisiejsze cesarstwo niemieckie profesor Jan Droysen w „Historyi polityki pruskiéj.“ Był to człowiek niewątpliwie obfitego zasobu nauki, korzystał z plonu przystępnych sobie archiwów pruskich, ale zużył je w kierunku tak jednostronnym, tak bezmyślnie często i niepamiętnie idealizującym politykę pruską, tam i wtedy nawet, gdzie i kiedy wchodziła w wyraźny zatarg z interesem niemieckim, że prawda historyczna wśród podobnego traktowania rzeczy traciła najzupełniéj wszelkie swe prawa. Najświetniejszym dowodem téj metody czy téj praktyki Droysenowéj jest przedstawianie Fryderyka II jako bohatera, walczącego dla dobra Niemiec, w tym samym tomie, w którym bez ogródki powiada, że król pruski dobył miecza po pierwszéj wojnie szląskiéj, aby ocalić Alzacyą i Lotaryngią dla Francyi wobec niebezpieczeństwa inwazyi austryackiéj. Mimo to był przecież Droysen nie wątpliwie mężem wiedzy i nauki, zasługiwał na miano i stanowisko „historyografa“ państwa czy organizmu politycznego, który się bez urzędowych „historyografów“ obejść nie może a któremu kult historycznéj prawdy na podstawie naukowéj nie wystarcza. Zeszli jednakże z widowni żyjących, jeden po drugim, naprzód Droysen, po nim Ranke, po Rankem znakomity znawcą średniowiekowéj przeszłości Niemiec, Waitz. Tytuł i stanowisko

urzędowego „historyografa“ pruskiego, dostały się po ich zgonie— profesorowi historyi uniwersytetu berlińskiego Henrykowi Treitschkemu, autorowi dzieła, z którego niniejszém zdajemy sprawę. *Habent sua fata libelli*, mówi znane przysłowie łacińskie, mają swoję osobną historyą w dzisiejszych Prusach stanowiska i tytuły urzędowych historyografów, a jak do nich p. Treitschke przyszedł, posłuchajmy.

Syn zacnego generała saskiego Treitschkego, pełniącego jeszcze w r. 1865 obowiązki plackomendanta Königsteinu, uczeń szkół drezdeńskich i uniwersytetu lipskiego, jeżeli się nie mylimy, wykształcił się raczéj na politycznego publicystę, aniżeli na historyka. Chciało przy tém jego szczęście czy nieszczęście, że wcześnie dość ogłuchł. Wszystko to razem złożyło się na smutne dla p. Treitschkego następstwo, że mimo wszelkich starań nie zdołał w Saksonii zyskać upragnionéj profesury uniwersyteckiéj, ani zrobić żadnéj innéj karyery. Ztąd wyrodziła się w nim niechęć do ojczystego kraju, nawet niechęć dla jego egzystencyi, a czego nie było można zyskać na drodze pokojowych usiłowań, postanowił zdobyć sobie na innéj drodze a czemużby nie gdzie indziéj. Było to w pamiętnych latach 1865 i 66. Henryk Treitschke porzucił widownią saską, przeniósł się do Berlina, zaczął do współki z narodowo-liberalnym publicystą Wehrenpfennigiem wydawać znane pismo miesięczne *Die preussichen Jahrbücher*. Pismo to zawierało wszystko istotnie, co namiętnemu i rozdrażnionemu pióru mógł podszepnąć najwybujalszy szowinizm pruski. Szczególnie odznaczały się tym duchem wychodzące z pod pióra samego p. Treitschkego artykuły. Przedewszystkiém zaś znał Treitschke d w i e nienawiści, pierwszą do ojczystéj Saksonii, drugą do Austryi. Czy pierwsza, namiętność, istnie Koriolanowéj, bez szlachetnego Koriolanowego końca, natury, była szlachetną i godną i czy było szlachetnie i godnie ze strony syna obsypanego dobrodziejstwami królów saskich generała saskiego domagać się wrzaskliwie w „Pruskich Rocznikach“ zagłady bytu Saksonii i zdetronizowania domu saskiego, nie pytajmy. Odpowiedź na to swego czasu przez innych postawione zapytanie dał ojciec p. Henryka Treitschkego, generał Treitschke, ogłaszając swego czasu w pismach publicznych fakt zerwania stosunków z synem. D r u g ą nienawiścią p. Treitschkego była Austrya. Uważał ją za trupa, z którym się nie warto sprzymierzać. „*Mit einem politischen Cadaver verbindet man sich nicht*!“ pisał swego czasu w *Preussische Jahrbücher*, frazes, na który nie zwracalibyśmy uwagi, gdyby dzisiaj wręcz przeciwnie p. Treitschke w dziele właśnie, z którego zdawać mamy sprawę, nie wyznawał się czcicielem téjże saméj Austryi i nie wznosił pobożnych westchnień za zdrowie i powodzenie przymierza prusko-austryackiego.

Wśród prowadzonéj w ten sposób kampanii Treitschkego przeciw egzystencyi Saksonii i Austryi, skończyła się tymczasem kampania pruska przeciw obu krajom, oszczędzając wbrew życzeniom i rachubom jego, istnienia tak jednego, jak drugiego. P. Treitschke nie miał wśród podobnych okoliczności wracać po co do Saksonii a w Austryi byłby naturalnie nadaremnie szukał szczęścia. Prusy przecież uznały za rzecz stosowną wynagrodzić jego zapał dla swéj sprawy a nie rozporządzając same chwilowo żadnym wakansem uniwersyteckim, wyjednały mu swemi wpływami stanowisko—profesora historyi w uniwersytecie heidelberskim. Nominacya ta nie pozostała bez pewnego wrażenia. P. Treitschke był znany dotąd jako publicysta polityczny, jako świetny stylista, ale nie stworzył dotąd nic takiego, coby mu było zdolném nadać odpowiednią kwalifikacyą w dziedzinie nauki historycznéj. Nie można też twierdzić, aby działalność profesorska w Heidelbergu odznaczała się szczególném, naukowém powodzeniem. Ciągle i na profesorskiém stanowisku raczéj publicysta, aniżeli uczony, nie zwracał na siebie uwagi historyków, co nie przeszkodziło przecież, iż w kilka lat późniéj zyskał nareszcie katedrę historyi przy uniwersytecie berlińskim. Tutaj to znalazł się nareszcie nowo-mianowany profesor wobec nieuniknionego obowiązku spłacenia długu wdzięczności swym protektorom w dziedzinie historycznéj a w r. 1879 pojawił się pierwszy tom „Historyi Niemiec w XIX wieku“ ze stanowiska pruskiego i w interesie pruskim.

Jaką ta historya była w pierwszym swym tomie sięgającym do pokoju paryskiego w r. 1815, jak się przedstawia w dwóch następnych sięgających do rewolucyi lipcowéj zobaczymy niżéj. Na teraz dość powiedzieć ku charakterystyce jéj, że dzieło przyniosło autorowi po zgonie Rankego w zysku nominacyą na urzędowego historyografa pruskiego, jako nagrodę nie naukowéj zasługi, ale „patryotycznéj“ dążności. Nowemu cesarstwu niemieckiemu pruskiego autoramentu nie starczyła, nie mogła starczyć bardzo naturalnie dotychczasowa historyografia niemiecka. Nie starczyły ani uczciwy pesymizm Schlossera, ani liberalizm Rottecka, ani obiektywność Raumera, ani federalistyczny, często w zatarg z Prusami wchodzący patryotyzm Gerwinusa. Nowemu cesarstwu trzeba było nowéj historyi, nowéj i osobnego rodzaju moralności, nowych poglądów; trzeba mu było, jak parweniuszom stworzyć Prusom drzewo genealogiczne, nim się jeszcze pojawiły, w epokach nawet, w których im się o Niemczech i o niemieckiém posłannictwie nie śniło, stworzyć osobne miejsce w historyi niemieckiéj. Zadanie niezupełnie łatwe, bo jakże tu stworzyć niemieckie dążności i niemiecki patryo-

tyzm „wielkiemu“ elektorowi, będącemu na żołdzie Ludwika XIV i obowiązującemu się uroczyście głosować za królem francuskim lub jego synem na cesarza niemieckiego po zgonie Leopolda II; jakże trudno daléj przefarbować na patryotę niemieckiego Fryderyka II, gardzącego językiem i literaturą niemiecką, wchodzącego w związki z Francyą przeciw cesarstwu niemieckiemu. Jakże niełatwo również chciéć przedstawiać partykularny pokój bazylejski Prus z Francyą, pozostawiający to cesarstwo opuszczone w zapasach z rzecząpospolitą francuską jako czyn patryotyzmu niemieckiego, lub przymierze z Włochami już za dni naszych przeciw Austryi i południowym Niemcom jako żywe świadectwo ofiarności Prus dla sprawy niemieckiéj. Dobra wola oficyalnéj historyografii czemużby jednakże wszystkich sztuk dokazać nie miała, czemużby nie miała doprowadzić do zupełnego rozkwitu teoryi, która zakiełkowała tak obiecująco w dziełach Haüssera i Droysena? P. Treitschke podejmuje się istotnie téj sztuki, owego *sprusaczenia* historyi niemieckiéj wbrew najoczywistszym świadectwom przeszłości, w któréj Prusy były równie obce Niemcom, jak Niemcy Prusom, a co może w podobném historyczno-literacko-polityczném przedsięwzięciu rzeczą ze strony autora najwięcéj uznania godną, to otwartość, z jaką do zadania swego przystępuje.

Rozpoczynając opowiadanie swe a raczéj poglądy na teraźniejszość niemiecką od połowy XVII wieku, od traktatu westfalskiego; potrąciwszy o torujące sobie drogi dzieło Haüssera, wypowiada z wszelką otwartością następne zdanie. „Zmieniło się stanowisko historycznego sądu. Kto dzisiaj za pomocą obrazu owéj epoki (XVII i XVIII wieku) chce uświadomić zrozumienie teraźniejszości, powinien wyprowadzić na pierwszy plan wewnętrzny rozwój państwa pruskiego i wielkie przemiany duchowego życia? Uzasadniwszy w ten sposób owo wyprowadzenie Prus i pruskiego rozwoju na pierwszy plan niemieckiego życia i rozwoju w przeszłości, rzuciwszy śmiało aksyom bardzo obosiecznéj mianowicie dla siebie samego natury, „iż w historyi Prus niczego nie należy osłaniać, ani przemilczać,“ rozpoczyna autor istną kampanią przeciw cesarskości habsburskiéj i Austryi. A więc Austrya i cesarskość habsburska były po wojnie trzydziestoletniéj, według autora, wyrazami prześladowczości religijnéj, polityki, iż cel uświęca środki, kiedy Brandeburgia była siedliskiem wolności sumienia, kotwicą zbawienia dla sumień i ducha niemieckiego. Do jakiego stopnia przy téj sposobności frazesowemu publicyście służy rzeczywista znajomość historyi, niechaj dowodzi następny wykrzyknik. „Co tylko poczuwało się do niemiec-

k i e g o ducha, a nie korzyło się pod obcém jarzmem, sta tysięcy najlepszych ludzi czeskiego narodu znalazły nową ojczyznę w krajach ewangelickich książąt Rzeszy. Ci, którzy pozostali, stracili w szkole jezuitów żywotność n i e m i e c k i e g o ducha...“

Trudno istotnie o większy dowód niewiadomości ze strony zwłaszcza historyografa wielkiego państwa cywilizacyi europejskiéj. A więc p. Treitschke nie wié, że ciężar reakcyi austryacko-katolickiéj po bitwie pod Białą Górą, nie spadł ani na Niemców, ani na ducha niemieckiego, ale zwalił się, wręcz przeciwnie, ze strony Niemców na Czechów i czeskiego ducha, że reakcya jezuicka nie znęcała się nad płodami niemieckiéj mowy, myśli i ducha, ale że tępiła płody ducha słowiańskiego i paliła na stosach całe biblioteki czeskie. Nowoczesny po Rankem, urzędowy historyograf pruski nie wié o tych wszystkich, dobrze znanych rzeczach i przekrzywia z dziwną czelnością prawdę historyczną dla społeczności, która jéj z własnéj inicyatywy prostować nie ma zapewnie powodu. Rozmachawszy się na Czechach i reakcyi austryackiéj, jedzie p. Treitschke wesoło daléj, w zadaniu swém — deptania Austryi i idealizowania Prus. „Cesarskość Habsburgów była dla naszego narodu panowaniem obcych...“; „w Rzymie (*nb.* tom I-szy p. Treitschkego pisany jeszcze w epoce niezagodzonego, Bismarkowego *Kulturkampfu)* jak w Wiedniu równa niezdolność zrozumienia prawa przeciwnika“, jak gdyby podobnego zarzutu, *on* właśnie, historyograf pruski, przy szczypcie uczucia sprawiedliwości, nie miał powodu w inną obrócić stronę. Rozumié się samo przez się, że podobnym inwektywom przeciw „cesarskości habsburskiéj“ i Austryi towarzyszą równolegle objawy zdawkowego entuzyazmu dla Prus. A więc ciągle frazesy o „*Cultur*“, „*Toleranz*“, „*Volkserziehung*“, uniesienia dla patryotyzmu niemieckiego „wielkiego“ elektora, mimo jego aż nazbyt dobrze znanych i płaconych usług dla Ludwika XIV; entuzyazmy dla kapralskiego kija króla Fryderyka Wilhelma I, zapały dla realistycznéj polityki i niemieckości *(deutsches Wesen)* Fryderyka II, podziwy dla biurokracyi i militaryzmu pruskiego, śmiało to wszystko i rezolutnie, bez względu na wypowiedziany wyżéj aksyomat, „że w historyi i polityce pruskiéj nie ma nic do zamilczania, ani osłaniania.“ Niechaj zaś autor rozprawia się z własną konsekwencyą i logiką, jeżeli wśród tych wszystkich uniesień i entuzyazmów na rzecz monarchii pruskiéj. przytacza zdanie słynnego w XVIII w. estetyka niemieckiego Winkelmanna, któremu się o Prusach Fryderykowych wyrywa następny mimowolny wykrzyknik: „Myślę ze wstrętem o tym kraju: gniecie go największy despotyzm, jaki sobie tylko pomyśléć można!“

Rzecz naturalna ze stanowiska autora, że Fryderyk zwany „Wielkim“, w dziele jego, czy wstępie doń idealizowany. Jest przecież pewna różnica między fałszywemi entuzyazmami Haüssera, choćby nawet Droysena dla Fryderyka, a cynicznemi fałszerstwami historycznemi p. Treitschkego, które rażą niewiadomo czém więcéj, czy śmiałością swą, czy nieznajomością rzeczy, a z którychby się zaiste nie ku zaszczytowi obecnéj historyografii i historyografów niemieckich budująca mozajka ułożyć dała. Trudno doprawdy ulepić sobie z Fryderyka dowolniéjszy ideał, obchodzić się bezceremonialniéj z prawdą historyczną. Jego zabór Szląska, dzieło, nawet według wyraźnego przyznania takiego historyka jak Droysen, gwałtu i podstępu, cynicznéj gry politycznéj, któréj jedyną zasługą wszystko rozgrzeszający sukces, figuruje wraz ze wszystkiemi wojnami Fryderyka przeciw Austryi, jako „walka niemieckiéj wolności przeciw despotyzmowi domu habsburskiego“, przeciw jego „zdradzie i obłudzie.“ „Król Fryderyk—powiada w innéni miejscu z najpoważniejszą miną w świecie — walczył doprawdy, jak to angielski poseł Mitchell powiedział, za wolność rodzaju ludzkiego!“ Cóż historyków w rodzaju p. Treitschkego mogą obchodzić takie fakta, ogólnie przecież znane, jak, że Fryderyk gardził językiem i literaturą niemiecką; jak, że tryumfy pierwszych szesnastu lat swego panowania zawdzięczał przymierzu z Francyą przeciw cesarzowi niemieckiemu; jak, że w roku 1744 zerwał pokój z Austryą i Rzeszą Niemiecką, by pośpieszyć na pomoc Francyi zagrożonéj utratą Alzacyi! P. Treitschkiemu trzeba, w interesie postawionéj przezeń z góry tezy, czego innego. Dalejże więc robić zeń patryotę niemieckiego *par excellence* i pisać np. takie rzeczy: „Szląsk został przez pruskie rządy odzyskany znowu *(sic)* dla żywiołu niemieckiego“; daléj prawić, że wszystkie wojny Fryderyka były przezeń podejmowane świadomie ku „zbudowaniu prawdziwie niemieckiéj potęgi.“ Jakież gromy późniéj na cesarza Franciszka I za wiązanie się jego kolejne z Francyą i Rosyą. Fryderykowi nie mają się podobne alianse *przeciw* Niemcom i legalnéj ich władzy za złe.

Nie dość na tém, odgrywa w całéj téj machaninie p. Treitschkego nie skąpą, jak się jeszcze niżéj przekonamy, rolę gruba niewiadomość. Tak np. mówi kilkakrotnie „o wypróbowanéj, prawdziwie niemieckiéj wierności mieszkańców Wschodnich Prus dla swego monarchy podczas strasznych doświadczeń inwazyi rosyjskiéj za wojny siedmioletniéj.“ Nie farbowana tymczasem, skreślona przez historyografa austryackiego Arnetha historya wojny siedmioletniéj, opowiada o wiernopoddańczych deputacyach szlachty

wschodnio - pruskiéj do cesarzowéj rosyjskiéj Elżbiety, do Petersburga, z prośbą o oszczędzanie kraju wśród zapewnień jak najżyczliwszych uczuć.

Naturalnie, nie skłóci autora z idealizowanym Fryderykiem II dokonany przezeń podział Polski, rzecz to ze stanowiska autora łatwa do pojęcia. Co natomiast trudniéj zrozumiéć, to, że p. Treitschke uważa ten podział nie tylko za tryumf patryotycznie niemieckiéj polityki przeciw Rosyi, ale nadto za wymiar odwetowéj sprawiedliwości przeciw Polsce saméj. „Było to (podział Polski)—mówi autor — zwycięstwem polityki niemieckiéj nad chciwą zaborczością Rosyi“, jak gdyby polityka pruska się kiedy odznaczała jakąś cnotliwą powściągliwością. O szlachcie zaś polskiéj w Prusach Zachodnich odzywa się: „Szlachta dokazywała tutaj z ową wzgardą obcego prawa i obcego żywiołu narodowego, jaka Polaków przed wszystkiemi innemi narodami Europy odznacza.“ Trzeba zaiste, powiedzielibyśmy na to, istnie Treitschkowéj tylko bezczelności, aby w obecnéj właśnie chwili i to ze strony niemieckiéj z podobnym zarzutem przeciw polskości wystąpić.

Nie mamy jednakże powodu gniewać się na nowo-kreowanego historyografa pruskiego, ponieważ tak jaskrawe właśnie, tak rażące nieznajomością lub fałszerską tendencyą wycieczki dają najlepsze wyobrażenie o wartości i dążności dzieła, które nazywa h i s t o r y ą Niemiec. Ckliwe to i tendencyjne fałszerstwo ciągnie się daléj i daléj, wskróś całego panowania Fryderyka II. Idealizowanie jego osoby i rządów praktykuje autor nie mniéj w dziedzinie, która dla samychże sumienniejszych historyków pruskich nigdy dotąd przedmiotem bezwzględnego uwielbienia nie była, w dziedzinie ekonomicznéj, administracyjnéj, sądowéj, — ale i w sferze polityki zagranicznéj. Tak np. podjęła Austrya czyli dom cesarski niemiecki, chcąc zagarnąć w r. 1778 Bawaryą, politykę, która za dni naszych doprowadziła Prusy do tak zwanego zjednoczenia Niemiec. Prusy stając na czele tak zwanego związku książąt niemieckich z r. 1780, wystąpiły w imię partykularyzmu, który dzieło jedności niemieckiéj pod egidą austryacką zwichnął. Tymczasem, co jest zasługą Prus, jest winą Austryi, a p. Treitschke, idealizujący unitarną politykę pruską w bieżącém stuleciu, uważa podobnąż politykę Austryi w przeszłym wieku za ciężki grzech, a oparcie się jéj partykularystyczne ze strony Prus za niezrównaną ich, patryotyczną zasługę. Taka to konsekwencya i logika historyografa pruskiego, dziedziczącego urząd po Leopoldzie Rankem.

Co w téj robocie rzeczą najpocieszniejszą, to, że rozkwit literatury niemieckiéj w drugiéj połowie XVIII w. policzony także na

poczet „patryotycznych zasług“ Fryderyka II, jakkolwiek dobrze wiadomo, do jakiego stopnia język i literatura niemiecka były dlań, co najmniéj przedmiotem wyraźnéj obojętności, jeżeli nie stanowczego wstrętu. Pominąwszy jednak fałszywą tę genezę, przypisaną literaturze niemieckiéj z XVIII wieku, należy przyznać, że stosunkowo jeszcze tak tu, jak i późniejsze w ciągu dzieła, literaturze i kulturze narodowéj Niemiec poświęcone, ustępy stanowią jeszcze najdodatniejszą jego stronę. Autor, zamknąwszy się w granicach historyi literatury i oświaty, a zapomniawszy o swych obowiązkach pruskiego historyografa, którego zadaniem „łamać, czego rozum żaden nie złamie“, mógłby stworzyć prawdziwy i zdrowemi poglądami odznaczający się obraz przeszłości swego narodu w téj dziedzinie. Jako téż należy mu przyznać, że cała owa epoka duchowego życia Niemiec, w któréj jaśnieją pierwszorzędne imiona Klopstocka, Winkelmanna, Lessinga, Herdera, Goethego, Kanta, Schillera, skreślona barwnie, prawdziwie i żywo.

Na nieszczęście jednakże krótki to epizod tylko autorskiéj p. Treitschkego czynności, która spieszy czémprędzéj znów na swą gołoledź polityczną, aby na niéj wyprawiać coraz to nowsze i ciekawsze sztuki tendencyjności i nieznajomości rzeczy. Dzieje się to w całéj pełni w charakterystyce panowania następcy Fryderyka II, który, jak powszechnie wiadomo, choćby nawet u najenergiczniejszych entuzyastów przeszłości pruskiéj, nie zdołał sobie zyskać szczególnego uznania czy współczucia. Przyczyny, dla których autor darzy Fryderyka Wilhelma II swą sympatyą, są przecież równie oryginalne, jak powody, które mu owéj sympatyi wyznawać nie pozwalają. A więc uznanie zupełne dla interwencyi pruskiéj przeciw patryotom holenderskim w r. 1787, interwencyi taniéj i bezkrwawéj, mającéj na celu stłumienie ruchu narodowego przeciw kaprysom władzy stathuderskiéj; mocne niezadowolnienie z polityki pruskiéj, starającéj się z Austryą zachować dobre stosunki. Autor zdaje się żałować, że już wtedy nie zapraktykowała się ze strony Prus przeciw Austryi polityka z r. 1866. Jak zaś autorowi w téj historycznéj kampanii przeciw Austryi służy znajomość rzeczy, niechaj będzie dowodem następne twierdzenie: „W Polsce zyskała wtedy Austrya wkrótce (1790—1791) wpływ panujący.“ Pytamy, czy przy najpowierzchniejszéj znajomości naszéj ówczesnéj historyi, czy po przeczytaniu choćby tylko wydanych przez Viernota i Zeissberga dokumentów do „historyi cesarsko-niemieckiéj polityki Austryi“, p. Treitschke byłby z cieniem słuszności mógł wystąpić z podobném twierdzeniem! Następnie spotykamy się o kilka stron daléj z takim znów wykrzyknikiem p. Treitschkego: „Ani

w Wiedniu, ani w Berlinie nie nabyto naówczas świadomości, że państwo to (Polska) rozkiełznanéj szlachetczyzny już żyć nie mogło; że polska swoboda nie była niczém innćm, aniżeli obcém panowaniem *(Fremdherrschaft)* sarmackich magnatów nad milionami słowiańskich, litewskich, niemieckich, żydowskich, wołoskich poddanych, którzy ze swymi okrutnymi *(grausamen)* panami żadnego prawa, ani uczucia wspólnego nie mieli."

Monstrualne fałszerstwo historyczne współzawodniczy w tym ciekawym elaboracie ciągle z monstrualną do Polski, ale i do Rosyi nienawiścią, w dodatku téż jednakże jeszcze z pocieszną czasem niewiadomością. Francuska rewolucya, wrażenia, nawiasowo powiedziawszy. korzystne dla siebie, niekiedy entuzyastyczne, jakie wywołała w Niemczech, są tu traktowane zimno i epizodycznie. Głównym w téj epoce dla autora przedmiotem pozostają podziały Polski, ale w jaki znów, pytamy, sposób. A więc ani słowa o znanym między Polską a Prusami traktacie przymierza z 29-go marca 1790, mocą którego Prusy obowiązywały się do czynnéj pomocy w razie jakiegobądź zagrożenia Polski; a więc ani słowa o znanéj pruskiéj nocie z luxemburskiego zamku Merl, z 25-go października 1792, która wbrew radom Ostermanna i Bezborodki w Petersburgu, dała inicyatywę drugiemu podziałowi Polski i starała się wciągnąć weń Austryą. Ale za to gromy na ces. Franciszka II, jako człowieka „bezmyślnego", że się naówczas przynajmniéj do sprawy téj pociągnąć nie dał, brednie o Poznańskiém, jako już wtedy nibyto zupełnie zniemczoném, brednie niestworzone o sejmie grodzieńskim, o patryotach polskich, szukających wówczas (1791, 1792, 1793!) pomocy „u Jakobinów francuskich." Gdy zaś drugi podział Polski dokonany nareszcie, tryumfuje autor znów nad tym faktem, jako nad zwycięstwem „kultury niemieckiéj" i niemieckiéj potęgi w walce przeciw słowiańskim żywiołom Polski i Rosyi razem. „Szeroka szczerba — woła historyograf pruski Bismarkowego autoramentu — w n a s z é j granicy wschodniéj została nareszcie zamknięta. Wszystka krzywda, jaką szlachta polska od wieków apostołom kultury niemieckiéj *(den deutschen Kulturbringern)* od wielu wieków wyrządzała, znalazła nareszcie swoje odpokutowanie." Jeżeli zaś jeszcze kto w sprawie téj grzeszny, to chyba tylko Austrya, to chyba tylko Thugut, że nie przyłożyli ręki do owego dzieła kultury niemieckiéj w drugim podziale, z którego k o r z y s t a ć jednakże s a m y m nie byłoby dopuszczało uczucie sprawiedliwości niemieckie, piękna dewiza pruskiego państwa *suum cuique.*

Zbywając, rzecz dziwna, mimochodem akcyą pruską przeciw rewolucyi francuskiéj, trudni się p. Treitschke bardzo wiele sto-

sunkowo działaniem Prusaków przeciw powstaniu Kościuszki, ale w jaki sposób i z jaką znajomością rzeczy, niechaj znów dowodzą następne szczegóły. Tak np. jakkolwiek Kościuszko sam oszczędzany trochę przez autora, dowiadujemy się, że w przedsięwzięciu swojém „był wspierany z Paryża“ *(von Paris her unterstützt)*; tak znów dowiadujemy się w innéni miejscu, „że było po bitwie Szczekocińskiej zamiarem króla pruskiego wziąć Pragę szturmem“, ale że mu w tém przedsięwzięciu leniwa akcya generałów rosyjskich przeszkodziła. Historyograf pruski nowego autoramentu nie wié więc, że przedmieście Warszawy Praga leży po prawym brzegu Wisły, na który się armia pruska w swéj kampanii przeciw Kościuszce nigdy nie dostała. Tak wreszcie dowiadujemy się, „że Suworow pobił wojsko Kościuszki“ pod Maciejowicami, kiedy owym zwycięzcą był Fersen, a Suworow jeszcze daleko od teatru wojny pod Warszawą podczas bitwy Maciejowickiéj. Owa nieznośna mieszanina jakichś idealno - moralnych afektacyi z najdowolniejszemi fałszami historycznemi ciągnie się nieprzerwanie daléj. A więc znów niezadowolnienie autora z rezultatów trzeciego podziału Polski, w którym „zła wiara koalicyi austryacko-rosyjskiéj przeciw Prusom, pozbawiła te ostatnie „ich dobrego prawa“ zyskania działu równego nabytkom polskim obu innych podziałowych mocarstw. Pretensya zaś ta pruska była naturalnie tém słuszniejsza, że Prusy spełniały przez zabór ów cywilizacyjne zadanie kultury niemieckiéj na wschodzie, kiedy Austrya i Rosya powodowały się jedynie tylko zamiarami zaborczemi. Ztąd też tłómaczy autor jako rzecz bardzo naturalną i słuszną ze strony Prus porzucenie koalicyi przeciw Francyi i zawarcie w 1795 partykularnego pokoju bazylejskiego. Następnie zaś nie powiada autor ani jednego słowa o strasznéj gospodarce Goldbecka i Hoyma w Prusach Południowych, o ich marnotrawieniu grosza publicznego, o ich grzesznéni rozdawnictwie różnym, najnikczemniejszym figurom, faworytom ministrów i podstępnym intrygantom, ale za to rzuca między innemi taki np. frazes, „iż Warszawa pod panowaniem pruskiém przybrała z zadziwiającą szybkością charakter niemieckiego miasta.“ Słowem, traci autor, wręcz przeciwnie od mitologicznego Anteusza, równowagę i zdrowy rozsądek, ile się razy dotknie tylko polskiego gruntu. Ile razy go zaś opuści, staje się dlań jedyną busolą w pływaniu po „rozbujałych fluktach“ hyperpatryotycznego *ex officio* nurtu, obowiązkowy entuzyazm dla każdego, jakiejbądź wartości czynu i przedsięwzięcia pruskiego.

Mimo to wyznaje jednak autor w pewnym ustępie swego dzieła niezadowolnienie z tych Prus, jakie się wytworzyły z trze-

ciego podziału Polski, ponieważ nie zyskały przez to dobréj granicy strategicznéj, nie dość zaś na tém, przejęły w swój organizm zbyt wiele żywiołu słowiańskiego. Jedyny to zarzut, który autor wytacza polskiéj polityce Fryderyka Wilhelma II, nie mając żadnéj nie tylko już nagany, ale nawet uwagi dla obłudnéj i podstępnéj akcyi, która gabinet berliński najprostszą drogą od traktatu przymierza z 29 marca 1790 r. z Polską zaprowadziła do inwazyi w styczniu 1793 r. Płytszego pod względem wiedzy historycznéj, poziomszego moralnie elaboratu nie zdołała doprawdy wyprowadzić na jaw historyografia niemiecka.

Tendencyjna owa bezkrytyczność rozciąga się i na politykę Fryderyka Wilhelma II względem Francyi. Nie było dotąd historyka niemieckiego, któryby z dozą mniéj lub więcéj stanowczo odzywającego się oburzenia, nie spoglądał na odstępstwo Prus w owéj wojnie przeciw Francyi przez partykularny traktat bazylejski. Serwilizm pruski p. Treitschkego posuwa się tak daleko, że nie uważa za rzecz potrzebną z podobną tezą historyografii niemieckiéj rozprawić się poważnie i że zapisuje fakt traktatu bazylejskiego bez poddania go choćby najlżejszéj krytyce.

Przejście rządów z Fryderyka Wilhelma II na jego syna, nie wywiera szczególnego wpływu na stanowisko i metodę historyczną autora. Jeżeli nie znajdował ani jednego słowa nagany dla niemoralnéj polityki i sybarytyzmu dworu Fryderyka Wilhelma II, powoduje się względem osoby i rządów jego następcy bezwzględném bałwochwalstwem. Na szczęście powiedzieli inni a prawdziwi historycy niemieccy o Fryderyku Wilhelmie III to, czego o nim nie powiedzieć nie można. Człowiek stworzony na poczciwego mieszczanina berlińskiego, na zacnego ojca rodziny, o ile temu predykatowi nie sprzeciwiały się od czasu do czasu liczne miłostki, wychodzi w opowiadaniu oficyalnego historyografa pruskiego na głęboko myślącego, daleko widzącego męża stanu, któremu zbywa na jednym tylko przymiocie, na łatwości wysłowienia. Wyidealizowawszy w ten sposób następcę Fryderyka Wilhelma II na wielkiego człowieka, kreśli autor charakterystykę rządów i ludzi, którzy tém, co robią, są choćby nawet według p. Treitschkego żywem zaprzeczeniem tego, co o wielkości Fryderyka Wilhelma III powiada. Mianowicie nie poświadczają owéj wielkości nowego monarchy pruskiego ani upadek armii, ani odgraniczenie celne jednych prowincyi monarchii od drugich, ani upadający stan administracyi wewnętrznej, ani wreszcie otoczenie królewskie. Radcy gabinetowi Mencken, Beyme i Lombard, adjutanci Zastrow i Köckritz nie upamiętnili się zbyt dodatnio w dziejach owéj epoki, a jeżeli autor

zapisuje przymus szkolny, niektóre reformy w dziedzinie handlu, rolnictwa i przemysłu w rzędzie zbawiennych czy zbawczych wypadków, jest to odkryciem, którego pierwotność jemu się należy. Co może w charakterystyce téj epoki dziejów pruskich rzeczą najlepszą, to obraz literatury i kultury współczesnéj niemieckiéj. Charakterystyki Steina, Fichtego, Jana Müllera są świetne pod względem stylistycznym; niekiedy nawet mogłyby być prawdziwe, gdyby tendencyjność, posuwająca się do ostatecznego zbytku, i na tém neutralném polu przedmiotowości opowiadania nie zatruwała. Co także szczegół zasługujący z owej epoki w dziele autora na uwagę, to do pewnego stopnia podziw dla osoby i akcyi Napoleona, tak długo naturalnie, dopóki polityka jego nie wchodzi w zatarg z interesem pruskim i dopóki faktyczny władca Francyi dopomaga Prusom do wykrawania sobie tłustych kąsków z ciała wspólnéj, wielkiéj ojczyzny niemieckiéj. „Bonaparte“ nie jest wcale w opowianiu autora owym przedmiotem nienawiści, owym kamieniem obrazy, dopóki powodzenia jego znaczą się traktatami w Campo Formio, Amiens i Lunewillu. Co więcéj, nie może nawet p. Treitschke, mimo wszelkiego swego szowinizmu niemieckiego, zaprzeczyć, że kraje niemieckie po lewym brzegu Renu, które się dostały pod panowanie Francyi, były ze związku z nią szczerze zadowolnione. Równocześnie zaś, kiedy l u d y Niemiec nie stroniły wcale od połączenia z Francyą, kiedy pierwszy konsul zdobywał sobie zręczném postępowaniem ich życzliwość, oblegał rój książąt niemieckich przedpokoje, nietylko już Bonapartego, ale nawet Talleyranda i różnych generałów czy ministrów francuskich, byle tylko na ich dobrym humorze i drogo czasem okupywanej życzliwości wytargować dla siebie jaki szmat ziemi i dochodów po sekularyzowanych państewkach duchownych. Z tej też to epoki datują się berlińskie poselstwa Siéyesa i Duroca, z tej listy Bonapartego do Fryderyka Wilhelma III, pełne przyjaźni dla Prus samych i ich monarchy. Prusy z owej epoki przedstawiają zbyt ubogie politycznie i moralnie widowisko, aby módz pod piórem jakiegobądź historyka wyjść na przedmiot entuzyastycznego patryotyzmu niemieckiego. Autor czuje to sam mimowolnie, mimo szczupłego zapasu historycznej wiedzy, którą rozporządza. Nie chcąc jednakże idealizowanéj przez siebie kreacyi choćby nawet tylko najściślejszą prawdą historyczną ubliżyć, usiłuje winę bezczynności i pokory Prus wobec Francyi zwalić na Aleksandra I i grę, jaką pod jego zasłaniającą protekcyą ks. Adam Czartoryski praktykował w interesie przywrócenia Polski. Jeżeli zaś przy téj sposobności nazywa Francuzów *„die französischen Barbaren“*, jest to już śmieszną „li-

cencyą“, która nie uchodzi, nietylko historykowi, ale któraby źle wyglądała nawet w ustach poety. Epitet podobny dany Francuzowi owej epoki ma tém mniej sensu, że Francuzi Chateaubrianda, Cheniera, pani Staël z pewnością barbarzyńcami nie byli a własna godność powinnaby powstrzymywać od darzenia tego rodzaju zelżywością tych, którym wówczas książęta niemieccy, nie wyjmując Prus, w natarczywy sposób schlebiali.

O historycznéj wiedzy i ścisłości w obrazie owéj epoki, nie ma ze strony autora wcale mowy. Nie zna lub nie chce znać licznych publikacyi bądź to niemieckich, bądź francuskich, które dzieje tego czasu do ostatnich rozświeciły głębin, ale które naturalnie nie dostarczają materyału do idealizowania Prus, jako przewodniej potęgi niemieckiej. W takich razach ma jednakże autor jeden stereotypowy środek, aby się usunąć od obowiązku wypowiadania przykréj dla jego tezy prawdy historycznéj. Przestaje traktować dział dziejów politycznych, daje, wyraziwszy się pospolicie, nurka i roztacza przed oczami czytelnika obraz współczesnej literatury wśród mnogich przytoczeń wierszowanych. Schiller i Goethe są bez wątpienia wdzięczniejszym tematem od sztuk polityki Lombardów i Lucchesinich a dzięki podobnej metodzie, prześlizguje się autor szczęśliwie wskroś wojny austryackiéj r. 1805, wskroś przysiąg u trumny Fryderyka II, wskroś zelżywości wyrządzanych Prusom ze strony Napoleona, do daty roku 1806 i wojny przypieczętowanej klęską Jeneńską. Klęska ta jest przedmiotem poświęconym choćby nawet przez najoficyalniejszą historyografią pruską najbezwzględniejszéj prawdzie historycznéj, nietyle może przez cześć dla téj prawdy, ile raczéj przez chęć wystawienia dla tego tém świetniejszego pomnika sławy regeneracyjnéj akcyi Prus i odwetowi lat 1813, 14 i 15. Z tego naturalnego bardzo powodu nie osłania i p. Treitschke Jeneńskiéj klęski, ale mści się za nią z jednéj strony z zapałem zwykłym u renegatów, na swéj ojczyźnie Saksonii, z drugiej na Polakach. Elektorowi saskiemu nie może darować, że nie poświęcał się za Prusy, kiedy Prusy opuściły się i opuściły same. Polakom przypina, z powodu ich powstania przeciw Prusom, za wkroczenie Napoleona, obelżywy epitet „wiarołomnych Polaków“, *der traulosen Polen;* utworzenie Księstwa Warszawskiego przejmuje go istną zgrozą, jako akt najwyższéj krzywdy wyrządzony Prusom, jako czyn nieprzebaczonego przeciw nim występku ze strony Rosyi. Szczegóły wojny r. 1806 i 7 opowiedziane następnie nie zawierają wiele nowego i nie świadczą też wcale o jakichbądź głębszych studyach autora pod tym względem. Dzieła Haüssera a choćby nawet tylko Schlossera są nieró-

wnie w téj materyi ściślejsze i pełniejsze. Coby może tylko (rzecz znana zresztą z pamiętników Hardenberga, wydanych przez Rankego) zasługiwało na przypomnienie z dziejów politycznych téj wojny, a czego i autor nie pomija, to, że w głowie Antoniego ks. Radziwiłła zaświtała naówczas jako myśl zbawcza w interesie pruskiém formować osobną armią polską, ogłosić Fryderyka Wilhelma III królem polskim i odwrócić myśl restauracyi Polski, jako broń przeciw Napoleonowi. Sam król pruski nie był podobnemu projektowi tak zupełnie przeciwnym. Powzięty jednakże za późno, rozbił się równie o zwycięstwa Napoleona, jak o ogólną nieufność społeczeństwa polskiego. Autor sam zresztą zadowolniony szczerze w interesie pruskim, że pomysł ten, przekształcający najzupełniéj dotychczasową naturę monarchii pruskiéj, do skutku nie przyszedł. Że zresztą Napoleon myślał w swym czasie bardzo na seryo o restauracyi Polski, najlepszym dowodem, że zaproponował Austryi zamianę Galicyi na Szląsk, ale że gabinet wiedeński tę propozycyę odrzucił.

Wśród podobnych szczegółów dobija autor do faktu pokoju tylżyckiego, następnie do epoki noszącéj w historyografii niemieckiéj techniczną nazwę r e g e n e r a c y i P r u s. Zatrudniają go téż głównie dwie postacie Hardenberga i Steina, a charakterystyka ich, o ile nie jest zeszpecona „szowinizmem“ niemieckim, należy do szczęśliwszych ustępów Treitschkowego dzieła. Jeśli p i e r w s z y reprezentuje rutynowanego dyplomatę i oficyalnego męża stanu, któremu przecież nie są obcemi ani uczucia patryotyzmu pruskiego, ani świadomość obowiązku ich restauracyi ze stanu teraźniejszego upadku, — jest d r u g i śmiałym, rewolucyjnym, można powiedzieć, reformatorem, który zapożyczywszy się mocno u rewolucyi francuskiéj, dąży śmiałemi krokami do zastosowania jéj politycznych, ekonomicznych, administracyjnych i społecznych zdobytków na przyszły organizm państwa pruskiego. Powołany we wrześniu 1807 r. do Memla, gdzie właśnie król przebywał, rozpoczął wśród strasznéj ruiny kraju, wśród najzupełniejszéj dezorganizacyi wszelkich państwowych stosunków, dzieło reorganizacyi, która mając ogarnąć całą budowę państwa, rozpoczęła się od reformy stosunków włościańskich. Edykt z 9 października 1807 r. uświęcił nareszcie swobodę osobistą włościanina i swobodę jego własności ziemskiej. Przy téj sposobności zapisuje autor ciekawy szczegół, który właśnie pod j e g o piórem nabiera tém większéj wiarogodności i tém większego znaczenia. Autor powiada, że p r z y g o t o w y w a n o wprawdzie w otoczeniu królewskiém reformę stosunków włościańskich, ale że dzieło w y k o n a n i a jéj

byłoby się mocno przewlokło, gdyby nie odebrana z Księstwa Warszawskiego wiadomość, że tamże noszą się z podobną myślą (urzeczywistnioną, jak wiadomo, dekretem króla saskiego Fryderyka Augusta, kontrasygnowanym przez ministra sekretarza stanu Stanisława Brezę z 21 grudnia 1807 r.). Wobec téj wiadomości, zależało niezmiernie otoczeniu króla pruskiego, Steinowi, Hardenbergowi, Schönowi, Staegemanowi, Klewitzowi, na tém, aby w takiém emancypacyjném dziele nie być wyprzedzonymi przez prawodawstwo polskie, a tak przyszedł do skutku pamiętny w dziejach wewnętrznych Prus edykt z 9 października 1807 r. Fakt ten jest zarazem najlepszą odpowiedzią na samochwalstwa pruskie w sprawie „emancypacyi polskiego chłopa z pod samowoli szlacheckiej".

Dodać należy, że co się tyczy szlachty niemieckiéj w Prusach, ta nawet, według niepodejrzanego zapewnie świadectwa p. Treitschkego, aktu emancypacyi włościańskiéj ze strony rządu wcale sympatycznie nie przyjęła a że opozycya jéj przeciw spełnionéj reformie odzywała się z wielką energią, mianowicie w saméjże Marchii Brandeburskiéj. Zresztą była owa emancypacya włościan, jak i zkądinąd wiadomo, a pod którym to względem autor nic nowego nie powiada, — pierwszym czynem na drodze podjętéj reformy. Następnym jéj aktem było ogłoszenie ordynacyi miejskiéj, daléj reforma armii pod wpływem i za wskazówkami Scharnhorsta, osobiście zaprzyjaźnionego z królem. Dalszym tego kierunku czynem była reforma oświaty publicznéj, któréj kierownictwo powierzono Wilhelmowi Humboldtowi, a któréj najpiękniejszym w owéj epoce pomnikiem pozostanie późniejsze utworzenie uniwersytetu berlińskiego.

Dziwnym nieco w dziele autora pozostanie pojawem, że gorsząc się spiskami i zamachami pośród innych społeczeństw, w podobnych pozostających warunkach, uważa nie tylko *Tugendbund* za stowarzyszenie wszelkiego uznania godne, ale, co więcéj, że uniewinnia wszelkie inne spiski i zamachy, jakie knowano naówczas w Niemczech na życie Napoleona. Był to, według autora, naturalny rezultat naprężonéj sytuacyi, roznamiętnienia, które znajdując podobny wyraz pośród młodzieży, miało poważniejszy a nierównie donioślejszego wpływu na naród w ludziach, jakiemi byli Blücher, Schleiermacher, Fichte, Jahn, Arndt, osobistości różnych stanowisk, różnych zatrudnień, różnych temperamentów, połączone jedném tylko, wspólném uczuciem miłości ojczyzny. Dla gburostwa i towarzyskiéj pospolitości, jakiemi się w téj plejadzie odznaczali czy to słynny turner Jahn, czy autor nie mniéj słynnéj pieśni *Was ist des Deutschen Vaterland?* Maurycy

Arndt, znajduje autor niezrównane, godne wiecznéj pamięci uniewinnienie. *„Der Germane ist ohnehin geneigt Grobheit und Wahrhaftigkeit zu werwechseln"* (Niemiec jest wogóle skłonnym brać grubiaństwo za szczerość). Brzmi to ironicznie a jednakże nie ma, według intencyi autora, być niczém innémi, aniżeli pochwałą téj cechy charakteru germańskiego.

Po takiéj pochwale, oddanéj podobnie charakterystycznéj stronie społeczeństwa niemieckiego, możnaby przypuszczać, że autor będzie się starał skreślić nie inaczéj od swych poprzedników Schlossera i Haüssera silnemi, wyrazistemi pociągami pióra historyą organizacyi pruskiéj. Nadaremno jednakże wyczekiwalibyśmy po autorze podobnego spełnienia swego zadania. Zrzucając z siebie niewygodny obowiązek, wplata autor w opowiadanie swoje znów obraz współczesnéj literatury niemieckiéj, który sam przez się mógłby być niezłym, gdyby się nie czuło i nie widziało mimowolnie, że to wybieg, *un expedient*, jakby Francuz powiedział, ku uwolnieniu się od konieczności przedstawienia obrazu politycznéj poważnéj treści. Konieczność tę czy potrzebę zastępuje autor zamaszystemi deklamacyami o skalistych brzegach i zielonéj wodzie Renu, o braciach Grimmach i Eichhornie, o Goethem i o Henryku Kleiscie, wśród przytoczeń dosłownych z różnych poetów niemieckich, wśród retorycznych wykrzykników, które ze strony krytyków nie mających czy nie umiejących nic lepszego do powiedzenia o dziele p. Treitschkego, zdobyły mu to przynajmniéj uznanie, iż jest pisane *„mit patriotischer Wärme."* Polityka pruska owéj epoki zajmuje mocno podrzędne stanowisko w opowiadaniu autora a zajmowałaby może jeszcze mniejsze, gdyby nie dostarczała niekiedy paliwa do owego „patryotycznego ciepła." Znajdzie się więc bądź to westchnienie bądź przekleństwo dla materyalnego ucisku, pod którym wskutek pobytu Francuzów i kontrybucyi wojennéj kraj pruski stękał, znajdzie się gniew na Napoleona o zjazd erfurtski r. 1808, ale ani jedno słowo uwagi o Wielandzie i Goethem przyjmujących legią honorową z rąk Napoleona; znajdą się wreszcie słowa entuzyazmu dla powstańców hiszpańskich i oburzenie na Austryą z powodu podjętych o ustąpienie Szląska układów. Nie szukajmy jednakże w owéj mozajce spokojnie, normalnie, racyonalnie i przedmiotowo rozwijającego się obrazu społeczeństwa niemieckiego, które je użyzniło moralnie i przygotowało do późniejszego dzieła odwetowego.

Wspomniawszy epizodycznie o odwiedzinach króla pruskiego i małżonki jego w 1809 w Petersburgu, poświęca autor krótką wzmiankę wojnie austryackiéj z tegoż samego roku. Oficyalny historyograf nie ma zbyt entuzyastycznego uznania dla sprawy, która

dotąd zwykła była zajmować i rozgrzewać innych historyków niemieckich téj epoki, dla sprawy Schilla i księcia Brunświckiego. Oficyalizm pruski nie uczęstniczył w niéj, znalazł się nawet w konieczności potępienia tych, co przedwcześnie i bez upoważnienia rządowego wybuch spowodowali. Również nie zajmuje sama wojna austryacka z r. 1809 zbyt wielkiego miejsca. Co najwięcéj, oburza się autor poniżeniem dworu wiedeńskiego przez wydanie Maryi Ludwiki za Napoleona, oburza się nie mniéj gromkiém wystąpieniem władcy Francyi przeciw Steinowi, o którego usunienie z przewodnictwa w gabinecie pruskim postarał się podobnie, jak np. za naszych dni rząd niemiecki o usunięcie generała Boulangera z ministerstwa wojny we Francyi. Co przynajmniéj dla Prus wobec podobnie smutnéj konieczności było nie zaprzeczoną korzyścią, to że następstwo po nim objął Hardenberg, wierny zwolennik jego reformistycznych pomysłów. Dzieło zaś przeprowadzenia owéj reformy nie było wcale łatwém. Najprzód objawiała się, co i p. Treitschke najwyraźniéj przyznaje, opozycya szlachty przeciw ustępstwom na rzecz stanu włościańskiego. Opozycya ta doszła mianowicie w r. 1811, głownie w Prusach Wschodnich i w Nowéj Marchii swego zenitu i to do tego stopnia, że Hardenberg, jako mąż kierujący nawą państwa, znalazł się w konieczności posłać co głośniejszych oponentów, jak panów Marwitza i Finkensteina na pokutę do twierdzy Szpandawskiéj. Następnie była nieprzestannym dla kraju ciężarem kontrybucya wojenna francuska, w któréj okazała się zbawczą pomocą pożyczka holenderska. Jak wiadomo z wydanych przez Rankego przed kilku laty „Pamiętników Hardenberga,“ miał główną zasługę w zapośredniczeniu téj pożyczki brat Napoleona, ówczesny król holenderski Ludwik. Wydawca „Pamiętników Hardenberga“ wyraża się z tego powodu z pewną wdzięcznością o dobréj woli i życzliwości króla holenderskiego. P. Treitschke pomija milczeniem sam fakt, którego nie znać nie może. Nie inaczéj obchodzi się z osobą Hieronima króla Westfalskiego. Nie gorszy z pewnością od p. Treitschkego patryota niemiecki, Schlosser, ocenia w sympatyczny sposób tego lekkomyślnego, lubiącego rozkosze życia, ale obdarzonego najlepszém sercem i osłaniającego w krytycznych razach poddanych swych młodego człowieka. Treitschke robi zeń prześladowcę swych poddanych, jakąś czarną, złowrogą postać, z którąby się prawda historyczna nigdy nie zgodziła. W ogóle, jeżeli Prusy uczuły się dotkniętemi i upokorzonemi panowaniem Francuzów, jeżeli przygotowywały odwet, nie można tego powiedzićć o reszcie, Niemiec a prawda to tém więcéj zasługująca na uznanie, że przyznana choćby nawet przez Treitschkego. Bawarya, Wirtembergia, Sa-

ksonia, Badeńskie nie czuły się wcale niechętnemi dla panowania francuskiego; przeciwnie pociągała je osobistość Napoleona, liga Reńska znajdowała w ich władzcach, co więcéj w ich mieszkańcach, wzorowych zwolenników, tak że rozpoczęcie kampanii przeciw Rosyi nie zapowiadało bynajmniéj, aby niemieccy Francyi sprzymierzeńcy szli na tę olbrzymią wojnę w roli przymuszonych. O przymierzu Prus z Napoleonem przeciw Rosyi, o udziale Prusaków w téj wojnie nie dowiadujemy się nic nowego z dzieła p. Treitschkego. Inni téjże saméj epoki historycy, między innymi Haüsser, Beitzke, umieli opowiedzieć ten epizod nierównie lepiéj, ciekawiéj i dokładniéj. Tak np. skoro już mowa o udziale mocarstw i wojsk niemieckich w wojnie przeciw Rosyi, należałoby się słusznie spodziewać, że autor opowié kampanią inflancką posiłkowego korpusu pod dowództwem generała Grawerta, że równolegle skreśli kampanią wołyńską Schwarzenberga, poleską Reyniera dowodzącego Sasami. Szukajmy nadaremno tego wszystkiego w dziele Treitschkego, który opowiedziawszy wśród dość pospolitych wyzwisk i wycieczek przeciw Napoleonowi najwięcéj znane, najpowszechniéj wiadome rzeczy o bitwie Borodyńskiéj, o spaleniu Moskwy, o odwrocie Napoleona i jego klęskach, przystępuje od razu do opisu konwencyi w Tawrogach między generałem pruskim Yorkiem i generałem rosyjskim Dybiczem, konwencyi, która, jak wiadomo, postanawiała zawieszenie broni między korpusem wojsk pruskich a armią rosyjską, która nadto neutralizowała Prusy Wschodnie.

Z tą to chwilą rozpoczyna się powoli dzieło odwetu pruskiego przeciw długo zwycięskiemu Napoleonowi, ale szukajmy i tutaj nadaremno, prócz ogólników o zapale patryotycznym „pruskiego“ ludu, prócz deklamacyl przeciw klęsce panowania obcego, cokolwiek bądź faktycznie nowego, czego byśmy oddawna nie wiedzieli lepiéj i dokładniéj skądinąd. Przeciwnie, powiedzielibyśmy, że gdyby p. Treitschke był pierwszym i jedynym téj pamiętnéj w dziejach Niemiec epoki historykiem, nie mógłby czytelnik powziąć o niéj jasnego wyobrażenia, dzięki zamazywaniu faktycznéj strony wypadków przez ustawiczne i nużące przytaczania wierszy różnych poetów i gadaniny mające być ultrapatryotycznemi. Winniśmy jednak stwierdzić, że nie wiadomo nam dla czego, czy aby być oryginalnym, czy aby usprawiedliwić i uzasadnić *„de longue main“* różne późniejsze wypadki w dziejach monarchii pruskiéj, autor uważa za rzecz stosowną zająć wręcz odmienne od wszystkich dotychczasowych téj epoki niemieckich historyków stanowisko względem Rosyi i Austryi. Dążnością dotychczasowéj historyografii niemieckiéj było rozkoszować się owym wyrosłym późniéj w święte przymierze

aliansem trzech północnych mocarstw, które według używanéj powszechnie dykcyi „oswobodziły Europę od ciężaru francuskiego jarzma.“ Oficyalny historyograf pruski zajmuje inne stanowisko. Cesarz Aleksander, pominąwszy, iż jest monarchą państwa niekoniecznie sympatycznego autorowi, jest mu nadto jeszcze mniéj sympatycznym z powodu swych planów co do Polski. Wobec kogo jednakże nienawiść jego nie nakłada sobie żadnego wędzidła, to wobec Austryi, wszystkiego i wszystkich mających z nią związek. Mniejsza, że przyzwoitość historyograficzna pozwala autorowi nazywać Maryą Ludwikę, małżonkę Napoleona „nikczemną kobietą“ *(das elende Weib)*, nie ma autor dość jaskrawych barw, nie znajduje dość obelżywych wyrazów dla poniżenia Metternicha, dla skarykaturowania jego charakteru i zdolności, dla wystawienia na wzgardę i pośmiewisko samego cesarza Franciszka. W charakterystyce jego, nie ogranicza się autor na szarpaniu charakteru, moralnéj wartości i inteligencyi, ale co więcéj, znęca się nad zewnętrznością fizyczną i nazywa cesarza Austryi „człowiekiem gruszkowéj twarzy (*Der Mann mit dem Birnengesicht)*“. Otóż to stanowisko, z jakiego autor zapatruje się na żywioły ówczesnéj koalicyi a jakie odbiera mu naturalnie możność, wszelką równowagę i pogodę sądu historycznego.

Powtarzalibyśmy się, tylko zaznaczając tu, że autor i w opowiadaniu epopei r. 1813, epoki tak zwanych „wojen o wolność niemiecką“ *deutscher Freiheitskrieg*, jest pod względem faktycznym, nierównie uboższym od wszystkich swych poprzedników. Powstanie ludu niemieckiego przeciw uciskowi francuskiemu wywołuje wprawdzie z jego strony także objawy zdawkowego entuzyazmu, mnóstwo dosłownych przytoczeń z najrozmaitszych utworów Kleista, Schenkendorffa i Körnera, jeszcze więcéj przekleństw na Napoleona i Francuzów, obelg przeciw cesarzowi Franciszkowi i Metternichowi, ale na tém wszystkiém nie zyskują nic ani opis bitwy pod Dreznem czy pod Lipskiem, ani obraz dyplomatycznych, tyle interesujących rokowań, które znalazły tak dokładnych sprawozdawców w historykach poprzednich, jak w Haüsserze i Onckenie. Co niekiedy przynajmniéj w opowiadaniu tyle namiętném, tyle gorączkowém, tyle wstrętném faktów, tyle skłonném do szumnéj deklamacyi, jest uwagi godném, to mimowolne wyrywy prawdy, świadczące, że nie całe Niemcy uważały owo panowanie Francuzów za tak straszną plagę a że mianowicie ludność Hessyi elektoralnéj witała z wielkiemi nawet obawami powrót rządów swego dawnego władcy.˙ Rzadkie jednakże bardzo tego rodzaju ustępy ciekawéj a nie zawsze z ogólném stanowiskiem autora zgodnéj prawdy historycznéj. Główny prąd jego opowiadania o kampanii

lat 1814 i 15 toczy się wśród powtarzania powszechnie znanych rzeczy aż do wzięcia Paryża przez sprzymierzonych. Co najwięcéj, ale i to rzecz nie nowa podług historycznéj metody autora, znajdujemy i tutaj obelgi na niewdzięcznych i podstępnych sprzymierzeńców, na Rosyą, Anglią i Austryą, na niegodziwość Metternicha, księcia Schwarzenberga i cesarza Franciszka, których skryta i nieprzyjazna zmowa pozbawiły Prusy korzyści, jakie im dzielność ich oręża, męstwo i powodzenia Blücherów, Gneisenauów, Yorków i Bülowów wywalczyły. Co bowiem w całém tém opowiadaniu rzeczą dodatkowo jeszcze i osobno ciekawą, to że regulatorem wszystkich czynów, ruchów, obrotów i ruchów koalicyi jest, według autora, a przynajmniéj powinien być jedynie tylko interes p r u s k i. Wobec tego naczelnego względu winny milczéć wszystkie inne. Jeżeli się zaś tak nie stało, uważa w tém autor nietylko grzech polityczny, ale nawet i ciężki grzech przeciw moralności publicznéj, dającéj prawo Prusom, czyli identyfikowanym z niemi przez autora Niemcom, uważania się za ciężko pokrzywdzonych. Ztąd to tłumaczyć sobie należy nienawiść autora przeciw Anglii i Holandyi, że nie pozwoliły Prusom rozszerzyć się w stronach dolnego Renu, przeciw Austryi i Rosyi, że nie dopuściły Prusom zabierać Strasburga i Alzacyi, przeciw Francyi, że była przedmiotem podobnego dobrodziejstwa, przeciw Rosyi, że nie darowała Prusom Warszawy i Królestwa Polskiego, jako słusznéj ich przynależności. Ztąd téż tłómaczmy sobie daléj apetyt autora na poddanie Napoleona wyrokowi jakiego sądu wojennego i skazania go na rozstrzelanie.

Łatwo pojąć, co za dziwolągi wybór podobnego stanowiska wywoła w ocenieniu kongresu wiedeńskiego. Czegoby tu wszystkiego chciał autor dla Prus i jaki gniew jego, że tego wszystkiego nie dostały! Powinny zaś były ku ukaraniu „*der treulosen Polen*“ dostać nie tylko Toruń, który istotnie dostały, ale Warszawę i Kraków, których nie dostały, mianowicie Kraków jako na odwiecznie niemiecką *Pflanzstätte.* Z tym apetytem na Warszawę i Kraków, z apetytem, którego niezaspokojenie wyrzuca autor głównie cesarzowi Aleksandrowi, Metternichowi i Talleyrandowi, łączy autor nie mniejszy apetyt na swój rodzinny kraj Saksonią. Podobnie, jak poprzednio w redagowanych przez siebie *Preussische Jahrbücher*, tak i w tém, co nazywa „Dziejami Niemiec w XIX wieku“, raczy autor dom panujący saski najobelżywszemi epitetami, mianem zdrajców ojczyzny niemieckiéj, znęca się na wstrętny sposób nad osadzonym naówczas w więzieniu Friedrichsfeldzkiém królu saskim. Chwali gubernatorstwo Repninowe w Saksonii, nie może się utulić w żalu, że bezpośrednia jego ojczyzna nie dostała

się już wtedy, cała i niepodzielna, pod panowanie pruskie. Jest to istotnie jeden z najwstrętniejszych, najobrzydliwszych ustępów tego i tak już nie zalecającego się żadnym dodatnim przymiotem dzieła, a gromy, że Saksonia nie dostała się, jak przecież było być powinno, pod panowanie pruskie, spadają znów obfitą miarą na Talleyranda, Meternicha i Castlereagha. Każdy czyn, spełniony we własnym interesie przez którebądź z mocarstw reprezentowanych na kongresie wiedeńskim, figuruje w dziele autora, jako równoczesna krzywda „dobrego prawa“ pruskiego a historyk, który miałby chęć windykować dla Prus połowę globu ziemskiego, ma czoło obwiniać biedną Bawaryą czy Wirtembergią o nienasyconą *Ländergier*, chciwość na nowe nabytki terytoryalne! Naturalnie nie może autor, zgorszony terytoryalném urządzeniem Europy na kongresie wiedeńskim, być zadowolnionym z nowéj organizacyi Niemiec, jaką zyskały w tak zwanym akcie związku niemieckiego 8 czerwca 1815. I pod tym naturalnie względem gniewy i żale, że Prusom nie dostała się już wówczas dyktatura nad Niemcami i że Austrya nie została z nich wyrzucona. Winien zaś i tego naturalnie znów nie kto inny, jak cesarz Franciszek „*mit dem Birnengesicht*“ i Metternich posługujący się wykrętami i podstępami przeciw umiejącéj walczyć samą tylko uczciwością i gołębią prostotą polityce pruskiéj.

W opowiadanie tych wypadków nie może naturalnie nie dostać się spowodowany powrotem Napoleona z wyspy Elby epizod kampanii roku 1815. Trzeba i tutaj sypać frazesami, o „świętéj walce Prus w obronie wolności europejskiéj.“ Nie przeszkadza to przecież, że choćby nawet historykowi miary i wartości p. Treitschkego nie jest rzeczą podobną ubić milczeniem wypadku, jaki się wydarzył w Liège, na klasycznym gruncie Belgii, wypadku, w którym ziomkowie autora właśnie złożyli przekonywający dowód, jak im przewaga pruska smakowała, w jak krwawéj upamiętniła się dla nich postaci. W Liège, gdzie sam Blücher miał główną kwaterę, stały na załodze pomieszane pułki pruskie i saskie. Sasi, których król znajdował się ciągle jeszcze jako pruski więzień na zamku Friedrichsfelde pod Berlinem, byli wystawieni na wszelkie możliwe brutalstwa ze strony pruskiéj, na wszelkie poniżenia godności ludzkiéj i żołnierskiéj. Nareszcie doszły rzeczy do owego krytycznego momentu, w którym dłuższa cierpliwość biednych Sasów stała się niepodobieństwem. Nastąpił z ich strony gwałtowny wybuch, tak groźny, że Blücher był zmuszony w szybkiéj ucieczce szukać swego ocalenia. Zemsta pruska była krwawa. Winnych podobnego występku przeciw dyscyplinie wojskowéj dziesiątkowano, karząc ich

rozstrzelaniem. Na bezbronnym królu saskim zemścił się Blücher bezprzykładnie grubiańskim listem, który p. Treitschke nieledwie jako akt bohaterstwa sławi. Takim to aktem rozpoczęła się ze strony pruskiéj kampania r. 1815, która niewiadomo dobrze dla czego, figuruje ciągle i nieprzestannie w nowoczesnéj historyi niemieckiéj, w książkach przeznaczonych dla użytku szkół jako ostatni akt „wojen wolności". Opisu szczegółów kampanii od bitwy pod Ligny, aż do ponownego zajęcia Paryża, nie mamy powodu powtarzać za autorem, tém mniéj, że p. Treitschke, pominąwszy patryotyczne klątwy przeciw Napoleonowi i Francuzom, pominąwszy entuzyastyczne wykrzyki na cześć Blüchera i Prusaków, jest w téj części swego opowiadania nieskończenie słabszym i mniéj dokładnym od całego zastępu historyków niemieckich, francuskich i angielskich téj kampanii. Za to nie od rzeczy położyć przycisk na obłudne jeremiady, które autor zanosi z powodu „dotkliwéj krzywdy", jaka spotkała ze strony dyplomacyi europejskiéj, w drugim pokoju paryskim z 20 listopada 1815 Prusy przez nieuwzględnienie ich zasług i politycznego interesu. Główne z tego powodu gromy padają na Rosyą i na cesarza Aleksandra, który w szlachetném oburzeniu przeciw wybrykom żołnierza pruskiego we Francyi i w zdrowém ocenieniu sytuacyi europejskiéj, występował z protestem przeciw uroszczeniom pruskim. Śmiesznemi i oburzającemi na przemian są „patryotyczne" wykrzykniki i żale autora z tego powodu. „Pruskie państwo", mówi „znalazło się w odosobnieniu. J e g o w o j s k o p o ś w i ę c i ł o s i ę b o h a t e r s k o z a w s p ó l n ą s p r a w ę n a s z é j c z ę ś c i z i e m i, a b y o s t a t e c z n i e d l a w ł a s n e g o k r a j u n i c n i e z y s k a ć". Do tego fałszerstwa dziejowego, znajdującego dotykalne zaprzeczenie choćby tylko w mapie geograficznéj monarchii pruskiéj przed i po r. 1815, dodaje autor jako zaszczyt tylko cesarzowi Aleksandrowi przynoszący, smutną dla wojska pruskiego prawdę odsłaniający zarzut: „Gdy Hardenberg 15 lipca (1815) do Paryża przybył, był natychmiast zmuszony słyszéć ze strony cara gwałtowne zarzuty z powodu rozpustnego zachowania się wojska pruskiego (we Francyi)".

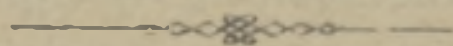
Co przy téj sposobności najlepsza, to że w zapale owego, mającego być patryotycznym zapału wszechpruskiego, wyrywają się autorowi mimowolnie wyznania prawdy, które świadczą najlepiéj, o ile jego pretensye, przeniesione w epokę r. 1815, odpowiadały potrzebom i życzeniom ówczesnego społeczeństwa. „Co zaś" mówi, „najgłębiéj dolegało to, że same stracone kraje niemieckie, którym chciano przynieść swobodę, nie posiadały się z radości nad dyplomatycznem powodzeniem zagranicy". Radość ta Alzacyi i Lota-

ryngii z pozostania w związku z Francyą, z uniknienia owéj swobody, jaką je już w r. 1815 pożądliwość pruska uraczyć chciała, nie jest wprawdzie nowiną dla nas, spoglądających na objawy miłości, jaką rządy pruskie „oswobodzonych z pod jarzma francuskiego braci“ darzą, na objawy wdzięczności, z jaką „oswobodzeni bracia“ swobodę swą przyjmują. Cokolwiekbądź, pozostanie charakterystycznémn ten mimowolny wyryw prawdy z ust szowinistycznego historyka.

Z przytoczonych ustępów i szczegółów widzimy mniéj więcéj, jakie stanowisko zajmuje autor w obrazie dziejów prusko-niemieckich do r. 1815, w obrazie stanowiącym właściwie wstęp do rzeczy głównéj, do charakterystyki owego rozwoju, który od stanu stworzonego traktatami wiedeńskiemi, zaprowadził Prusy do przystani wychodzącéj im na wyłączną korzyść jedności niemieckiéj. Do uzupełnienia obrazu epoki poprzedniéj, a raczéj do charakterystyki autora, trzebaby chyba dodać tylko wzmiankę o sposobie, w jaki się urzędowy historyograf pruski zapatruje na osobę i los Napoleona. Obcy przystępom ludzkości i przyzwoitości, nie pojmujący obowiązków winnych upadłéj wielkości, uważa kaźń Napoleona na wyspie Św. Heleny za zupełnie zasłużoną, postępowanie jego stróża, Hudsona Lowego za „może niekiedy pedanckie“, ale najzupełniéj odpowiednie położeniu rzeczy, zachowanie się zaś samego Napoleona za godne niefortunnego „oszusta czy złodzieja“ (*einers Gauners*). Taką to godną siebie zaiste uwagą i takim frazesem kończy autor wstęp do dziejów teraźniejszości niemieckiéj, by dalszy ciąg ich, od r. 1815, rozpocząć od kwasu przeciw rywalizującéj z Prusami Austryi.

Doszedłszy do téj daty w naszém sprawozdaniu winniśmy się znów zatrzymać nieco i zapisać kilka spostrzeżeń ogólnéj, zasadniczéj natury ku tém lepszemu zrozumieniu faktów i faktycznego stanowiska, jakie p. Treitschke uważa odtąd za rzecz stosowną zająć względem Prus, Austryi i wszelkich innych członków tak zwanego związku niemieckiego, reprezentującego całość, jeśli nie jedność niemiecką w epoce między 1815 a 1866.

(D. n.) *Kazimierz Jarochowski.*





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Charles Henry: Wroński et l'ésthetique musicale. Paryż 1887.

Wrońskim coraz więcéj zajmują się uczeni zagraniczni; dowód to, że w mesyanizmie jego znajduje się dużo cennych pomysłów naukowych. Miałem sposobność pisania już o tém w *Ateneum;* obecnie znów z okoliczności broszury, któréj tytuł podałem w nagłówku, wracam do tego przedmiotu i powtarzam, że w olbrzymiéj spuściźnie naukowéj Wrońskiego, obok spekulacyj czysto mesyanistycznych, które mogą być tylko cechą znamienną marzycielskiéj natury ich twórcy—znajduje się mnóstwo ważnych prac i pomysłów ze wszystkich niemal dziedzin wiedzy ludzkiéj, dotąd niespożytkowanych, a nam współziomkom zupełnie nieznanych.

W systemie swym zawarł Wroński i teoryą muzyki, pracy jego drukowanéj w tym przedmiocie, o ile wiem, nie ma, ale poglądy jego estetyczne w téj dziedzinie były znane kilku zbliżonym do niego artystom. Jednym z tych, którzy najbardziéj przejęli się nauką Wrońskiego, jest hr. Kamil Durutte, który w roku 1855 ogłosił pracę p..t. „*Technie ou les lois générales du système harmonique*“, napisaną dla użytku kompozytorów muzycznych. Praca ta nowością pomysłów zjednała sobie uznanie Gounoda. Tenże autor w r. 1876 ogłosił drugie dzieło p. t. „*Resumé élémentaire de la technie harmonique*“, oparte na tych samych zasadach, a więc na pomysłach Wrońskiego i przeznaczone już dla szerszego koła osób, mających wykształcenie muzykalne. Muzyk belgijski Croegaert pracuje również w kierunku, wskazanym przez Wrońskiego, w celu ujednostajnienia dyapazonu (*Mémoire sur l'unification du diapason.* Antwerpia 1885). Wreszcie Charles Henry, jeżeli się nie mylimy, bibliotekarz

Instytutu francuskiego, pracujący nad historyą i filozofią wiedzy ludzkiéj, ogłosił kilka rozpraw z dziedziny estetyki muzykalnéj, w któréj pomysły jego schodzą się, jak sam przyznaje, z pomysłami Wrońskiego.

Broszura: „*Wroński et l'éstethique musicale*“ zawiera przedruk listu Wrońskiego do Durutte'a, datowanego z Paryża w d. 3 stycznia 1850. W liście tym streszcza Wroński podstawy swojéj filozofii muzyki, którą, zarówno jak i filozofią każdéj innéj wiedzy i sztuki, wyprowadza ze swego *prawa tworzenia*, będącego kamieniem węgielnym „filozofii bezwzględnéj“ czyli mesyanizmu. Wszystkie prawa i teorye, to u Wrońskiego wynik dedukcyjny z tego najwyższego prawa wszechwiedzy; prowadzi do nauk nie zmudna praca doświadczenia, ale konsekwencya logiczna z prawa najwyższego. Kto jest w posiadaniu tego czarodziejskiego źródła, ten może z góry przewidziéć i wyliczyć wszystko, ten zna przeszłość i przyszłość, jeżeli kierować się będzie w swém dochodzeniu planem przenikającym prace Wrońskiego. Takie jest zdanie Wrońskiego o doniosłości jego filozofii, na które naturalnie nie możemy się pisać, wiedząc, że tylko drogą długiéj i ciężkiéj pracy pokoleń wzbijamy się na coraz wyższe stanowiska wiedzy. Nie lekceważymy przytém dedukcyi, a nawet pomysłów apriorystycznych, ale zawsze przykładamy do nich kryteryum zdobyte przez nagromadzone już doświadczenie. Nie można zaprzeczyć, że apriorystyczna budowa wiedzy może miéć wiele powabu dla filozofa, który czuje potęgę ducha ludzkiego w odtworzeniu i przewidywaniu procesów natury, ale ma i swoje niebezpieczeństwa, gdyż sprowadzić może umysł na manowce, wydając mu złudzenia za prawdę i rzeczywistość. Metoda taka byłaby bezwzględnie doskonałą, gdyby ludzkość była już na krańcach wiedzy, gdyby żadne doświadczenie nie mogło dać nic istotnie nowego, gdyby umysł ludzki był owym umysłem „Laplace'owskim“, dla którego ruch każdego atomu we wszechświecie w każdéj chwili może być znanym; ale w obecnym stanie wiedzy tak nie jest i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Stan wiedzy, pomyślany przez Wrońskiego, jest stanem idealnym, do którego co najwyżéj możemy się zbliżać asymptotycznie, bez nadziei osiągnięcia go; w każdym zaś faktycznym stanie wiedzy badanie i dochodzenie prawd odbywać się musi dwoma środkami: doświadczeniem i pracą dedukcyjną umysłu, wspomaganą przez wyobraźnią twórczą i opartą na wiedzy zdobytéj.

Możemy tylko w krótkości opowiedziéć tu, w jaki sposób „tworzy“ Wroński „filozofią muzyki“, t. j. wyprowadza ją z „prawa tworzenia.“ *Ton*, jako narzędzie materyalne sztuki muzycznéj, zawiera

w sobie właściwości fizyczne, stanowiące warunki fizyczne *smaku*, t. j. zdolności sądu estetycznego, a ten właśnie związek muzyki z warunkami logicznemi stanowi przedmiot muzyki jako *wiedzy*. Wiedza ta specyalna jest gałęzią estetyki ogólnéj, to jest wiedzy o pięknie i nazywa się *estetyką muzykalną*. Prawdziwym przedmiotem téj estetyki jest *rytm* drgań, a badanie wszystkich rodzajów rytmu wskaże wszystkie zjawiska muzykalne już znane i pozwoli przewidzieć nowe. Dedukcyi matematycznéj fenomenów muzykalnych próbowano już w głębokiéj starożytności (Pitagoras), ale próby te, ani nawet prace ścisłe nowszych uczonych Eulera, d'Alemberta, nie zdołały, zdaniem Wrońskiego, wyjaśnić wszystkich zjawisk muzykalnych. Przyczynę tego widzi Wroński w braku wszelkiego prawidła filozoficznego, w braku zasad podstawowych estetyki muzykalnéj, czyli, co na to samo wychodzi, w braku *idei architektonicznéj*, stanowiącéj określenie filozoficzne muzyki. Według określenia Wrońskiego, „muzyka należy do systemu realności zależnych od uczucia, a w szczególności do systemu, w którym ujawnia się celowość subiektywna tworzenia, stanowiąca *piękno*; piękno specyalne, polegające na prostéj *przyczynowości estetycznéj*, albo na ekspresyi uczuciowéj i ujawniające się *w ucieleśnieniu się inteligencyi w dźwiękach* — jest przedmiotem muzyki.“

Niechaj czytelnik zechce sobie łaskawie to określenie Wrońskiego przetłómaczyć na język zwykły; my pójdziemy daléj w celu znalezienia podstawy konstrukcyi naukowéj Wrońskiego. Otóż istotą tonu muzycznego są drgania równoczasowe (izochroniczne), a czas trwania drgania stanowi jakość estetyczną tonu. Związek *systematyczny* tonów określa się związkiem ich drgań, a nie zależy od bezwzględnéj szybkości drgań tonu zasadniczego. Ten ton *zasadniczy*, według twierdzenia Wrońskiego, musi w sobie zawierać wszystkie tony, jakie z nim razem do związku wchodzą, ma być skupieniem tych tonów, one jego rozwinięciem. Ton więc zasadniczy jest zbiorem tonów, stanowiących system tonów *harmonicznych*, a wyrażający się szeregiem liczb:

$$1, \frac{1}{2}, \frac{1}{3}, \frac{1}{4}, \frac{1}{5}, \frac{1}{6}, \frac{1}{7}, \dots,$$

z których pierwsza wyraża czas drgania, odpowiadający tonowi zasadniczemu, druga—oktawę, trzecia—duodecimę i t. d.

Istnienie tych tonów wespół z tonem zasadniczym wykazuje doświadczenie (badania Helmholtza), Wroński stawia powyższą teoryą czysto apriorystycznie, bo jak powiada, „gdyby cały system dźwięków nie był *a priori* zawarty w tonie zasadniczym, to nie byłoby rzeczą możliwą, by system ten mógł się wytworzyć, wyłonić

z tego tonu, bo nie istniałaby wtedy żadna podstawa, żadna zasada do tworzenia systemu tonów zależnych od tonu zasadniczego.“

Czy muzycy i badacze zechcą zgodzić się na podobny wywód apriorystyczny?

Istnienie powyższego szeregu tonów w tonie zasadniczym jest, według Wrońskiego, *koniecznością* estetyczną; a na téj konieczności opiera się cała *podstawa* umiejętna muzyki. Z powyższego szeregu przechodzi Wroński do zbudowania *skali* czyli *gamy* muzycznéj i należy przyznać, że jego konstrukcya, w któréj szczegóły wdawać się nie mogę, jest bardzo interesującą. Polega ona na badaniu przestanków pomiędzy tonami powyższego szeregu i doprowadza do prostych wzorów matematycznych, z których tony gamy z należytą dokładnością wyznaczyć się dają. Nie może się jednak w nich Wroński obejść bez wyniku doświadczenia i to, co we wzorach odpowiada doświadczeniu, nazywa on warunkami *antropologicznemi;* pozostałe dane wynikają z warunków *metafizycznych.*

Przy sposobności wspomnę, że w roku zeszłym p. Wł. Witkowski ogłosił w Warszawie pracę p. t. „Zasady matematyczne muzyki“, która do téj pory, o ile wiem, nie zwróciła na siebie uwagi żadnego z muzyków naszych. Nie będąc muzykiem, nie mogę ocenić wartości téj pracy i z wydaniem sądu o części matematycznéj powstrzymać się muszę. *S. Dickstein.*

= **Poezye J. I. Kraszewskiego** (Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1888, str. 342). — Zamiarem było zmarłego olbrzyma pracy wydać poezye swoje ponownie za życia; jeszcze w lutym 1883 roku oddał je do druku nakładcom lwowskim, obiecując uzupełnić dawniejsze edycye utworami umieszczonemi po rozmaitych czasopismach od r. 1842. Brak atoli tych wydawnictw pod ręką, oraz uwięzienie, które niebawem nastąpiło, zniewoliły go do powierzenia wydania p. W. Bełzie, który obecnie dopiéro z przyjętego obowiązku się wywiązał. Stosownie do życzenia Kraszewskiego, nie weszły do tego zbioru utwory dramatyczne, ani też epopeja z dziejów Litwy. Natomiast oprócz przedruku tych pieśni, rapsodów, fantazyi i bajek, jakie się znajdowały w 1-szym tomie dawniejszych dwu edycyi „Poezyi“, pomieszczono tu sielankę p. n. „Wioska“ i „Hymny boleści“, które-to utwory doczekały się tym sposobem trzeciego wydania; a nadto dodano od str. 290 do 342-éj 37 urywków, wyjętych albo z prozaicznych utworów Kraszewskiego, albo też z wydawnictw czasowych. I tak: przedrukowano z *Tygodnika Petersburskiego* głośny w swoim czasie wiersz „Do A. B. C. D. E. F. i t. d.“, w któ-

rym młody ale już wsławiony autor ostro krytykom odpowiedział; z powieści „Poeta i Świat“ dano tu zawarte tam poezye: „O mój aniele“, „Czyja mogiła“, „Do poety“; z fantazyi dramatycznéj „Szatan i kobieta“ wzięto zakończenie p. t. „Dusza kobiety“; ze „Staréj Baśni“—pieśń Jaruchy i pieśń Słowana. Daléj znajdujemy tu jedenaście wierszy albumowych albo okolicznościowych, interesujących głównie ze względów biograficznych, oraz kilka utworów dłuższych. Z pomiędzy nich zwrócimy tu uwagę na szereg luźnych „Pieśni, piosenek i piosneczek“, podpisanych 11 listopada 1844 r., w których obok tonu skargi na obojętność ludzi względem poezyi, spotykamy się i z usprawiedliwieniem świata, obok obrazków cichéj wioski i uwielbienia dla kobiét, narzekanie na ich zmienność; wogóle wszakże przeważa nuta melancholijna, podobnie jak w innym wierszu p. t. „Żale i Łzy“ z r. 1845 i „Mój Śmiech“ z r. 1852. Ładny jest urywek naśladowany z kantyczek p. t. „Co ptacy robią“ (z roku 1870), a jeszcze ładniejszy p. t. „Szopka“, mianowicie zaś pieśń trzecia, gdzie poeta opowiada, jak rozmaite ptastwo się zlatuje, by obchodzić narodzenie Pana nad Pany. Pod względem pięknego wyrażenia tęsknéj zadumy i melodyjności wiersza najlepszą jest podobno pieśń z r. 1878 do muzyki A. Zarzyckiego p. t. „Gdzie jest szczęście.“ — O wartości poezyi Kraszewskiego wogóle nie potrzebujemy się tu rozpisywać; oznaczana już ona była niejednokrotnie, a najszczegółowiéj w obszernym artykule p. Przesmyckiego, pomieszczonym w „Życiu“ z r. 1887. Jest ona niewątpliwie o wiele mniéj doniosłą, aniżeli wartość i znaczenie działalności powieściopisarskiéj naszego autora, pominiętą jednak lekceważąco być nie może. Dobrze się więc stało, że wyszły te poezye na nowo w wydaniu piękném co do papieru i druku, szkoda tylko, że nie wolném od dość licznych pomyłek. Wydawcy spełnili należycie, jak się sami wyrażają „akt pietyzmu“ względem pamięci znakomitego pisarza.

= **J. I. Kraszewski. Wizerunki książąt i królów polskich.** *Z 39 rycinami Ks. Pillati'ego oraz inicyałami Cz. Jankowskiego. Zeszyt I.* (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1888, str. 80). — Z bogatéj spuścizny literackiéj po niezmordowanym i zjawiskowo płodnym autorze zaczynają się już pojawiać dzieła, których przewidywany jest cały szereg. Rękopism „Wizerunków“ skończony był dnia 6-go marca 1883 roku, a zaznaczył je Kraszewski jako pracę podjętą jeszcze w r. 1860. Nie zamierzał nasz autor pisać historyi Polski, tylko wobec coraz wyraźniéj występującéj tendencyi przedstawiania w dziejach—głównie rozwoju mas z zatarciem osobistości jednostek, przedsięwziął właśnie uwydatnienie tych osobistości w sposób przystępny dla jaknajszerszych kół czytelniczych, z dołączeniem opisu portre-

tów czy wogóle rysunków, przedstawiających królów i książąt polskich. Za cel położył sobie Kraszewski dotarcie do rzeczywistości, odgadnięcie charakterów, wyświecenie pobudek czynów „z miłością dla przeszłości raczéj niż z bezmierną dla niéj surowością.“ O ile cel ten osiągnął, oceni krytyka po ukończeniu dzieła, którego dwa zeszyty mamy przed sobą. Mieści się tu 20 wizerunków, poczynając od Mieszka I do Ludwika Węgierskiego, skreślonych zazwyczaj krótko, żywo, ale bez subtelniejszego cieniowania. Niektóre tylko biografie, np. Kazimierza W. są szczegółowsze. Do każdego z tych wizerunków pisanych dołączony jest drzeworytniczy, przedstawiający u góry popiersie panującego, u dołu zaś jakąś scenę opowiedzianą w tekscie. Wydanie jest bardzo staranne, na pięknym papierze, a drukiem bardzo wyraźnym.

= **Józef Ignacy Kraszewski**, *zarys biograficzno-literacki, skreślił Piotr Chmielowski* (Kraków, Gebethner i S-ka, 1888, str. 534).—Skreślone tu zostało życie znakomitego powieściopisarza wraz z krótką oceną wszystkich dzieł jego zawsze w związku z ogólnym rozwojem literatury i stosunków społeczno-politycznych. Całość składa się z dziesięciu rozdziałów: 1) Wychowanie domowe i szkolne; 2) Wykształcenie uniwersyteckie, pobyt w Wilnie; 3) Osiedlenie się na wsi, dzierżawa w Omelnie; 4) Pobyt w Gródku; Kraszewski wobec zachowawców r. 1840 do 1845; 5) Pobyt w Gródku i Hubinie: Kraszewski wobec postępowców r. 1846—1850; 6) Pobyt w Hubinie i Żytomierzu. Czasy reakcyi r. 1851—1856; 7) Działalność publiczna Kraszewskiego na szerszą skalę w Żytomierzu i Warszawie r. 1857—1862; 8) Pobyt w Dreźnie; Działalność Kraszewskiego jako wychodźcy r. 1863—1872; 9) Pobyt w Dreźnie; całkowite oddanie się zajęciom literackim, r. 1873—1882; 10) Ostatnie lata życia, więzienie i śmierć, r. 1883—1887.

= **W sprawie komentarza rysunkowego do dzieł Adama Mickiewicza** *przez Konstantego Przeździeckiego* (Kraków, 1887, str. 11).—Autor zachęca „wszystkich posiadających wiadomości etnograficzne lub historyczne do epoki współczesnéj Mickiewiczowi“, ażeby rysowali każdy kącik ziemi, pałac, dworek, cele więzienną, stroje męskie i niewieście, mundury, sprzęty domowe, oręże, typy ludowe i szlacheckie, portrety znanych osobistości, słowem wszystkie przedmioty charakterystyczne, o których wspomniał nasz poeta. Oprócz tego domaga się objaśnień o gospodarstwie, myślistwie, wojskowości i wszelkich innych zajęciach wraz z przytoczeniem nazw właściwych co do pewnych szczegółów, które w innych stronach kraju odmiennie się mianują. Myśl jest bardzo dobra i godna najszerszego i najszczerszego poparcia, szkoda tylko że dość chaotycznie wy-

powiedziana, stylem wielce zaniedbanym, a co gorsza językiem niepoprawnym; trzebaż przypominać, że nie mówi się dzisiaj: „nie wątpimy w dobre chęci ogółu“ (str. 10, 11), bo to zwrot obcy?....

= **Filozofia Jana Kochanowskiego,** *szkic literacki skreślił Józef Kallenbach* (Kraków, 1888, str. 15). Tytuł téj rozprawki jest za obszerny, autor bowiem nie usiłował nawet przedstawiać wszystkich poglądów filozoficznych, jakie się w pismach Jana z Czarnolasu znajdują, lecz tylko starał się zebrać ślady wpływu pisarzów klasycznych na niektóre jego pojęcia filozoficzne. Z tego względu praca p. Kallenbacha zupełnie jest podobna do dwu poprzednich: o elegiach i odprawie posłów. Zadając sobie pytanie, czy Kochanowski pozostał spokojnym w chwili, gdy „w kraju całym roznosiły się echa walk różnowierczych, gdy był czas prawdziwego zamętu ducha“, autor nie podejmuje wcale i nie roztrząsa przypuszczenia p. Chlebowskiego o wczesném zajęciu się Jana ideami reformy, chociaż rozbiór taki byłby zupełnie na miejscu;—lecz nadmieniwszy tylko o pobycie Kochanowskiego w akademii krakowskiéj przystępuje zaraz do wykazywania wpływów, jakie nań wywarła filozofia starożytna podczas studyów we Włoszech. Zaczyna od Platona, twierdząc, że ślady jego nauki są dość obfite w utworach Jana, dowodów atoli przytacza zaledwie trzy: wyrażenie: „szczyra istność wiekuistéj myśli“, teoryą oddziaływania muzyki na ustrój spraw publicznych i myt o Androginie. Co do czworakiego podziału cnoty, p. Kallenbach nie pozwala sobie na sąd stanowczy, o ile z Platońskich wypływał teoryj. Natomiast jako żartobliwe rozstanie się ze „sny Platonowemi“ poczytuje poemacik „Broda“. Po Platonie zajął się, zdaniem p. Kall. Kochanowski Lukrecyuszem, „kiedy krewkość młodzieńcza igrała miłością ku Lidyi i szydziła z formalności kościoła.“ Takie twierdzenie wcale się nie zgadza ani z ogólnym charakterem, jaki wpływowi Lukrecyusza autor przypisuje, ani z chronologią. „Czarna nić zwątpienia, nuta posępna“ w pismach Kochanowskiego ma być echem poematu Rzymianina; a toż przecie nie jest wyrazem znamiennym tych czasów, kiedy Kochanowski pisał o swéj miłości do Lidyi. Najsilniejszy zaś dowód przejęcia się Lukrecyuszem znajduje autor w *Trenach*, w znanym wykrzyku zbolałéj piersi: Gdzieśkolwiek jest, *jeśliś jest*—a to przecież czasy bardzo odległe od chwili, gdy się kochał w Lidyi. To zaś, co autor mówi o przeciągłości wpływu Lukrecyuszowego, nie da się uzasadnić. Że Kochanowskl znał poemat Lukrecyusza, że z niego niejednokrotnie korzystał, to wykazał autor dostatecznie w dawniejszéj rozprawie swojéj, ale ani ta rozprawa ani wątlejsze dowody obecnie przytoczone nie dozwalają na wniosek, żeby nasz Jan od studyów włoskich aż do Trenów

miał hołdować teoryom epikurejczyka rzymskiego. Przeciwko temu świadczy treść wszystkich niemal utworów w tym przeciągu czasu powstałych. Dodajmy, że wyrażenie Kochanowskiego „człowiek... z płaczem na ten nędzny świat przychodzi“, odniesione przez autora do śladów wpływu Lukrecyusza, daleko słuszniéj nazwane być może parafrazą znanego powszechnie zdania z księgi Hioba.—Najlepszą i najbardziéj przekonywającą jest druga połowa rozprawy, uwydatniająca ślady oddziaływania pism Cycerona i Seneki nie tylko na myśli lecz i na sposób ich wyrażenia u Kochanowskiego. Lecz ogólna uwaga do tych śladów doprawiona o zgubnym wpływie „filozofii abnegacyjnéj“ na umysły polskie XVI wieku, o „domatorstwie szlacheckiém“, jakoby z niéj wypływającém, pojawia się tu niespodziewanie, jak przesadny wykrzyk wśród suchych, mozolnie odbywanych robót. Ostateczny wniosek, że Kochanowski był eklektykiem nie zadziwia, bo takie było o nim ogólne zdanie, ale zadziwia dodatek, że u poety naszego zwycięstwo odniosła idea chrześciańska dopiéro pod koniec życia, gdy wiadomo, że takim chrześcianinem, jak w „Trenach“, był już Kochanowski nawiele lat przedtém w „Satyrze“.

= Przypadłą w roku bieżącym trzechsetletnią rocznicę zaprowadzenia w kraju naszym **hypoteki** uświęciła redakcya „Kłosów“, ogłaszając w dwóch numerach (1179—1180) wiązankę artykułów, wyjaśniających znaczenie téj starodawnéj a doniosłéj instytucyi prawnéj. P. *Kazimierz Julian Jasiński* zaznajamia czytelnika z zasadami „Ustawy hypotecznéj z roku 1818.“ Pióro *D-ra Oswalda Balzera* tłómaczy nam charakter „Zastawu użytkowego jako poprzednika hypoteki w Polsce.“ P. *Adam Niemirowski* w artykule „Hypotekaryusze“ skreślił wspomnienie o pięciu zmarłych a dwóch żyjących prawnikach cywilistach. Czém była „Ustawa o ważności zapisów“ poucza nas p. *Władysław Andrychiewicz.* Ważną kwestyę nowych „opłat alienacyjnych“ podniósł p. *Adolf Suligowski* i roztrząsnął krytycznie dziwną praktykę niektórych wydziałów hypotecznych. Podznaczony literami *A. P.* autor artykułu „O czynnościach hypotecznych w dawnych grodach“ przedstawia starą manipulacyą kancelaryjną. Wreszcie w krótkiéj notatce: „Magistratury hypoteczne“, znalazła się wzmianka o ludziach, którzy brali udział w czynnościach urzędowych przy wprowadzeniu instytucyi hypotecznéj w r. 1819. Redakcya „Kłosów“ przyozdobiła numera pamiątkowe widokami ruin grodów Rawskiego i Bobrownickiego, pałacu Krasińskich, mieszczącego obecnie Izbę Sądową warszawską i dwóch gmachów przy ulicy Miodowéj, które różnemi czasy dawały przytułek archiwum hypotecznemu, oraz sylwetkami siedmiu prawników.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Co słychać w prasie? — Nieumiejętność prowadzenia publicznéj dysputy i przedsięwzięcia wspólnéj pracy. — Kwestyonaryusze w sprawie chłopskiéj, — Ankieta „Wieku". — List p. *K. Las.* — Zarzuty jego zrobione trzem nowelistom.—Rozwój rolnictwa. przemysłu i handlu wśród chłopów.—List z Suwalskiego.— Zestawienie Litwinów i Mazurów.— List trzeci.—Obrona reputacyi chłopów przez pasiecznika z gubernii kijowskiéj. —Wolna miłość i dzieci naturalne w prasie warszawskiéj.—Komu na co potrzebna polemika. — Czy słusznie złośliwość Prusa wystawiła kronikarza „Ateneum" na pośmiewisko ludzkie.— Zadowolenie z dysputy z szanownym fejletonistą.—Czy Comte jest już Ptolomeuszem?— Dwa postulaty Prusa: opinie uczonych wobec faktów i statystyka jako najlepszy instrument socyologii.

Od czasu do czasu zdarza się, że pewien przyjeżdżający z prowincyi kolega zapytuje mnie: co słychać w prasie, jaka kwestya stoi obecnie na porządku dziennym? Chociaż udział mój w dziennikarstwie warszawskiém jest bardzo mały, poczuwam się jednak do pewnéj z niém solidarności i pragnąłbym przedstawić je w jaknajpochlebniejszych barwach komuś, co przy ołtarzu nie stoi. Pytanie jest najzupełniéj słuszne i uzasadnione. Prasa jest przecie *forum publicum* i to jedyném *forum publicum* do radzenia nad naszą dolą i niedolą; jeżeli charakter ten traci, to jest tylko jako pachołek miejski, ogłaszający przy dźwiękach bębna o zgubach i licytacyach, i jako teatr Mały w Warszawie, służący jedynie płochéj rozrywce. Kiedy więc usłyszę powyższe pytanie kole_i wysilam głowę: któryby to odosobniony artykuł najłatwiéj było podnieść do godności kwestyi, będącéj na porządku dziennym.

Bo jakże tu powiedziéć tak wprost: my zwykle nad żadną sprawą nie radzimy dla tego, że niepotrafimy przyzwoicie i uczciwie rozmawiać publicznie. Zdarza się czasem, raz na lat parę, że ktoś, nieświadom dobrze stosunków miejscowych, podsunie uwadze ogólnéj jakąś kwestyę ważną, w któréj można by było coś postanowić, — wtedy biada mu! Tak było ze sprawą dewastacyi dóbr naprzykład. Śmiałek—sponiewierany; pismo, dające mu przytułek — wyklęte! Każda mniéj więcéj sprawa społeczna jest dla

jakiegoś stanu, dla jakiéjś koteryi, dla pisma zresztą lub nawet dla pojedyńczego publicysty świętą i nietykalną. Niewolno nic przyganić szlachcie ani żadnéj sprawie jéj dotyczącéj, niewolno odezwać się krytycznie o chłopach, niewolno wątpić o najwyższéj społecznéj doskonałości studentów, niewolno niewierzyć w przyszłość emancypacyi kobiet, niewolno płakać nad żadną klęską przeszłości— nie wolno, bo każda rzecz ma swego urzędowego niejako obrońcę, który wszelkie zdanie, niezgodne z własną doktryną, obwoła za bluźnierstwo, a przeciwnikowi podsunie najniepochlebniejsze intencye. Do tego dodać należy nasz miły charakter i powszechne rozdrażnienie, które w gryzieniu się, szyderstwie, napaściach ulgę znajdują. Trzeba widziéć minę publicysty, zadowoloną, dumną, kiedy „zjeździł" kolegę! Każdy, kto u nas podnieść się odważy jakąś sprawę publicznie, naraża się z prawdopodobieństwem $^{9}/_{10}$, że go spotka albo potwarz, oszczerstwo, obelga, albo—w najlepszym razie—wyśmianie przy pomocy przekręcenia i karykaturowania zdań jego. A więc myśl o stałéj wymianie poglądów i radzie wspólnéj, o debatach publicznych, któreby wszechstronnie oświecały publiczność i uczyły ją myśléć, jest złudną —myśmy do tego nie zdolni, celu się nie osiągnie, a za dobre chęci tylu spotkało już tak wiele przykrości, że nareszcie odpada ludziom ochota nastawiania zdrowéj głowy i honoru na szturchańce. Liczba téż gazet, starannie unikających spotkania z kolegami na jakiejkolwiek bądź ścieżce, ciągle się zwiększa.

Nigdy pono nie umieliśmy pracować porządnie zbiorowo; zapalczywość, bezwzględność i brak przyzwoitości wadę tę potęgują nieustannie, nie pozwalając siłom skupić się w jakiémkolwiek wspólném ognisku. Odbija się to we wszystkich przejawach działalności, ale najwidoczniejszém jest w dziennikarstwie. Dzięki temu, pisma pojedyńcze podejmować muszą zadania, które dla całéj nawet prasy stanowiłyby jeszcze trudność nielada. Często, coraz częściéj podnoszoną jest przez ludzi najrozmaitszych klas i przekonań potrzeba badań nad stanem ludu. Ten i ów przystępował do zrealizowania planów, ale zawsze prawie odbywało się to na koszt i odpowiedzialność jednego pisma lub jednego człowieka. Naturalnie, Ś-go Gotarda jedna łopata nie przekopie, więc téż jesteśmy jeszcze ciągle i długo będziemy jeszcze w fazie przekonywania się o potrzebie, o czém mniéj więcéj wszyscy są przekonani, w fazie zabierania się do pracy i utyskiwania, że tak długo nic nie zrobiliśmy. Przed laty wielu mówiono o ułożeniu kwestyonaryusza odpowiedniego; myśl tę popierał zacny i dzielny Filip Sulimierski; późniéj ktoś nawet ułożył kwestyonaryusz, można było tu i ówdzie napotkać o nim wzmiankę, ale dostatecznego poparcia

nie znalazł, nie był ani rozesłany szerokim kołom przy pismach ani przedrukowany nawet. Półtora roku temu nowopowstający „Głos“ ułożył kwestyonaryusz dla opisu gminy i nawet ogłosił konkurs na najlepsze wypełnienie takowego; na początku już nikt tego gorąco do serca nie wziął, a teraz głucho zupełnie o całéj sprawie. Następnie „Gazeta Świąteczna“ zażądała znowu od czytelników swoich wskazówek i danych jak się chłopi żywią. To jedno wywołało żywsze i prawie powszechne poparcie, ale przykładem na razie się nie stało i wszystko podobno odbyło się ostatecznie, jak zwykle, w parafii jednego pisma. Obecnie ankietę w sprawie chłopskiéj rozpoczął „Wiek“.

Zdaje się, że na samym początku bieżącego roku (daty dokładnie nie pomnę) wystąpił w piśmie tém p. Chrzanowski z artykułem w „Obronie włościan“, podnosząc pracowitość, gospodarność i zapobiegliwość chłopów pewnéj okolicy. Redakcya skorzystała ze sposobności i zwróciła się z prośbą do czytelników, aby dostarczyli wiadomości o bycie, charakterze i gospodarstwie włościan z różnych okolic kraju. Prośba odniosła — jak samo pismo oznajmia — skutek nadspodziewanie dobry. Do teki redakcyjnéj napływa coraz więcéj materyałów, które mają z czasem, gdy zostaną skompletowane, posłużyć za podstawę do odmalowania pełnego obrazu życia, pracy, zalet i wad chłopa polskiego „Wiek“ upewnia, że obraz ten będzie dokładny i rzeczywisty, bo w każdym najmniéjszym nawet szczególe kreślony z natury. Redakcya zwraca uwagę, że korespondenci jéj rekrutują się głównie ze sfery ziemiańskiéj, a nadesłane wiadomości pisane są przeważnie w sposób sympatyczny dla ludu i przedstawiają chłopów w świetle dodatniém.

Z pomiędzy kilku drukowanych już w „Wieku“ listów, trzy mianowicie zasługują na poznanie i uwagę. Pierwszy znajduje się w Nr. 26, podpisał go p. K. Las. O ile sądzić mogę, jest tam duża znajomość rzeczy, szkoda tylko, że autor nie powiedział, które okolice nam przedstawia i do jakich prowincyj ściśle stosują się jego wywody. List rozpoczyna się od zarzutu, wystosowanego do powieści na tle ludowém, iż zawierają zamało prawdy życiowéj. Szczegółowemi uwagami opatrzone zostały utwory pp. Dygasińskiego, Prusa i pani Konopnickiéj. Według p. K. Las. największą znajomość ludu spotkać można w nowellach p. Dygasińskiego, najmniejszą u pani Konopnickiéj. Autor listu żałuje, że pierwszy nie zakreślił swym obrazkom szerszéj miary, że zbyt jednostronnie podpatruje lud i widzi go jedynie „przy misce“, skutkiem czego czytelnik wyrobić sobie może fałszywy sąd o życiu, obyczajach,

zdolnościach i pragnieniach kmiecia. Prusowi również zarzuca p. Las. jednostronność i pewną idealizacyą, która ostatecznie szkodzi opinii chłopa, negując najbardziéj dodatnie przymioty ludu: rezygnacyą, z jaką przyjmuje najdotkliwsze ciosy, nieopuszczanie rąk w najkrytyczniejszém położeniu.

Autor listu wypowiedział także w dalszym ciągu zdanie swoje o parcelacyi majątków obywatelskich pomiędzy chłopów. Nie sądzi on, aby zanik większéj własności przynieść mógł korzyść rolnictwu krajowemu. Nadmierna kolonizacya stałaby się niezawodnie przyczyną moralnego i materyalnego upadku gospodarki krajowéj, obniżyłaby poziom umysłowy, cofnęłaby postęp nawet téj klasy, która dzisiaj, mając przed oczyma przykład, może go choć w pewnym stopniu naśladować. Ale zarzut, stawiany włościaninowi, że wyjałowia ziemię, uważa p. Las. za bezzasadny. Podstawą gospodarstwa rolnego jest i będzie jeszcze na długo mierzwa. Kto jéj więcéj produkuje, tém samém gospodaruje lepiéj. Mała własność, więcéj stosunkowo trzymając inwentarza, korzystając ze ściołek leśnych, co dla wielu większych majątków jest niedostępném, więcéj tém samém przysposabia na potrzeby swego obszaru materyałów użyźniających, pomijając nawet to, że nawozy nagromadzone po zajazdach i domach gościnnych małych miasteczek, chętnych i jedynych niemal nabywców znajdują w okolicznych włościanach. Wadliwość mechanicznéj uprawy wynagradza włościanin pracą rąk własnych, któréj zupełnie nie szanuje, jest to bezsprzecznie nieekonomiczne postępowanie, ale uszczerbku w płodności roli nie przynosi.

Następnie potrąca autor o sprawę przemysłu i handlu wśród chłopów. W niektórych miejscowościach dzieje się pod tym względem bardzo pomyślnie: w powiatach Olkuskim i Będzińskim, jak również w wielu okolicach gubernii kaliskiéj całe wioski trudnią się handlem trzody i gęsi; w lesistych okolicach gubernii lubelskiéj i siedleckiéj każda nieomal wioska przyswoiła sobie pewien przemysł, specyalnie uprawiany przez wszystkich jéj mieszkańców, są miejscowości zamieszkałe przez samych bednarzy, stelmachów, sitarzy (Biłgoraj), w wielu stronach bogatsi włościanie zakładają fabryki na małą skalę: w sandomierskiém — wiatraki, w okolicach Proszowic — olejarnie, około Wolbroma i Skały — krupiarnie. Obok tego jednak znaleść można całe powiaty pogrążone w zupełném odrętwieniu, a główną przyczyną takiego smutnego zjawiska jest brak porady, przykładu i zachęty. Autor twierdzi, że wszędzie niemal znalazłby się odpowiedni rodzaj przemysłu, któryby zużytkował pracę wioski i z małym lub żadnym nakładem stałby się źródłem dochodu.

W końcu p. K. Las. opowiada przykłady czynów szlachetnych w sferze chłopskiéj, przyczém poleca ofiarności publicznéj Wojciechową Wicińską z gminy Nagłowic, powiatu Jędrzejowskiego, która, utrzymując się z pracy rąk własnych, wychowała syna kalekę, otaczając go najtkliwszą macierzyńską czułością. Syn ten, głuchoniemy, ma połamane i wykrzywione ręce, wszystkie członki zupełnie bezwładne, szczęki nawet tak wadliwe, że matka karmić musi sama nieszczęśliwego i to z wielką trudnością. W ten sposób Wicińska poświęcała się dla spełnienia obowiązku przez lat *trzydzieści*! Redakcya „Wieku" przyrzekła pośrednictwo pomiędzy ofiarnością ogółu i udzieleniem pomocy zacnéj kobiecie. My również odzywamy się do serc czytelników naszych. Takie ciche a wytrwałe poświęcanie się, jeśli tylko można, bez nagrody przejść nie powinno. Uznanie, współudział i hołd ludzi odległych i nieznanych przyczynić się może do rozrostu cnoty.

W nrze 27 znajduje się korespondencya z gubernii suwalskiéj w któréj przeprowadzoną została niejako paralela pomiędzy sąsiadującymi z sobą chłopami *litwinami* i „*mazurami*". Litwini zajmują powiaty: Władysławowski, Wiłkowyszkowski, Maryampolski, większą część powiatu Kalwaryjskiego oraz część powiatów Sejneńskiego i Suwalskiego, reszta gubernii zasiedlona jest przez mazurów.

Osady włościańskie w powiatach, zamieszkałych przez litwinów, z małymi bardzo wyjątkami, urządzone są kolonialnie, mazury zaś dotąd mieszkają w gromadach wioskowych. Szczególnym dobrobytem odznaczają się litwini w powiatach: Wiłkowyszkowskim Maryampolskim i Władysławowskim, oraz w części powiatu Kalwaryjskiego, bo mają bardzo dobre grunta, a gospodarstwa kolonialne są daleko praktyczniejsze i bardziéj korzystne niż gospodarstwa w gromadach wioskowych. Litwini mają bardzo ładne wygodne i obszerne zabudowania, chowają piękny inwentarz, hodują konie, i biorą za nie po 200, 300, a nawet po 500 rs. Znaczna część kolonistów oddaje swoich synów do szkółek parafialnych i do gimnazyum w Maryampolu i Suwałkach; a ci po skończeniu kilku klas wychodzą na księży lub urzędników, albo téż wracają do domu, wkładają siermięgi i pracują około roli. Do ostatnich czasów, to jest do początków kryzysu rolnego każdy z włościan posiadał pewne zapasy pieniężne. Oszczędni i pracowici dokupywali gruntów, a nawet brali się do kupna folwarków; tylko ci, którzy nie mieli własnych pieniędzy na uiszczenie całości szacunku, płacąc znaczne procenty, potracili i tę trochę, co mieli dawniéj.

Włościanie, posiadający po 3 lub 4 kolonie w jednym kawale, urządzają je na sposób folwarczny; sami jeżdżą bryczkami na reso-

rach, ubierają się lepiéj, szczególniéj młodsza generacya, a kobiety stroją się nawet w aksamity i jedwabie. W mieszkaniach mają meble; u wielu z nich znajdują się samowary, gości często winem traktują; niektórzy dają córkom po tysiąc i po parę tysięcy rubli posagu.

Wogóle—powiada autor—jest to naród zdrowy, czerstwy i pracowity i bardzo niewielu oddaje się nałogowi pijaństwa, a i to w ostatnich latach bardzo się zmniejszyło.

Mieszkając w bliskości dworów przypatrują się wprowadzonym tam ulepszeniom, aby podobne u siebie urządzić—to téż gospodarstwo w ich koloniach nie pozostawia nic do życzenia.

Niekorzystnie na byt włościan oddziałało prawo, dozwalające rozdrobniać gospodarstwa na części do 6-ciu morgów, czego dawniéj niewolno było. Przy działach familijnych gospodarstwa kolonialne i zabudowane już z ogrodami owocowymi dzielą się na cząstki, rozpadają się na coraz to mniejsze osady tak nieraz małe (6—15 morgów), że nie wystarczają na wyżywienie rodziny. Z krytycznego położenia takich małorolnych włościan korzystają zręczni przekupnie lub nawet sąsiedzi i odkupują osady, skutkiem czego tworzy się proletaryat. Przy większéj liczbie sukcesorów, gdy na każdego nawet 6 morgów nie przypada. sprzedają całe osady na licytacyi i tym sposobem praca wieloletnia spadkodawcy dostaje się zwykle obcemu, który, przy niskich obecnych cenach zboża, nabywa ziemię za bezcen.

Moralny charakter włościan-litwinów jest dobry, z małymi wyjątkami są to ludzie uczciwi. Stosunki z sąsiednimi dworami są pomyślne. Wogóle—twierdzi autor—kto chce zobaczyć porządnych włościan, niech przyjedzie do wymienionych powiatów.

Mazury mają się pod każdym względem gorzéj, o zamożności takiéj, jak u litwinów mowy być nie może.

Stan materyalny ich polepszyć może—według autora—tylko kolonialne urządzenie gruntów, bo dziś, przy gospodarstwie w sznurach i wspólnych patwiskach na ugorach, niepodobna myśléć nawet o płodozmianie i umierzwianiu gruntów, gdyż sznury ciągną się zwykle na długość 2-ch wiorst—i nawóz trudno tak daleko wywozić i zboże z pola w czasie zbiorów ściągać. Działy familijne sznur coraz bardziéj zwężają, aż nareszcie niepodobna go uprawić, a o hodowli bydła i koni niema już co mówić. W ostatnich czasach zauważyć się daje między mazurami większa troskliwość o uprawę gruntów: z dalszych nawet miast zakupują nawóz, rozrzucają go pod żyto, gdy dawniéj nawozili tylko pod kartofle.

Trzeci list, drukowany w 38-rze „Wieku“ nie zawiera danych żadnych, lecz ciekawy jest ze względu na autora, którym jest p. Jędrzej Średniowski, pasiecznik w dobrach Piotrówka u pani Zofii Rogozińskiéj, w gub. Kijowskiéj. Autor powiada, że „akademią“ jego była szkółka ludowa, ale widocznie późniéj sam się dużo uczył bez szkoły, bo z listu jego przegląda duża inteligencya, a nawet erudycya—cytuje Supińskiego. Jest to więc chłop wyjątkowy, ale że bezpośrednich stosunków ze stanem swoim nie zerwał, więc bardzo interesującą jest rzeczą posłuchać głosu jego, tembardziéj, że odpiera on ogólnikowe zarzuty, stawiane chłopom: okrucieństwa, pijaństwa, nieposzanowania cudzéj własności, lekkomyślnego wyrzekania się obyczajów itd. Nie żąda on zupełnego niedotykania wad chłopskich, ale wzywa do zachowania miary.

„Wszyscy przyznają—rozumuje p. S.—że człowiek jest stworzeniem towarzyskiém. Owóż chłopu za teatr, koncerta, kluby, podróże, gazety, książki itp. przyjemności służy karczma, gdzie znajduje jedyną rozrywkę i zarazem pokusę—wódkę, podsuwaną ręką chytrego szynkarza. Ale, jeżeli nie będziemy sądzili z pozorów, lecz przypatrzymy się bliżéj i zważymy, że we wsi żyją setki chłopów, a pan jeden,—zatém, chcąc sądzić bezstronnie, weźmy równą ilość ludzi, tak panów jak włościan, a podobno nie tak źle wyjdziemy z tego porównania.“ „Chłop pijany dla tego wala się w błocie, że, nie mając trunku w domu, musi iść do karczmy, zkąd go nie ma komu odwieść lub odprowadzić do domu.“

„Niewiele ludzi jest tak nikczemnych, ażeby, będąc w dostatku, pozwalającym na dogodne życie, kradli. Mało znowu ludzi tak dobrych, ażeby umierali z głodu i nie ruszyli cudzego. Otóż z tego wynika, że ludzie, żyjący w nędzy, prędzéj sięgną po cudzą własność, niż ludzie zamożni. Nie jest to wada chłopów, ale wogóle ludzi.“

„Daléj bierzecie nam panowie za złe, lekkomyślne—jak się wam zdaje—zarzucanie odzieży i obyczajów, ale gdybyście wiedzieli, ile to upokorzeń znosić trzeba w téj odzieży od każdego niemal biurokraty, kupca, mieszczanina, nawet żyda (pewnego, bardzo szanownego literata wyproszono z drugorzędnéj restauracyi w Warszawie dla tego tylko, że przyszedł tam z siermiężnym chłopem. *Przyp. kronikarza*). Mówię to z własnego a przykrego doświadczenia. Ażeby nie znosić tych upokorzeń, trzeba przebrać się za pana i wyrzec się zwyczajów. Co prawda, pod tym względem i panowie nie są bez winy, bo oddawna zarzucili śliczny strój narodowy, dla potwornych niemieckich fraków.“

Pasiecznik doskonale kwestyą postawił. W zapalczywości przeciwko chłopom, lub w gorącém uniesieniu miłości, gotowiśmy ich traktować jak odrębny gatunek zoologiczny. Jak powstało hasło: poznać chłopa, tak o mało, że nie robimy wypraw w tym celu z takiém usposobieniem jak do środkowéj Afryki, lub badań jak nad budową planety Marsa. W podręcznikach zoologii i w starém Tirocinium łacińskiem można się dowiedzieć, że wilk jest żarłoczny, lew szlachetny, lis chytry, zając trwożliwy. Podobnie bezwzględnemi określeniami starają się zwykle etnografowie dziennikarscy wyrazić naturę chłopa. Pomimo, że mowa o milionach ludzi, rozrzuconych na obszerném terytoryum, w różnych warunkach, różnéj zamożności, decyduje się ogólnie: złodzieje, albo przewrotni, pijacy, oszczędni, bogobojni. Naturalnie wśród milionów wszelacy znaleść się muszą. Bodaj, czy się kiedykolwiek okaże, że chłop polski jest czémś tak odrębném w rodzaju ludzkim, jak to jest uważaném przez wielu, — czy ma jakieś cechy sobie tylko właściwe. Są mniéj mądrzy od kandydatów praw lub matematyki, bo się mniéj uczyli; piją prostą wódkę, bo nie mają na wino; jaśnieją poczciwą prostotą, bo życie i praca koło roli nie mogły ich do niczego innego wprawić.

Pozwolę sobie jeszcze zrobić parę uwag co do sposobu zbierania danych o stanie ludu. Takie luźne korespondencye bez planu, jak te, któreśmy dotąd czytali, nigdy pewnego, ścisłego materyału do badań nie dadzą. Luźne uwagi i sądy muszą koniecznie być zmącone subiektywnemi złudzeniami, przesadą, pesymizmem lub optymizmem. Słowa wzięte ze słownika codziennego nie mają twardego sensu symbolów matematycznych, są giętkie i dwu ludzi może im dać dwa różne znaczenia. Przymiotnik oszczędny, trzeźwy, porządny może oznaczać najzupełniéj różne stany, nie mówiąc już o takich określeniach, jak „stosunek do dworu jest pomyślny.“ Ton korespondencyi, a więc i sens jéj będzie różny w różnych usposobieniach duszy i serca autora. Prawda będzie podmalowana na szaro lub na różowo odpowiednio do poglądów informatora, do tego, jak on uważa za właściwe poinformować opinię o sprawie chłopskiéj itd. Względów, obniżających wartość ciekawego pomimo to materyału, przez „Wiek“ zebranego, jest bardzo wiele. Najlepsze intencye pisma i korespondentów nie zaradzą temu. Czy więc dla zamiarów redakcyi nie było odpowiedniejszém ułożyć kwestonaryusz i żądać cyfr i danych faktycznych? To ujednostajniłoby wiadomości i uczyniło by je bardziéj przedmiotowemi. Dotychczas każdy prawie korespondent zaczepił o co innego, poznaliśmy więc różne strony życia w każdéj okolicy, co bardzo utrudni odmalowanie pełnego obrazu.

Wracam jeszcze do początku, t. j. do spraw wspólnie omawianych przez prasę. W ostatnich czasach zdarzył się wypadek bardzo charakterystyczny i godny zaciągnięcia do kroniki naszego życia publicznego, gdyż doskonale wykazał, jak my umiemy rozmawiać o rzeczach zasadniczych, które, jako takie, nikogo osobiście drażnić nie powinny. Prus — jak to wiadomo czytelnikom „Ateneum“ — wystąpił w jednéj ze swoich „Kronik tygodniowych“ przeciwko opinii publicznéj, rzekomo niesprawiedliwéj i dzikiéj względem związków nieprawych i dzieci naturalnych. Zdanie jego wywołało żywą polemikę, odezwało się kilka, a może nawet kilkanaście pism, ci i owi traktowali rzecz, nie tykając osób, broniąc i uzasadniając swoje zdanie, wedle sił i odpowiednio do poglądów. Wszystko niby dobrze, ale zaraz przy téj sposobności „Rola“ zelżyła Prusa, a obok tego znalazły się pisma, co skorzystały ze sposobności, aby ukłuć niemiłe sobie osoby imiennie i bezimiennie; znalazł się nawet ktoś, co ludzi, mówiących wyłącznie o sprawie, posądził o intrygi przeciwko Prusowi, o jakieś czarne machinacye w niewiadomym celu. Nikt tych panów nie zaczepiał, nie drażnił, nie wciągał do polemiki—uniemożliwiającéj dysputę przez miłość dla sztuki. No i pisać tu potém o sprawach publicznych. Gdyby nie było to smutne, toby było śmieszne, gdy się widzi kapłanów opinii, którzy zdanie swoje takie lub inne zależném czynią od tego, kto utrzymuje o danéj kwestyi to, a kto owo: lubiony czy nielubiony.

Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że i ja wziąłem udział w sporze o społeczne znaczenie wolnéj miłości i dzieci naturalnych. Wskutek tego Prus „przejechał się“ po mnie w kronice 43 numeru „Kurjera Codziennego.“ Przez trzy szpalty byłem ofiarą bardzo dotkliwego pastwienia się dowcipnego fejletonisty. Mówię to bez pretensyi żadnéj. Miałem już czas zahartować się na wszelkie urągania. Mili koledzy tyle już dokonali wiwisekcyi na czci mojéj, honorze, dobrém imieniu, przekonaniach i intencyach politycznych, że kolące, ale nieubliżające w niczém „besztanko“ Prusa jest, stosunkowo biorąc, poprostu miłą ochłodą. Żaden grzech przeciwko uczciwości polemicznéj popełniony nie był, ale czy porównanie osoby mojéj do *feldfebla*, a 250-ciu wierszy „Kroniki“ do 250 wiorst piasczystéj drogi było potrzebne przy omawianiu „jednéj z najważniejszych spraw społecznych“? Taka metoda ośmieszania bliźniego i stawiania go publicznie na tydzień, lub chociażby na dzień jeden, pod pręgierz szyderstwa, jest czasami bardzo skuteczna, i zawsze podoba się czytelnikom, ale, zmierzając ku rozdrażnieniu przeciwnika, uniemożliwia zwykle dyskusyę. Ogół zapomina o co chodziło, a pamięta tylko o dowcipie; przez tydzień, co najmniéj,

wszyscy (w Warszawie wszyscy „Kurjera“ czytają) znajomi witali mnie wyjątkami z „Kroniki“ Prusa: był tam i Comte i Ptolemeusz, i „zjełczała erudycya“ i „młode a już suche pojęcia moje“, i „socyologiczność“ *à la* „idzie luty, włóż ciepłe buty“: o co zaś chodziło, o sprawie związków wolnych nikt już nie pamiętał. Przytém może publiczne wyrzucanie mi, i to w formie takiéj urągliwéj, nieudolności dziennikarskiéj, nie było zupełnie sprawiedliwe. Brak talentu nikogo nie krzywdzi i nikomu wyrzucanym być nie powinien, chyba, że ten ktoś nie wié o tém i pnie się za wysoko; ja zaś nikomu zdolniejszemu miejsca nigdy nie zajmowałem. Złośliwym każdy być potrafi, skuteczniéj lub mniéj skutecznie; złośliwość łatwiéj wymyślić niż zbudować argument, przykro mi więc było, że do niéj się uciekł szanowny autor „Placówki.“

Pomijając ból od pokłucia, „Kronika“ Prusa sprawiła mi wielkie zadowolenie. Każdy literat i każdy zresztą działacz publiczny, słuchający wciąż pochwał lub nagan, przyzwyczajony, że o nim mówią, skłonny jest do przeceniania swego wpływu i do zarozumiałości. Nie chcąc się uważać za usuniętego z pod praw ogólnych, bliski jestem przypuszczenia, że się łudzę, ale mi się wydało, iż mój głos jeśli nie przekonał Prusa, to go w każdym razie zmusił do pewnych ustępstw. Najprzód, zamiast argumentować, ośmieszał mnie: tak robią zawsze ludzie zirytowani w sporze, czując, że racyi nie mają. Prócz tego Prus wyraźnie stanął w drugiéj swojéj kronice w innym stosunku do omawianéj sprawy niż w pierwszéj. W 22 numerze Prus powiada, że legalne i nielegalne związki są wśród innych spraw społecznych „drugorzędne“, w nr. 43 w odpowiedzi nazywa już te związki „jedną z najważniejszych“ kwestyi społecznych. W 22 numerze mówiło się: „rozwój cywilizacyi i uspołecznienia nie cierpi na dzieciach nieprawych i związkach nielegalnych“, a z 43 dowiadujemy się już, iż mała ilość dzieci nieprawych może „dowodzić moralności“ danego miasta. Ja mówiłem, że przyczyną związków nielegalnych nie są złe czasy, lecz rozpusta mężczyzn i że cierpi tu głównie „wątła, mniéj zdolna do zarobkowania matka“, że w wolnéj miłości „strona słabsza bywa zawsze skrzywdzoną.“ Prus w odpowiedzi powtarza toż samo, tylko energiczniéj i wymowniéj (*nb.* dzięki temu, że szanowny fejletonista przekonywał mnie o tém, co ja pierwéj podniosłem, wiele kobiét, co kroniki w „Ateneum“ nie czytało, potępiło mnie za barbarzyństwo i nielitościwość). Nareszcie w złośliwéj odpowiedzi znajduje się taki ustęp: „Mam honor oświadczyć mu (t. j. mnie), że kwestya związku pomiędzy mężczyzną i kobiétą w każdéj części świata, a nawet w każdém plemieniu ludzkiém rozstrzyga się inaczéj; w saméj zaś

Europie stanowi bardzo ciężkie pytanie dla statystyki, socyologii, pedagogiki, medycyny, a nawet dramatu, powieści i poezyi.“ Właściwie mówiąc, to ja wprzód podałem wiadomość o zmienności form rodziny, tylko ponieważ faktu tego ani odkryłem, ani nie sprawdzałem sam, więc honor oświadczenia zostawiłem Le Playowi, którego zacytowałem. Może Prus zrobiłby lepiéj, gdyby poszedł w tym razie za moim przykładem, gdyż formułując sam znany ten fakt, mocno owe nierozstrzygnięcie przesadził.

W 22 nr. pytał Prus o przyczynę wątłości dzieci nieprawych *lekarza*, w 43-cim każe mi o téj kwestyi poinformować się u *socyologa Bordiera.* W 22 nr. *socyolog* oznajmił, iż ilość małżeństw zmniejsza się z powodu złych czasów, z 43 dowiaduję się, że jeżeli zechcę coś się o tém nauczyć, powinienem zwrócić się do... *dojrzałego* kawalera (widocznie złośliwy przycinek, skierowany do tak niewinnéj rzeczy, jak wiek mój). Udzielenie tak poważnego adresu nie przeszkodziło późniéj Prusowi drwić ze spóźnionych przepisów mojéj socyologii i trzymania się maksym takich, jak owa przytoczona już wyżéj o „lutym i butach.“

Kwestyi związków legalnych i dzieci nieprawych nie poruszę już, ale muszę sprostować błędną jedną informacyę Prusa i, korzystając ze sposobności, omówić dwa postulaty, postawione przez szanownego fejletonistę w odpowiedzi.

Sprostowanie. Dla uspokojenia mnie — jak było powiedziane, to znaczy dla tém większego zgnębienia — Prus oznajmił, że poglądy Comte'a, na którego się powołałem, „dla dzisiejszéj socyologii są już tak stare, jak system Ptolemeusza dla dzisiejszéj astronomii.“ Innemi słowy, „pozytywizm“, w ścisłém słowa tego znaczeniu, został przez naukę (więc przez dowodzenie) obalony i nikt się dziś go nie trzyma — system Ptolemeusza nie ma ani jednego wyznawcy. Comte umarł w roku 1857, — do końca życia pisał i wydawał dzieła; dziwna, że kiedy w naukach ścisłych systematy wieki trwają, tutaj w gałęzi o wiele trudniejszéj dla istotnego postępu, tak szybko nastąpiło pogrzebanie nauki mistrza, któremu nawet przeciwnicy nie odmawiali geniuszu, którego tylu historyków myśli (między nimi Lewes) uznał za slup graniczny w filozofii. Prus popełnił błąd wraz z wieloma poważnymi mężami, którym się nie podoba Comte'yzm z wiérzchu i którzy przez to spieszą machnąć nań ręką. Takież same zdanie słyszałem z katedry uniwersyteckiéj w Genewie od profesora socyologii. Tém niemniéj jest to wiadomość błędna, comte'yzm ma zwolenników, którzy go rozwijają, zyskuje nowych i wcale znikać nie myśli. „Pozytywiści“ wydają pisma, piszą książki, wygłaszają odczyty i chociaż wiedzą o innych systematach, znają je, jednak nietylko ustąpić nie

są zmuszeni, ale wciąż mają nadzieję, że ich nauka powoli zupełny tryumf odniesie. O systemacie Ptolemeusza powiedzieć tego nie można. Patrzyłem na ruch pozytywistyczny własnemi oczyma, powołam się jednak na świadka innego, p. Goblet d'Alviella, deputowanego belgijskiego, i na jego książkę „L'évolution religieuse contemporaine“, wydaną w r. 1884, więc niespełna 4 lata temu. G. d'Alviella nie jest wcale pozytywistą, podejrzywać go o przesadę nie można; ponieważ mówi w téj książce o wielu religiach, więc ma punkty porównania i stopnie najwyższe, jakich używa, nie są wcale rezultatem zapatrzenia się na jedną rzecz. Jak dalekim jest on od wyznawania pozytywizmu, świadczy takie zdanie: „Sam Comte był ni mniéj ni więcéj tylko wizyonerem, albo szalbierzem, a jednak nikt nie jest w stanie, poznawszy skromne i pracowite życie jego, nie poczuć prawdziwego szacunku dla tego pierwszorzędnego myśliciela, który pomimo swoich śmieszności i zboczeń, umiał istotnie oczarować otoczenie swoje. Zresztą — dodaje p. G. d'A., na co radzę zwrócić uwagę wielu ludziom łatwo lekceważącym rzeczy im nieznane — jeżeli są dane zasady filozoficzne pozytywizmu, to doktryna religijna wydaje się o wiele mniéj dziwną i mniéj dowolną, niż sądzić można na pierwszy rzut oka.“ O stanie zaś pozytywizmu tak mówi p. deputowany: „We 25 lat po śmierci twórcy, system ten jest jeszcze w *całości* przyjmowany przez grupę ludzi inteligentnych i przekonanych we Francyi, w Anglii, w Irlandyi, w Szwecyi, w Stanach Zjednoczonych, w Brazylii i t. d. W Anglii mianowicie liczy on nazwiska, które należą do pierwszego szeregu arystokracyi ducha w całym kraju.“ „Pozytywizm zawsze bronił się przeciwko wszelkiéj propagandzie pośpiesznéj (nic więc dziwnego, że nie mówią o nim tyle, co o socyalizmie, dajmy na to, który propagowano przez broszury, powieści, manifestacye, dynamit, pięści i t. p. — *przyp. kronikarza)*, co tłómaczy małą ilość, lecz wybitny *(distingué)* charakter jego zwolenników. W samym Londynie można *obecnie* znaleść pomiędzy nimi: jednego z najznakomitszych *(les plus brillants) essayistów* Anglii, Fryderyka Harrisona, którego nazwisko znane jest dobrze czytelnikom wielkich miesięczników angielskich; prof. *Beesly*, rektora kollegium *University Hall*; współpracownika *Fortnightly Review*, *Jamesa Cotter Morison*; utalentowanego, obrońcę spraw robotniczych *Henryka Crompton*,—nie licząc innych, których nazwiska figurują na liście odczytów cotygodniowych, jakie pozytywiści organizują w swoich lokalach.“ „Z Towarzystwa pozytywistów londyńskich wyszły w ostatnich latach protesty najbardziéj stanowcze przeciwko wojnie w Afganistanie, przeciwko zaborowi Transvaalu, przeciwko polityce gwałtu w Irlandyi, przeciwko wyprawie Egipskiéj i t. d.“

Do wyliczonych nazwisk dodać należy najwybitniejsze może, które Goblet d'Alviella wspomina gdzieindziéj, d-ra *Congreve* i d-ra *Bridges*. Głowa pozytywistów świata całego, francuz, Piotr Lafitte, jest człowiekiem niesłychanéj wiedzy. Jest-to jedyny chyba francuz, który nieznając kraju naszego osobiście, potrafił mówić o nim przez 2 godziny z katedry, o jego geografii, historyi, o stosunkach politycznych, społecznych, religijnych i ani na chwilę nie urazil nieznajomością rzeczy obecnych Polaków (pomiędzy nimi był Jeż), lecz przeciwnie obudził rodzaj entuzyazmu trafnością sądu i serdeczną sympatyą.

Dlaczegoż więc i Comte i pozytywizm są tak lekceważeni u nas? Ha, Goethe zauważył, że najłatwiéj śmiać się z tego, czego się nie zna i nie rozumié; aby poznać „Religią Ludzkości", trzeba przewertować 6 tomów „Filozofii pozytywnéj" i 4 tomy „Polityki", a niektóre tomy mają po 800 stronic; na dzisiejsze czasy, kiedy miesięcznik jest już za poważną lekturą, a filozofowie piszą broszury okolicznościowe — to trochę za dużo.

Prus radzi mi się uczyć socyologii z książki p. Letourneau, zamiast z Comte'a. Dziękuję za radę, ale pójść za nią nie mogę. Przebyłem już fazę entuzyazmowania się takimi partyzantami naukowymi. Niegdyś w uniwersytecie tak gorąco pragnąłem szerzyć mądrość p. Letourneau, żem urządził aż szereg odczytów z téj właśnie książki: „*La sociologie, daprès l'ethnographie*", mam dotąd cały stos streszczeń. Dziś wolę jedną stronicę Comte'a niż wiele tomów biblioteki materyalistów. Zresztą niechaj Prus zobaczy, z jakim szacunkiem traktuje Comte'a i jego współczesnych uczniów przywódca téj szkoły, do któréj należy Letourneau, André Lefèvre w dwu swoich dziełkach: „*La Philosophie*" i „*La renaissance du matérialisme.*"

Pierwszy postulat Prusa wyrażony był w formie zarzutu i brzmiał lakonicznie a stanowczo: „P. Straszewicz nawet o tém nie wie, że w socyologii nie znaczą nic opinie Comte'a albo Le Play'a, ale—fakty". Gdyby podobna prawda rzucona została tłumom z mównicy, powitałyby ją grzmoty oklasków. Jestto ogólnik popularny oddawna i schlebia słabości ludzkiéj, która uważa swój własny sąd za szczyt madrości. Wartość zaś jego niczém się nie rożni od okrzyku kanclerza Bismarcka i Ks. Wilhelma, które słusznie Prus wyśmiał: „Brandeburczycy boją się tylko Boga!" Dźwięczy ładnie i okrągło.

W wiekach średnich używano i nadużywano powoływania się na autorytety. Descartes zaprotestował przeciwko temu w pierwszéj i najznakomitszéj ze swoich zasad dochodzenia prawdy. Ale recepta jego stosowała się, rzecz prosta, do uczonych jedynie,—każdy

uczony ma prawo poddać wątpliwości wyniki badań swoich poprzedników i sprawdzić takowe, jeśli tylko uważa, że w dowodach, przez nich wskazanych, istnieją jakieś skazy. Mistrzowie *raison raisonnante* XVIII wieku zasadę „niezależności sądów“ rozdęli bardzo mocno. Postulat Prusa: fakty—nie powaga uczonego decydują, jest tego najdoskonalszym wyrazem i bardzo powszechnie przyjętą zasadą.

Pisząc zresztą „kronikę“, wiedziałem o tém doskonale, że przekonywanie kogoś zapomocą powołania się na kompetentną powagę jest przeciwne duchowi czasu, jest... niemodne. Mówiłem też: „nie mam zamiaru przekonywać Prusa, żyjemy w czasach kiedy lekceważenie autorytetów stało sie obowiązującém“. Chodziło mi tylko o to, aby jednomyślność w téj kwestyi trzech poważnych uczonych, różnych biegunowo pod innymi względami, zachwiała pewność Prusa, szczególniéj wobec tego (co usiłowałem wykazać), że „fakta niezbite“ na które się powołał, były tylko złudzeniem logicznėm. (Nawiasem dodam, że Prus także rozumiał potrzebę odwołania się do rady rzeczoznawców, cytował więc doktora i socyologa).

Ale przejdźmy do samėj rzeczy. Jeżeli postulat Prusa obowiązuje w socyologii, jeżeli my wszyscy publicyści, artyści, urzędnicy kolei jednéj i drugiéj i t. d. mamy socyologizować na podstawie faktów i o zdanie uczonych nie dbać, to toż samo tém bardziéj stosuje się do fizyki, astronomii i t. p. nauk ścisłych; tu *fakty* zależą od mniejszéj ilości przyczyn, daleko mniéj przytém zagmatwanych. Ponieważ więc codziennie widzimy fakt, że słońce wznosi się w górę i zapada za linię horyzontu, a dowodzenia astronomii o nieruchomości słońca w naszym systemacie planet, ogół zrozumiéć nigdy nie będzie w stanie, więc czemu powtarzamy za Kopernikiem, za Laplace'em, że to ziemia się kręci. Gwałcimy postulat Prusa!

Niedosyć jest znać fakty z wiérzchu, aby módz wnioskować; trzeba je zbadać, opatrzyć ze wszystkich stron, trzeba prócz tego nauczyć się wnioskować, co także z natchnienia nie przychodzi. Owe fakty, to są tylko wrażenia niedokładnych zmysłów lub ułomnego umysłu ludzkiego—bez sprostowania, bez mozolnego roztrząśnięcia częstokroć mogą tylko w błąd wprowadzić. Historya każdéj nauki pełną jest przykładów do jakich dziwulągów doprowadziła, nawet badaczy poważnych, zbytnia ufność w oczywistość faktów. Uczeni lata całe, ba, życie całe poświęcają na to, aby zdobyć fakty dostatecznie przesiane do wyciągania z nich wniosków.

Zważywszy na zasadność, oględność i metodyczność prac poważnych mistrzów wiedzy, nawet uczony téj miary, co Comte

i Le Play nie może powiedzieć, że dla niego opinie ich nic nie znaczą. Jeden uczony ma prawo stosowania najbezwzględniejszego krytycyzmu względem drugiego uczonego; ale byłby lekkomyślnym, nie miałby pojęcia o ułomności umysłu, która najgenialniejszych ludzi doprowadziła do błędów i omyłek, grzeszyłby szkodliwą pewnością siebie, zdolną sparaliżować największe zdolności, gdyby na wyniki badań innych nie zwracał uwagi, gdyby odmienne rezultaty pracy poprzedników nie budziły w nim wątpliwości względem własnych dociekań (a mnie właśnie chodziło o obudzenie téj wątpliwości w Prusie). To da się powiedzieć o uczonym, w ustach zaś publicysty, który dane mógł zbierać z mało co większą dokładnością, niż obserwować ruch słońca na niebie, takie przeciwstawienie kilku pośpiesznie schwytanych faktów zdaniom uczonych znawców przedmiotu jest poprostu nic nie wyrażającym frazesem, co do wartości wewnętrznéj zupełnie godnym wykrzyknika: Brandeburczycy Boga się tylko boją!

Idźmy daléj. Publicysta, to zwykle (wyjątki wszędzie bywają) człowiek, który sam żadnych badań nad żadną gałęzią wiedzy samodzielnie nie prowadzi. Wié nieco mniéj więcéj o wszystkiém, wiele rzeczy zrozumié i potrafi prawdy, zdobyte, uzasadnione przez innych, wyrazić dostępnie dla ogółu. Jeżeli nawet nie pisze powieści i fejletonów, a ma wyłącznie z socyologiją, dajmy na to, do czynienia, to i tak zna się na tém o tyle, o ile go inni nauczyli, inacéj nie byłby publicystą, lecz badaczem specyalnym. W dodatku jest to zawsze prawie człowiek wrażliwy, łatwo unoszący się, ulegający wpływom. Nasuwa się jakaś kwestya — stosunek opinii publicznéj, przypuśćmy, do związków nielegalnych — publicysta ma o niéj pewne zdanie, nie zupełnie własne, bo sam źródłowo nie badał, lecz od kogoś przejęte; prócz tego ma on szafkę z książkami, wśród których bywają i statystyki; jeżeli tylko zechce, zawsze znajdzie argumenty i dane, stwierdzające *jego* zdanie. Statystyka, to zwykle książka gruba, gdzie można znaleść wszystko, co kto zechce, a wrazie potrzeby sens ustawionych liczb wytłómaczyć jak się podoba. Proszę porównać teraz pracę publicysty w takiéj kwestyi z pracą uczonego, bezstronną, spokojną, niemającą na celu propagandy żadnéj, ani ukłucia przeciwnika, lecz prawdę, jedynie jasną, czystą prawdę. Argumenty publicysty, jeżeli nie zawsze, to bardzo często stanowią podrzędny dodatek do dawniéj istniejących, a teraz podrażnionych przekonań; czyż nie lepiéj i nie pożyteczniéj, że publiczność usłyszy w jakiéjś sprawie zdanie uczonego (Comte'a, lub Le Play'a np.), prócz, a nawet zamiast zdania publicysty.

Drugi postulat Prusa: „statystyka nietylko analizuje, ale nawet mierzy fakta społeczne, jest tymczasem najlepszém narzędziem socyologii“.

Statystyka, jest to zbiór liczb, oznaczających ilość wypadków, faktów, zjawisk. Nauki ścisłe mają téż swoją statystykę i swoje tablice, ale te tylko wtedy posiadają wartość, gdy fakty zostały wywołane przez jedną przyczynę, izolowaną od innych w laboratoryum. Inne liczby służyć mogą do skonstatowania zjawiska, nigdy zaś do budowania praw. W statystyce społecznéj każdy wypadek jest zwykle wynikiem algebraicznéj sumy: jeżeli nie wiadomo jakie były składniki, jaka była ich doniosłość, które miały charakter dodatni, które ujemny — to nic niewiadomo. Nawet w matematyce, mając sumę wielkości jednorodnych, z których ona wynikła, znaleść składników nie można. Zestawienie liczb z różnych rubryk z różnych czasów i z różnych krajów daje niejakie światełko, ale to nigdy nie może rozpalić pewności, co najwyżej jest w stanie dać jakieś wskazówki. Są czynniki moralnej natury, niezmiernie ważne, wpływające i na ilość zbrodni i na wzrost ludności, o których jednak w żadnej statystyce wzmianki znaleść nie można. Dla tego, kto zna rzecz skąd inąd dokładnie, wié zgóry jakie objawy w pewnych warunkach szerzą się i jakie znikają, statystyka jest nieocenioną wskazówką, pozwala ona powziąć dokładne pojęcie zamiast przypuszczalnego, i, co jeszcze ważniejsza, pozwala kontrolować uprzednie spostrzeżenia. Ale statystyka ani analizuje, ani mierzy. Spektroskop analizuje widmo świetlne, bo połączone barwy sam rozszczepia na części; ale w rzeczach społecznych zjawiska muszą być uprzednio znane, zanalizowane, ugrupowane, zanim się przystąpi do zapisania liczb w przygotowanych przedtém rubrykach. Analizę społeczną, już dokonaną przez umysł na podstawie innych badań, można sprawdzić cyframi statystyki, ale sama statystyka nie wykonywa jéj; są nawet tacy, co wątpią, czy cyfry, choćby ugrupowane (więc już na podstawie dokonanej analizy), mogą podsunąć sącyologowi jaki pomysł do dalszych badań. Statystyka nie mierzy żadnego czynnika po szczególe, zapisuje tylku ogólny rezultat zbiorowego ich działania.

Tak się ma z idealną statystyką, tak doskonałą, jaką w obecnéj chwili wyobraźnia stworzyć może. Statystyka realna, faktycznie istniejąca, mniej naturalnie zasługuje na zaufanie. W kilku tylko krajach cyfry są jako tako dokładne; we wszystkich państwach są rozmaite klasyfikacye zjawisk społecznych, rubryki noszą różne tytuły, jest rozmaity stopień w doskonałości liczb. Toż samo stosuje się do czasu.

Nie potrzeba nawet z góry wiedzieć o tém wszystkiém: pierwsze zastosowanie samo narzuci to każdemu. Prus doświadczył téj konieczności, pomimo swojéj teoryi, że statystyka jest najlepszém narzędziem socyologii. Cytuje on tu 10% dzieci nieprawych, tam 20, a w Londynie tylko 4% i dodaje: „to wcale nie dowodzi moralności tego miasta, ale — (dowodzi?) nowego (jakiego?) gatunku występków“. Tylko w ten sposób rozumując, można było ocalić swoje zdanie: wielki procent dzieci nieprawych oznacza rozluźnienie moralności rodzinnej, mały — *dowodzi innego* gatunku występków. Pominąwszy fantastyczną dowolność we wnioskowaniu, widzimy, iż sam Prus, cytując ten fakt, stwierdził, że nie można ufać niskiemu procentowi dzieci naturalnych w Londynie, a więc statystyce, i że są inne *narzędzia* widocznie doskonalsze, które decydują stanowczo. W obec tego wszystkiego, czy nie słuszny był mój protest przeciwko wyprowadzaniu takich wniosków:

Liczba dzieci naturalnych w Europie wzrasta, Europa się rozwija, więc związki nielegalne nie szkodzą cywilizacyi.

Za co mnie Prus wyśmiał i odsądził od wszelkiego pojęcia o statystyce i socyologii? *Ludwik Straszewicz.*

Jedną z najpoważniejszych instytucyi w kraju naszym jest Towarzystwo kredytowe ziemskie. Wiele się na powagę tego ciała składa przyczyn. Zadanie jego bezpośrednie, to jest wytworzenie i podtrzymywanie kredytu rolnego, jest rzeczą olbrzymiéj doniosłości. Do zarządu instytucyą wchodziło i wchodzi wielu ludzi wybitnych, szacunkiem otoczonych.

Towarzystwo było — ogólnie biorąc — tak dobrze rządzone, że nawet w epokach powszechnych w kraju przesileń rolniczych i ekonomicznych, listy Towarzystwa kredytowego uważane były i są za najpewniejszą niemal lokatę kapitałów. Wogóle przyczyny zasadnicze i historyczne złożyły się na otoczenie Towarzystwa kredytowego ziemskiego szczególném uznaniem. To téż nic dziwnego, że gdy przed niejakim czasem zjawiły się w prasie zarzuty, dotyczące działalności pewnéj grupy przedstawicieli Tow. kredytowego ziemskiego, wzburzenie nastąpiło w szerokich kołach społecznych ogromne. Niżéj podpisany, a raczéj podznaczony tylko kronikarz, chociaż śledził starannie polemikę oskarżycieli i obrońców Towarzystwa, do ostatecznéj w sprawie poruszonéj nie umiał dojść konkluzyi, lecz dwa wyciągnął co do metody polemizowania wnioski: 1) że polemika była z obu stron prowadzona gorączkowo i obfitowała w argumenta *ad hominem*, nie *ad rem* skierowane; 2) że obroń-

cy i oskarżyciele Towarzystwa właściwie jednéj i téj saméj używali metody przy oznaczeniu obszaru praw i obowiązków przedstawicieli instytucyi, a mianowicie patrzyli na jedne przez powiększające, na drugie zaś przez zmniejszające szkiełka.

Różnica była tylko w zastosowaniu szkiełek. I tak oburzeni zuchwalstwem instygatora obrońcy Towarzystwa żądali wyjątkowego prawa poszanowania dla członków instytucyi, tak ogólnie poważanéj i tak donośne nie tylko w życiu naszém ekonomiczném lecz i w ogólnie społeczném, mającéj znaczenie, a jednocześnie mówili, że instytucya ma charakter wyłącznie finansowy, a zatém jéj członkowie tylko o bezpieczeństwo sum przez T. kr. z. pożyczonych dbać powinni, ponieważ zaś te są bezpieczne nawet na zdewastowanych majątkach, przeto o dewastacyą troszczyć się nie mają obowiązku. Wprost przeciwnie, oskarżyciele Towarzystwa dawali przedstawicielom jego prawa li tylko członków zwykłego przedsiębiorstwa finansowego, a wkładali obowiązki, ciążące na przedstawicieli kraju. Spór, w taki sposób toczony, doprowadził do rezultatu, że nie wiadomo było do końca, o ile kto ma słuszność; to pewna atoli, że słów gorzkich i przykrych z obu stron zużyto niemało. Obecnie, gdy namiętności znacznie przycichły, może mi się uda powrócić do sprawy dewastacyi, nie wywołując rozdrażnień.

Bodźcem, który mię do podniesienia na nowo téj sprawy skłonił, był zbieg zakomunikowania mi z poważnego — jak mniemam — źródła wiadomości, iż w Towarzystwie kred. ziemskiém zapadła decyzya—by żadnych środków przeciw dewastacyom nie przedsiębrać—z przeczytaniem artykułu prof. Okolskiego o środkach prawnych zapobiegania dewastacyom. Niech nikogo nie dziwi, że wiadomość ustna, oficyalnie nie sprawdzona, daje mi asumpt do wznowienia kwestyi. Towarzystwo kredytowe ziemskie nie psuje publiczności łatwém komunikowaniem swych uchwał, a stąd sprawdzenie wiadomości u źródła bywa najczęściéj niemożliwe. Wiadomość zaś— powtarzam — otrzymałem ze źródła poważnego. Uchwała zaprzestania wszelkich środków, zapobiegających dewastacyom, miała się opierać na dwóch motywach: 1) że Towarzystwo do zapobiegania dewastacyom nie ma ani obowiązku, ani interesu; 2) że dla zapobieżenia podobnym nadużyciom Towarzystwo nie ma żadnych środków, gdyż ustawa obowiązująca daje mu w téj mierze atrybucye niewystarczające.

Pomówmy najprzód w krótkich słowach *ad 1-um.*

Gdyby nawet Towarzystwo—jako bank—nie miało bezpośredniego obowiązku zapobiegania dewastacyom, toć członkowie jego, jako obywatele kraju, postawieni z wyboru na wybitnych stanowi-

skach mają ogólny obowiązek obywatelski zapobiegać możliwymi środkami objawom choroby społecznéj. Interes ma w tém również Towarzystwo. Chociażby sumy Towarzystwa nie spadały przy sprzedaży zniszczonych majątków, to jednak zmiana stosunku sum pożyczkowych do wartości majątków pożyczką obciążonych, w znacznéj ilości dóbr stowarzyszonych na niekorzyść posunięta, może wpłynąć na obniżenie kursu listów zastawnych. A przecież właściciele listów zastawnych mają prawo do opieki władz Towarzystwa. Wogóle Towarzystwo ma interes w tém, by jego listy były uważane za papiery „solidne" i żeby miały kurs możliwie wysoki. A teraz *ad* 2-um. Być może, iż byłoby pożądaném rozszerzenie, w drodze prawodawczéj, władzy Towarzystwa ku ukróceniu dewastatorów; ależ to rozszerzenie władzy bez starań samego Towarzystwa nastąpić nie może; powtóre zaś—jak wzmiankowany artykuł prof. Okolskiego wykazuje, Towarzystwo ma i dziś już zarówno w ogólném prawodawstwie obowiązującém, jak i w swéj ustawie specyalnéj, oręż do obrony przeciw dewastacyom. Mogą mi zarzucić, że ponieważ rzecz prof. Okolskiego umieszczoną została w piśmie, które gorący udział w polemice o dewastacyjach brało („Kraj"—dodatek noworoczny), przeto wyrażona w niéj opinie za stronne uważać można. Kto jednak przeczyta ten w obiektywnym zupełnie tonie napisany artykuł, a zwłaszcza kto zada sobie pracę przejrzenia powołanych źródeł, ten się niechybnie zgodzi, że Towarzystwo nie jest pozbawione i dziś już możności poskramiania niesumiennych bankrutów ziemskich. Niezależnie od art. 1180 kod. cyw., ma Tow. kred. ziem., na mocy art. 42 i 43 przepisów z dnia 10 lipca 1860 roku, prawo zaprowadzenia administracyi zachowawczéj nietylko w razie niepłacenia rat, lecz i pomimo ich płacenia, w razie upadku stanu gospodarczego i rozpraszania dochodów w sposób grożący bezpieczeństwu pożyczki Towarzystwa. Na mocy zaś art. 37 tychże przepisów, Towarzystwo kred. przy ustanowieniu administratora winno zwracać uwagę na kandydatów, przedstawionych przez właścicieli dóbr. A więc Towarzystwo ma możność, w pewnéj przynajmniéj mierze, zapobiegania dewastacyom, i ma obowiązek, z mocy własnéj ustawy, zwracania uwagi na interes wierzycieli prywatnych. Czy słusznie przeto postępują władze Towarzystwa, uchwalając zaniechanie zupełne obrony własnéj i obrony wierzycieli prywatnych przeciw dewastatorom?

Pozwalając sobie na interpelacyę władz Towarzystwa: jaka i na jakich motywach oparta zapadła uchwała w kwestyi zaniechania obrony przeciw dewastacyom, mam szansę otrzymania lakonicznéj odpowiedzi, że dyrekcya postępowała zgodnie z przepisami i że zatém zarzut nie ma żadnéj podstawy, a może nawet zbycia

mię milczeniem, gdyż władze Towarzystwa rozpisywać się w odpowiedziach na interpelacye nie lubią.

Czy by to miało być objawem poczucia godności własnéj, lub daniem do poznania interpelantowi, że zawysokie progi....?

Żeby przekonać władze Towarzystwa, iż obszerne i dokładne odpowiedzi na interpelacye prywatnych ludzi, bywają dawane przez osoby, piastujące wybitne stanowiska i żadnéj tym dygnitarzom ujmy nie czynią, powołam się na świeży przykład.

Właściciel przedsiębiorstwa pogrzebowego, p. Korpaczewski interpeluje p. Prezydenta miasta w kwestyi taryfy wodociągowéj i to za pośrednictwem wniosku, uczynionego na zebraniu Towarzystwa kred. miejskiego. Pomimo dziwnéj nieco formy interpelacyi, Prezydent generał Starynkiewicz odpowiada uprzejmym i bardzo szczegółowo rzecz rozstrząsającym listem (patrz NN. 38 i 39 Kuryera Warszawskiego, z dnia 7 i 8 Lutego roku bież., pięć szpalt) do pana K. zaadresowanym.

Nie mam ja wprawdzie téj popularności, co p. K., o którym często piszą pisma nasze codzienne, a którego korespondent „Kraju“ nazywa naszym znanym „abstrukcyonistą“, (chyba to niefortunna przeróbka zecera lub korrektora nazwy „obstrukcyonista“, gdyż pan K. rzeczywiście, jak obstrukcyonista z partyi *Home-rule*'u tamuje nieraz obrady różnego rodzaju zebrań nawałem swych wniosków); otóż nie posiadam — mówię — téj popularności obstrukcyjnéj, co p. Korpaczewski i z téj przyczyny nieznanego mego nazwiska nie podpisuję; skoro mi jednak redakcya *Ateneum* gościnności w piśmie swém nie odmawia, przeto i za interpelacyą moją odpowiedzialność bierze.

Z téj zatém uwagi, może władze Towarzystwa, składające się z wybranych z łona naszego społeczeństwa przedstawicieli, „kość z kości i krew z krwi naszéj“, zechcą naśladować urzędnika państwowego, który szacunku godny przykład daje, jak opinię publiczną poważać należy. Może zamiast zwięzłości Lakonii, zechcą téż użyć wielomówstwa Aten, żeby w kwestyi uchwały o dewastacyach błądzących nawrócić, a ciemnych oświecić. (1)

(— X —)

---

(1) W pismach codziennych była umieszczona w tych dniach wiadomość, że na półrocznem zebraniu członków Komitetu Tow. kred., które miało miejsce 10—21 Lutego, zapadła nowa decyzya w sprawie dewastacyi, a mianowicie uchwalonemi jakoby zostały przepisy, zabezpieczające Tow. kred. od dewastacyi dóbr ziemskich. Na wypadek jeżeli ta wiadomość jest prawdziwa, upraszamy władze Tow. o podanie treści tych pożądanych przepisów. O ile nam jednak wiadomo na zebraniu 10—21 Lutego odczytywano tylko korespondencyę władz Tow. kred. ziem. z wyższemi władzami administracyjnémi w sprawie dewastacyi, lecz żadnych nowych przepisów nie uchwalono. Kwestya więc po dawnemu śpi.

REGULAMIN PRZYZNAWANIA NAGRÓD

Z ZAPISU

JAKÓBA NATANSONA.

Profesor b. Szkoły Głównéj Jakób Natanson, jeden z pierwotnych założycieli Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém, zmarły 14 wrześnla 1884 r., testamentem spisanym w Warszawie w d. 10 lipca 1882 r. i 15 listopada 1883 r. zapisał:

„rubli trzydzieści tysięcy Komitetowi Kasy pomocy dla pracu„jących na polu naukowém imienia D-ra Mianowskiego na na„stępujący cel użyteczności publicznéj. Co lat cztery mają być „udzielane, z procentów od powyższéj sumy, dwie nagrody za „dwie największéj wartości prace naukowe w ciągu ostatnich „lat czterech, przez mieszkańców Królestwa Polskiego, w Kró„lestwie urodzonych, dokonane i w języku polskim drukiem „ogłoszone. Jedna z tych nagród przeznaczoną być ma za naj„lepszą pracę w zakresie nauk ścisłych, a druga za takąż pracę „w zakresie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, histo„rycznych lub tym podobnych.“

Po zatwierdzeniu zapisu przez władzę, w d. 4 sierpnia 1885 r. wykonawcy testamentu złożyli do dyspozycyi Komitetu nie tylko sumę w zapisie wymienioną, lecz i procenty od dnia śmierci zapisodawcy, umożliwiając tym sposobem wcześniejsze wykonanie myśli w testamencie wyrażonéj. Za sumę powyższą Komitet Kasy w myśl Ustawy (§ 4) zakupił 5% Listy Zastawne Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

W myśl przytoczonych powyżéj warunków testamentu a zgodnie z Ustawą Kasy pomocy, Komitet zarządzający Kasą, w wykonywaniu woli zapisodawcy rządzić się będzie niżéj wymienionemi zasadami i przepisami.

A. **Fundusz nagrodowy.**

§ 1. Fundusz nagrodowy powstaje z procentów od kapitału rs. 30,000 z zapisu Jakóba Natansona.

§ 2. Z funduszu tego powstają co lat 4 dwie w równéj sumie nagrody pieniężne.

§ 3. Pierwsze nagrody powstaną z procentów zebranych od 14 września 1884 r. do 13 września 1888 r.

§ 4. Fundusz nagród każdego okresu, powstający z czteroletnich procentów od kapitału, zwiększa się nadto procentowaniem powstającéj w sposób powyższy sumy.

§ 5. Fundusz ten procentuje się aż do dnia wypłaty nagród.

§ 6. Z funduszu nagród pokrywane będą konieczne wydatki, z przyznawaniem nagród związane, a mianowicie: kupno prac drukiem ogłoszonych, o ile takowe Komitetowi złożone nie zostaną i koszty ogłoszeń w pismach, o ile takowe bezpłatnie zrobić się nie dadzą.

B. **Przedmiot nagród.**

§ 7. Dwie równe nagrody pieniężne, udzielane będą co lat cztery, za dwie największéj wartości prace naukowe, w języku polskim ogłoszone, w ciągu ostatnich lat czterech.

§ 8. Pierwsze nagrody przyznane zostaną za prace ogłoszone drukiem między 14 września 1884 r. a 31 grudnia 1888 r. Następne czteroletnie okresy odpowiadać będą latom kalendarzowym.

§ 9. Jedna nagroda przyznawaną będzie za pracę najlepszą z ogłoszonych drukiem w danym okresie, z dziedziny „nauk ścisłych" (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznemi); druga za takąż pracę w zakresie „nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, historycznych lub tym podobnych."

§ 10. Nagrody udzielone być mogą jedynie: *a*) poddanym rosyjskim (§ 2 Ustawy); *b*) mieszkańcom Królestwa Polskiego w Królestwie urodzonym.

§ 11. Za każde czterolecie przyznane być muszą dwie nagrody za prace, z ogłoszonych, najlepsze. Nie dopuszcza się odraczanie nagród dla braku prac znakomitszych, przenoszenie prac z jednego okresu czteroletniego do następnych, ani dzielenie któréjbądź z obu nagród.

§ 12. Przeszkodą w otrzymaniu nagrody nie będzie: *a*) uprzednie nagrodzenie pracy przez inną instytucyą; *b*) zapomoga udzielona przez Kasę lub inną instytucyą na dokonanie lub ogłoszenie drukiem danéj pracy; *c*) rozmiary pracy.

§ 13. W razie nieprzyjęcia nagrody przez osobę, któréj przyznaną została, nagroda udziela się za inną, najlepszą z pozostałych prac danego okresu i działu.

C. Sposób przyznawania nagród.

§ 14. Do oceny przyjmowane będą prace składane przez autorów, wydawców, członków Kasy i wogóle osoby trzecie, a także zebrane staraniem Komitetu Kasy.

§ 15. Jakkolwiek Komitet Kasy starać się będzie, aby żadna z prac, kwalifikujących się do nagród, w sądzeniu pominiętą nie była, to jednak nie przyjmuje odpowiedzialności za przeoczenie prac, których autorowie lub osoby trzecie w terminie właściwym nie nadeszlą.

§ 16. Prace, czyniące zadość warunkom wymienionym w § 7 i 10, składane być mogą do Komitetu w ciągu całego czteroletniego okresu i w ciągu dwóch najbliższych potém miesięcy.

§ 17. Prace autorów, którzy w okresie na sądzenie prac przeznaczonym, są członkami Komitetu Kasy, do sądzenia przyjmowane nie będą.

§ 18. Rozpatrywanie i sądzenie prac dokonywać się będzie przez półrocze następujące bezpośrednio po upływie konkursowego czterolecia, a to porządkiem i sposobem w regulaminie wewnętrznych czynności Komitetu Kasy wskazanym.

§ 19. Przyznanie nagród nastąpi na pierwszém jesienném posiedzeniu Komitetu Kasy, prostą większością głosów członków Komitetu, na posiedzeniu w prawnym komplecie (§ 13 Ustawy) obecnych.

NEKROLOGIA.

† **Ignacy Marczewski** zmarł w Paryżu dnia 29-go stycznia r. b. w 54-tym roku życia. Urodzony w Warszawie r. 1834, po ukończeniu szkół wstąpił do Komisyi Skarbu; po reformie administracyjnéj został starszym referentem w izbie skarbowéj piotrkowskiéj. Znany był jako autor prac historycznych pod nazwiskiem Gustawa Meinerta. W ostatnich latach *Przewodnik naukowy i literacki*, wycho-

uzący we Lwowie, pomieścił dwie jego rozprawy, na źródłach rękopiśmiennych oparte: „O wyniesieniu na tron Stanisława Augusta Poniatowskiego“ i „Polacy w San Domingo.“ Był także korespondentem *Gazety Lwowskiéj* i czasopism poznańskich. Podobno pozostały po nim cenne rękopismy.

† **Augustyn Szmurło** urodzony w r. 1821, ukończywszy gimnazyum, udał się na koszt rządu do uniwersytetu moskiewskiego dla studyowania filologii klasycznéj. Za powrotem, mianowany nauczycielem łaciny w Warszawie, od r. 1849 był starszym nauczycielem przedmiotów klasycznych w gimnazyum gubernialném. Wtedy ogłosił po łacinie króciutkie dzieje literatury rzymskiéj: „Historia litterarum romanarum brevissime exposita“ (1851, str. 42). W r. 1854 został także nauczycielem łaciny w Instytucie szlacheckim, a od r. 1857 wykładał język i literaturę grecką i rzymską w akademii duchownéj. Wówczas bierze czynny udział w układzie Gramatyki łacińskiéj teoretyczno-praktycznéj, wydanéj w 3-ch częściach przez Okrąg naukowy warszawski; w części 3-ciéj mianowicie teorya składni łacińskiéj, w zupełnie nowy sposób przedstawiona, jest jego wyłączném dziełem. Przy reorganizacyi wychowania publicznego za czasów Aleksandra Wielopolskiego zajmował ś. p. Szmurło wydatne stanowisko; wykładał przedmioty klasyczne w Kursach przygotowawczych, był adjunktem filologii w Szkole Głównéj. Wówczas wyszły jego rozprawki: „O dziejowém stanowisku starożytności klasycznéj i o ważności pedagogicznéj języków starożytnych“ (1862), „Mowa miana przy zamknięciu wykładu nauk w Kursach przygotowawczych do Szkoły Głównéj dnia 7 sierpnia 1862 roku“, „O Kulturze Grecyi, prelekcya wstępna miana w Szkole Głównéj“ (1863). W r. 1863 mianowany został rektorem gimnazyum I-go na Nowolipkach i wówczas ogłosił „Kilka słów o celu i kierunku gimnazyalnego nauczania wogóle“ (str. 27). Gdy gimnazyum na Nowolipkach uległo zmianie przy nazwaniu go III-ém, został w niém inspektorem i pełnił obowiązki do r. 1873, wykładając zarazem w klasach wyższych język grecki. Następnie założył czteroklasową szkołę prywatną z kierunkiem filologicznym przy ulicy Freta i prowadził ją przez lat 10. Zamknąwszy ją, oddał się wykończeniu dawno rozpoczętéj pracy, to jest tłómaczenia na język ojczysty Iliady wierszem miarowym; a dokonawszy jéj, wydał w r. 1887 w Warszawie z zasiłku Kasy imienia Mianowskiego. Ostatni raz zabrał głos publicznie w obronie swego przekładu przeciw zrobionym przez jednego recenzenta zarzutom w „Kłosach“, poczém zachorował i umarł dnia 11 lutego r. b.

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

OGŁOSZENIA.

Regulamin corocznéj wystawy konkursowéj w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiém.

§ 1. Na zasadzie art. 2 lit e. Ustawy Tow. Zach. Sztuk Pięknych, w celu przyczynienia się do rozwoju i postępu w kraju sztuk pięknych, oraz dania możności wyróżnienia i nagrodzenia prac szczególnie na to zasługujących,—urządzaną będzie przez Komitet Towarzystwa corocznie, w m. Styczniu, poczynając od r. 1889, w lokalu Towarzystwa, lub innym, przez Komitet wyznaczonym, *Wystawa Konkursowa* Malarstwa, Rzeźby i Architektury, kolejno, w porządku następującym: w r. 1889 Wystawa *Malarstwa*, w r. 1890 Wystawa *Rzeźby*, w r. 1891 Wystawa *Architektury*, i t. d.

§ 2. Wystawa trwać będzie od 3 (15) Stycznia do końca Lutego.

§ 3. Do przyjęcia na Wystawę kwalifikują się następnjące przedmioty:

a) Z dziedziny *malarstwa*: obrazy olejne, akwarelle, pastele, kartony i rysunki.

Uwaga. Miniatury, emalje, malowanie na porcelanie, na fajansie, na szkle, staloryty, akwaforty, drzeworyty, litografie i t. p. dzieła reprodukcyi, ornamentyka i dekoracye, stanowić będą przedmiot oddzielnéj zupełnie Wystawy konkursowéj w czasie i miejscu przez Komitet Towarzystwa oznaczonym, przyczem podawane będą do wiadomości interesowanych i warunki konkursu przez Komitet przepisane.

b) Z dziedziny *rzeźby:* wszelkiego rodzaju dzieła rzeźby, bez względu na materyał, tudzież wyroby medaljerskie.

c) Z *architektury*: wszelkiego rodzaju kompozycye w zakres jéj wchodzące, w planach lub modelach.

§ 4. Nie kwalifikują się na Wystawę: *a*) Wszelkie kopje. *b*) Dzieła artystów zmarłych na rok przed otwarciem Wystawy.

§ 5. Każdy z wystawców ma prawo wystawić jednocześnie dwa tylko swoje dzieła; za jedno dzieło uważane będą rysunki lub modele, ujęte w jednę ramę.

§ 6. Dzieła sztuki nadsyłane na Wystawę mają być w ramach z wyjątkiem rzeźb i planów architektonicznych.

§ 7. Na Wystawę przyjmują się dzieła, wykonane w ciągu lat trzech ostatnich, które poprzednio nie znajdowały się czy to na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, czy też na innéj Wystawie w Warszawie,

§ 8. Dzieła przeznaczone na Wystawę powinny być przesyłane pod adresem Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych nie póżniéj jak 19 (31) Grudnia do godz. 6 wiecz.

§ 9. Przesyłający dzieło swoje na Wystawę konkursową, obowiązany jest nadesłać przed 3 (15) Grudnia pod adresem Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych deklaracyą, w któréj podać winien treść dzieła, cenę, swój adres, oraz krótką wiadomość o miejscu urodzenia, obecnego pobytu i o tem, w jakiéj Szkole otrzymał wykształcenie artystyczne. Wiadomości powyższe posłużą do ułożenia katalogu dzieł, znajdujących się na Wystawie.

§ 10. Na każdéj deklaracyi Vice-Prezes Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, lub Członek Komitetu tegoż zastępujący, zaznaczy datę otrzymania takowéj.

§ 11. Dzieło przyjęte na Wystawę konkursową, pozostawać na niéj będzie do czasu jéj trwania i przed upływem tego terminu nie może być z niéj wycofane.

§ 12. Do przyjmowania a następnie oceny dzieł sztuki, oraz przyznawania nagród Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych najpóźniéj do dnia 18 (30) Grudnia ze spółprzybranymi artystami utworzy Delegacyą konkursową.

§ 13. Do oceny dzieł sztuki w każdéj z trzech gałęzi: malarstwa, rzeźby i architektury, utworzone będą oddzielne Sekcye konkursowe.

§ 14. Sekcya malarska składać się będzie z Vice-Prezesa Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, dwóch przez Komitet wybranych Członków Komitetu z grona miłośników, ze wszystkich malarzy będących Członkami Komitetu, a nie przyjmujących udziału w konkursie, oraz takiéj liczby artystów malarzy, zamieszkałych w Warszawie i wybranych większością głosów przez artystów malarzy, Członków Rzecz. Tow., aby liczba *artystów malarzy* w téj Sekcyi zasiadających wynosiła ośmiu.

§ 15. Sekcya rzeźby składać się będzie z Vice-Prezesa Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, jednego przez Komitet wybranego Członka Komitetu z grona miłośników, ze wszystkich rzeźbiarzy, będących Członkami Komitetu, a nie przyjmujących udziału w konkursie, oraz takiéj liczby artystów rzeźbiarzy, zamieszkałych w Warszawie i wybranych większością głosów przez artystów rzeźbiarzy, Członków Rzecz. Tow., aby liczba *artystów rzeźbiarzy* w téj Sekcyi zasiadających wynosiła trzech.

§ 16. Sekcya architektury składać się będzie z Vice Prezesa Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, dwóch przez Komitet wybranych Członków Komitetu z grona miłośników, z wszystkich budowniczych, będących członkami Komitetu, a nie przyjmujących udziału w konkursie, oraz takiej liczby budowniczych zamieszkałych w Warszawie i wybranych większością głosów przez budowniczych, Członków Rzecz. Tow., aby liczba *budowniczych* w tej Sekcyi zasiadających wynosiła ośmiu.

§ 17. Z artystów zamieszkałych w Warszawie po nad liczbę mających przyjąć udział w pracach każdéj Sekcyi, wybranych będzie na każdą Sekcyą po 2-ch zastępców, którzy wejdą do Sekcyi wrazie piśmiennej deklaracyi wybranego artysty, iż udziału w pracach Sekcyi przyjąć nie może.

§ 18. Na posiedzeniach każdej Sekcyi prezyduje z urzędu Vice-Prezes Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, lub Członek Komitetu takowego zastępujący. Decyzye zapadają prostą większością głosów. W razie niezgodności lub napotkanych wątpliwości, decyzye Sekcyi winny być przedłożone Delegacyi konkursowej pod rozbiór i ostateczną uchwałę.

§ 19. Do ważności decyzyi każdej Sekcyi wymagalném jest, by wszyscy Członkowie wezwani zostali na posiedzenie co najmniej na dni cztery przed posiedzeniem.

§ 20 W razie niestawienia się niektórych Członków Sekcyi, obecność co najmniej na oddziale malarstwa pięciu Członków, na oddziale rzeźby trzech i na oddziale architektury pięciu, będzie dostateczną do wydania decyzyi. Decyzye co do przyznania nagród w takim razie, to jest przy współudziale minimum głosów zapadłe, podlegać będą zatwierdzeniu przez Delegacyą Konkursową ogólną, która je zmienić władną będzie.

§ 21. Posiedzenia Sekcyi konkursowych tak w przedmiocie przyjęcia dzieł sztuki na Wystawę jak i oceny do nagród, zwołuje Vice-Prezes Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

§ 22. Przyznanie nagród dopełnioném będzie przed otwarciem Wystawy dla publiczności.

§ 23. Nagrody przyznawane będą nie za dzieła najlepsze z nadesłanych, lecz za dzieła bezwarunkowo odznaczające się.

§ 24. Umieszczenie dzieł przyjętych na Wystawę przez właściwe Sekcye, należeć będzie wyłącznie do Gospodarza Wystawy.'

§ 25. Na każdem dziele nagrodzoném umieszczony będzie napis „Dzieło nagrodzone".

§ 26. Nagrody przyznawane będą z funduszów Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych za dzieła z dziedziny malarstwa, rzeźby i architektury. W każdym z powyższych działów przyznawane być mogą po trzy Nagrody: pierwsza rs. 600, druga rs. 300 i trzecia rs, 200, płatne w biletach bankowych.

Oprócz Nagród pieniężnych, Sekcye mają prawo przyznawać odznaczenia czyli Listy pochwalne.

§ 27. Czynności przygotowawcze do urządzania czasowej Wystawy konkursowej jako to zebrania Delegacyi konkursowej, okólniki o czasowej wystawie do artystów bawiących za granicą, lub zagranicznych, nadsyłających dzieła swoje na Wystawę Towarzystwa, ogłoszenia w miejscowych pismach czasowych i tym podobne czynności, należeć będą do Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Adresować: Do Komitetu Tow. Zach. Sztuk Pięknych. *Warszawa*, Krak. Przed. 15.

Regulamin corocznéj wystawy konkursowéj sztuki ornamentacyjnéj i dekoracyjnéj w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiém.

Na zasadzie art. 2 lit. e. Ustawy Tow. Zach. Sztuk Pięknych, w celu przyczynienia się do rozwoju i postępu w kraju sztuki Ornamentacyjnéj i Dekoracyjnéj, urządzaną będzie corocznie w lokalu Towarzystwa, lub innym, przez Komitet Towarzystwa wyznaczonym, Wystawa *Konkursowa* miniatur, emalii, malowania na szkle, porcelanie i fajansie, sztychów, akwafort, drzeworytów, litografii i wszelkich reprodukcyi ręcznych, niemnićj wszelkiego rodzaju ornamentacyi. Termin przyjmowania deklaracyi oznacza się do 1 Października, nadsyłania przedmiotów do 10 Października, otwarcie Wystawy 15 Października. Czas trwania Wystawy ustanawia Komitet Towarzystwa. Przedmioty przyjęte na Wystawę, nie mogą być wycofane przed zamknięciem Wystawy. Przyjmowanie i kwalifikowanie przedmiotów, oraz przyznawanie nagród należy do Komitetu Towarzystwa. Wystawa składać się będzie z trzech oddziałów:

Oddział 1. Miniatury, emalie, malowania na szkle, porcelanie i fajansie.

Oddział 2. Sztychy, akwaforty, drzeworyty, litografie i wszelkiego rodzaju ręczne reprodukcye.

Oddział 3. Wszelkiego rozaju ornamentacye.

W każdym z powyższych oddziałów przyznawane być mogą po dwie *nagrody*, pierwsza rs. 100, druga rs. 50, w biletach bankowych, za dzieła bezwarunkowo odznaczające się. Oprócz tego będą wydawane Listy pochwalne.

Adresować: Do Komitetu Tow. Zach. Sztuk Pięknych. *Warszawa*, Krak. Przedm. 15.

Komitet Tow. Zach. Sztuk Piękn. w Król. Pol.

ma honor podać do wiadomości pp. Artystów, iż w roku bieżącym urządzona będzie w *Monachium* Trzecia Wystawa międzynarodowa i jubileuszowa Sztuk Pieknych w pałacu kryształowym, która trwać będzie od dnia 1 Czerwca do końca Października. Na Wystawę przyjmują się: obrazy, rzeźby, plany architektoniczne, a także prace z zakresu sztuki graficznéj i reprodukcyjnéj i sztuki, zastosowanéj do przemysłu. Z tych ostatnich te tylko przyjmowane będą, które przez swe wykonanie zasługiwać będą na miano dzieła sztuki i co do których autorowie specyalne zaproszenia od Komitetu Wystawowego otrzymają. Obrazy winny być w ramach i obok tego opatrzone ramą bezpieczeństwa (Schutzrahme). Nie przyjmuje się: wszelkie kopije z wyjątkiem rysunków, przeznaczonych dla sztychów, fotografie i wszelkie repodukcye, otrzymywane sposobem mechanicznym, niemniéj prace bezimienne, oraz dzieła, które już kiedykolwiek w Monachium na Wystawach międzynarodowych wystawiane były.

Bliższe szczegóły, dotyczące pomienionéj Wystawy, interesowni otrzymać mogą w kancelaryi Towarzystwa.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Grudnia 1887 r. oraz w Styczniu 1888 r.

---

1. **Historya literatury polskiej** na tle dziejów narodu skreślona przez *Maryana Dubieckiego*. Tom I. nakł. Maurycego Orgelbranda, 1888. 8-o. Zeszyt 1 (str. 80). Zeszyt 2 (od str. 81 do 160). Zeszyt 3 (od 161 do 240).
2. **Nowy śpiewnik warszawski,** składający się przeważnie z śpiewek popularnych i niektórych deklamacyi, zebranych i ułożonych przez *Józefa Cybulskiego* art. dram. Warsz. nakł. księgarni G. Cetnerszwera, 1887, 8-o, str. II i 86.
3. **Katalog Biblioteki** Imperatorskawo warszawskawo uniwersitieta. Juridiczeskij fakultiet. Wypusk III i IV. Warsz. 1887, 8-o, od str. 417 do 648.
4. **Burak cukrowy** i warunki jego produkcyi. Sprawozdanie z pól doświadczalnych hodowli nasion w Brzozówce. Zestawił *Władysław Mayzel*. Warsz. 1888, 8 o, str. 20 (z tabl. litogr.)
5. **Osnowanja naucznych gosudarstwiennych strojenij i polskij wopros.** *K. L. Lichtanskawo.* St.-Petersburg, wyd. księg. M. O. Wolfa, 1883, 8-o, str. 422 i II.
6. **Podarunek dla młodzieży.** Książka do czytania dla tych, co nie chcą być ciemnymi. Ułożył *Wiktor Olszewski.* Wydanie drugie, poprawione z obrazkami. Warsz. nakł. autora, 1887, 8-o str. 280 (Cena kop. 30, w oprawie kop. 35).
7. **Rocznik medycyny krajowej**, wydawany staraniem i nakładem *D-ra J. Rogowicza*, Wice-Prezesa Towarzystwa lekarskiego Warszaw. b. Redaktora „Medycyny.“ Rocznik X.—1888. Przegląd piśmiennictwa lekarskiego polskiego za rok 1886. Warsz. 1888, małe 8-o. str. XVI + 254 + kart nlb. 11 + str. 120 + kart nlb. 4 + Dziennik do notatek na wszystkie dni roku.
8. *Karol Lewald.* **Historya wieku XIX.** Ark. 1—25, 8-o (str. 400). Dodatek do „Prawdy“ za rok 1887.
9. *Ch. Seignobos.* **Historya cywilizacyi.** Z 200 drzeworytami w tekscie. Przełożył z najnowszego wydania francuzkiego *Adolf Dygasiński.* Zeszyt 2 (od str. 161 do 320), Zeszyt 3 (od str. 321 do 480). Warsz. nakł. księgarni T. Paprockiego i S-ki, 8-o.
10. **W sprawie komentarza rysunkowego do dzieł Adama Mickiewicza** (napisał *K. Przeździecki*). Kraków, 1887. 8-o, str. 11.
11. **T. M. Plauta Komedyj** pięciu parafrazy przez *J. I. Kraszewskiego* (1. Samochwał, 2. Pasożyt, 3. Trojak, 4. Rozbitki. 5. Koszyk). Złoczów, nakład O. Zukerhandla i Syna, 1888, 8 o, str. VIII i 220.
12. **Mechanika** przez *J. Łubieńskiego*, Inżyniera. Warsz. nakł. Drukarni Zawiszewskiego 1888, 8-o, zeszyt 7 tomu I-go (od str. 289 do 336).
13. **Najnowszy zwrot w historyografii polskiej** (1861 — 1886) przez *M. J. Kariejewa* prof. uniw. petersb. (Przekład z upoważnienia autora). Nakładem „Kraju“. Warszawa i Petersburg, 1888. 8-o, str. 108 (cena k. 30).
14. **Odrodzenie Czech** podług Maly'ego opracował *Jan Nitowski.* Nakładem „Kraju“. Warszawa i Petersburg, 1888, 8-o, str. 48 (cena kop. 25).

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzi w roku 1888 jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава 22 Февраля 1887 г.